



Diana Palmer



***KŁAMSTWA I
TAJEMNICE***

Tytuł oryginału: *Lawman*



*Pamięci Gene 'a Burtona –
naszego sąsiada i przyjaciela*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stary dom Jacoba był w opłakanym stanie. Ostatni właściciel doprowadził go do ruiny i teraz w gabinecie Garona woda ciekła z sufitu prosto na jego komputer.

Garon, ubrany w elegancki szary garnitur, obrzucił pokój gniewnym wzrokiem, stojąc w drzwiach. Właśnie przyjechał do Jacobsville z Waszyngtonu, gdzie w Quantico brał udział w zajęciach z prowadzenia śledztwa w sprawach zabójstw. To była jego nowa specjalizacja w zakresie ochrony porządku publicznego. Garon Grier był pracownikiem FBI. Jego biuro znajdowało się w San Antonio, ale niedawno wyprowadził się z wynajmowanego tam mieszkania na wielkie ranczo w Jacobsville. Jego brat Cash był tu szefem policji, jednak obaj przez długi czas nie utrzymywali ze sobą stosunków. Cash wyrzekł się rodziny, gdy zaledwie kilka dni po tym, jak jego ukochana matka zmarła na raka, ojciec powtórnie się ożenił. Jednak w końcu udało się załagodzić ten rodzinny spór. Cash był od niedawna szczęśliwym małżonkiem Tippy Moore, popularnej modelki i aktorki filmowej, znanej jako „Świetlik Georgii”, i właśnie urodziła im się córeczka.

Cash uważał swoje dziecko za ósmy cud świata, lecz Garonowi przypominało bardziej czerwoną suszoną śliwkę, wymachującą piąstkami. Jednakże z każdym dniem dziewczynka rzeczywiście ładniała. Garon uwielbiał dzieci - choć trudno byłoby się tego domyślić z jego ostrego, niemal opryskliwego sposobu bycia. Rzadko się uśmiechał i zazwyczaj zachowywał się oschle i rzeczowo. Nawet wobec kobiet - a raczej: zwłaszcza wobec nich. Choroba nowotworowa zabrała jego jedyną

prawdziwą miłość i ten straszliwy cios sprawił, że obecnie w wieku trzydziestu sześciu lat Garon pogodził się z tym, że spędzi resztę życia samotnie. Ta decyzja przyszła mu bez trudu, gdyż uważał, że nie miałby kobiecie nic do zaoferowania. Poświęcił się bez reszty swojej pracy. Wprawdzie niekiedy nachodziły go marzenia o synku, lecz nie zamierzał ryzykować dla tego celu kolejnego związku.

Panna Jane Turner, gospodyni, którą zatrudniał, weszła za nim do gabinetu z wyrazem rezygnacji na szczupłej twarzy.

- Robotników budowlanych uda się wynająć dopiero w przyszłym tygodniu, panie Garon - powiedziała z przeciągłym teksaskim akcentem. - Uważam, że na razie najlepiej będzie podstawić wiadro, chyba że chce pan wdrapać się na dach z młotkiem i gwoździami.

Grier spojrział na nią z wyższością.

- Nie zwykłem łązić po dachach - rzekł stanowczym tonem.

Panna Turner otaksowała wzrokiem jego elegancki garnitur.

- Wcale mnie to nie dziwi - mruknęła, po czym odwróciła się i wyszła.

Popatrzył za nią zaskoczony. Najwidoczniej uważała, że dorastając na rozległym ranchu w zachodnim Teksasie, nosił wyłącznie garnitury. Był doskonałym jeźdźcem i jako nastolatek zdobywał nagrody w zawodach rodeo. Obecnie lepiej znał się na rewolwerach i śledztwach niż na ujeżdżaniu koni, lecz nadal potrafił poprowadzić rancho. W istocie trzymał tam czarne krowy rasy Angus, które zamierzał przekazać ojcu i braciom w zamian za pieniądze zarobione na wystawach bydła. Przemysliwał o założeniu własnej hodowli rasowego bydła tutaj, w

Jacobsville, ale na przeszkodzie stała kwestia znalezienia wykwalifikowanych kowbojów.

Ludzie w małych miejscowościach odnoszą się nieufnie do obcych przybyszów. W Jacobsville mieszkało niespełna dwa tysiące osób, lecz Garo-nowi za każdym razem, gdy spacerował po miasteczku, wydawało się, że prawie wszyscy obserwują go zza firanek. Przyglądano mu się bacznie, oceniano go i chwilowo trzymano na dystans.

Mieszkańcy Jacobsville rzadko przyjmują obcych do rodziny - gdyż za to właśnie się uważają: za rodzinę złożoną z dwóch tysięcy członków.

Spojrzał na zegarek. Był już spóźniony na spotkanie ze swym oddziałem agentów w biurze FBI w San Antonio. Tej nocy start z lotniska w Waszyngtonie opóźnił się nieoczekiwanie z powodu kłopotów z zapewnieniem bezpieczeństwa i samolot wylądował w San Antonio dopiero wczesnym rankiem. Garon musiał przyjechać samochodem do Jacobsville i prawie nie zmrużył oka. Wyszedł teraz na szeroką werandę, która miała szarą betonową podłogę, białą wiszącą ławeczkę i równie białe wiklinowe fotele, przykryte poduszkami. Fotele stały tu od niedawna. Był koniec lutego i jego gospodyni uznała, że przyda się miejsce, gdzie mógłby podejmować gości. Kiedy jej powiedział, że nie oczekuje żadnych odwiedzin, prychnęła lekceważąco i mimo wszystko zamówiła te meble. Zawsze dyrygowała wszystkimi wokół. Prawdopodobnie nad nim również wkrótce zyska władzę, jednak zapowiedział jej obrazowo, co ją spotka, jeśli ośmieli się rozpuścić jakiekolwiek plotki o jego prywatnym życiu. W odpowiedzi jedynie się uśmiechnęła. Nie znosił tego jej przekłętą uśmiešku. Gdyby tylko mógł znaleźć na jej miejsce jakąś inną starą pannę, która potrafiłaby równie znakomicie gotować...

Popatrzył na zdezelowany czarny samochód niewiadomego rocznika, który kaszłąc dymem spalin, toczył się powoli drogą. Jechała nim jego najbliższa sąsiadka. Jej drewniany, pomalowany na biało domek z zielonymi wykończeniami był ledwie widoczny przez gąszcz drzew hikorowych i jądłoszynów, oddzielających jego rozległą posiadłość od jej niewielkiej działki. Nazywała się Grace Carver i opiekowała się swoją starą babcią, poważnie chorą na serce. Wnuczka nie była zbyt efektowna. Splatała włosy blond w długi warkocz i chodziła najczęściej w luźnych dżinsach i bluzie od dresu. Wobec Garona zachowywała się nieśmiało. W istocie wyglądało na to, że się go wręcz boi. Dziwiło go to, ale uznał, że widocznie opinia o nim już rozeszła się po okolicy.

Poznał tę dziewczynę, kiedy jej stary owczarek niemiecki uciekł ze swego ogrodzonego wybiegu i wkroczył na teren jego posiadłości. Wkrótce panna Carver zjawiła się, szukając psa, i zarzuciła Garona gorącymi przeprosinami. Miała bladozielone oczy i owalną twarz. Nie odznaczała się szczególną urodą, z wyjątkiem ładnych ust i gładkiej cery. Nie podeszła na tyle blisko, by podać mu rękę, i po przeprosinach oraz przedstawieniu się odeszła pośpiesznie, niemal wlokąc za sobą psiego winowajcę. Odtąd już się nie pokazała. Mniej więcej tydzień później panna Jane oznajmiła mu, że wiekowy owczarek zdechł. Zresztą stara pani Collier, babka Grace, nie lubiła psów. Garon napomknął, że wnuczka była w jego obecności trochę zdenerwowana, na co panna Turner odparła, że Grace zachowuje się wobec mężczyzn „dziwacznie”. Bóg jeden wie, co miała na myśli.

Powiedziała mu też, że Grace rzadko wychodzi z domu. Nie podała więcej szczegółów, a Garon nie pytał, gdyż osoba panny Carver go nie

ciekawiła. Lubił od czasu do czasu spędzić noc z kobietą, najchętniej nowoczesną i wykształconą. Jednak panna Carver należała do gatunku, który nigdy nie wzbudzał jego zainteresowania.

Raz jeszcze zerknął na zegarek, zamknął frontowe drzwi i wsiadł do swego czarnego bucara. Miał prawo korzystać z urzędowego pojazdu, chociaż w jego garażu stały nowy czarny jaguar oraz wielki ford expedition. Jednakże trzymał swoje rzeczy i sprzęt w bucarze i jeździł nim do biura. Dojazdy do pracy stanowiły pewną uciążliwość, lecz zabierały mu najwyżej dwadzieścia minut w każdą stronę. Poza tym znużyło go już życie w wynajętym mieszkaniu. Wprawdzie panna Turner bywała czasem opryskliwa, ale świetnie gotowała i prowadziła dom tak sprawnie, że nie musiał się o nic kłopotać. Uważał się więc za szczęściarza.

Ruszył podjazdem, rzucając w przelocie zaciekawione spojrzenie na krztuszący się silnik samochodu Grace. Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że dziewczyna nie ma pojęcia, że jej auto jest uszkodzone. Widywał ją niekiedy, jak nawoziła i przycinała kilka krzaków róż. To jedno ich łączyło. Garon kochał róże i w trakcie swego krótkiego małżeństwa wyhodował kilka rzadkich odmian. Było to jego ulubione hobby; będzie się mógł znowu mu poświęcić na tym wielkim ranczu. Naturalnie teraz był luty, a niewiele róż zakwita o tej porze roku.

Gdy wszedł do biura, stwierdził, że panuje w nim gorączkowy rejewach. W jego gabinecie czekał miejscowy oficer śledczy z wydziału zabójstw Departamentu Policji w San Antonio.

- Nie miałem nawet czasu poinformować szefostwa o kursie - mruknął Garon do sekretarki, którą dzielił z innym agentem. - Czego on chce? - dodał, wskazując głową wysokiego mężczyznę, stojącego przy

oknie z rękami w kieszeniach, z ciemnymi włosami związanymi w długi koński ogon - dłuższy nawet od tego, jaki nosił brat Garona, Cash. Ta fryzura wskazywała niedwuznacznie, że nieznajomy jest kimś w rodzaju buntownika.

- To ma związek ze sprawą porwanego dziecka, nad którą pracuje.

- Nie zajmuję się zaginionymi osobami, chyba że kończą jako ofiary zabójstw - przypomniał jej.

Rzuciła mu znaczące spojrzenie.

- Pracuję tutaj - parsknęła - i wiem, czym się zajmujesz.

Popatrzył na nią gniewnym wzrokiem.

- Nie bądź za sprytna.

- A ty nie bądź za cwany - odcięła się. - Mogłabym zarabiać dwadzieścia dolarów na godzinę jako hydraulik.

- Joceline, nie potrafisz nawet wymienić uszczelki - powiedział spokojnie. - Nie pamiętasz, co się stało, kiedy próbowałaś naprawić ciekący kran w damskiej toalecie?

Odgarnęła do tyłu krótko przycięte ciemne włosy.

- I tak już trzeba było umyć podłogę - rzekła wyniośle. - A jeśli chcesz się dowiedzieć, o co chodzi detektywowi Marguezowi, może po prostu go zapytaj.

Westchnął z irytacją.

- Dobrze. A co z filiżanką kawy?

- Dziękuję, już jedną wypiałam - odparła z przekornym uśmiechem.

- Nie cierpię wyzwolonych kobiet - rzekł zrzędlwym tonem.

- O rety, nie umiesz sam przynieść sobie filiżanki kawy? - spytała z udawanym zdziwieniem.

- Poczekajmy, aż poprosisz mnie o podwyżkę - powiedział.

- Poczekajmy, aż będziesz chciał, żebym przepisała twój raport śledczy - odparowała z satysfakcją.

Idąc do gabinetu, kłął cicho po hiszpańsku. Miał nadzieję, że Joceline zrozumiała te przekleństwa, ale nawet jeśli tak było, nie dała nic po sobie poznać.

Oficer usłyszał jego kroki i odwrócił się od okna. Miał czarne oczy i oliwkową twarz, na której malował się wyraz zatroskania.

- Nazywam się Marquez - przedstawił się, podając rękę Garonowi. - A pan, jak sędzę, jest agentem specjalnym i nazywa się Grier?

- Wolałbym nim nie być, gdyż wtedy nie musiałbym zajmować się wszystkimi tymi papierzyskami, piętrzącymi się na moim biurku - rzucił sucho Garon. - Proszę usiąść. Napije się pan kawy? - spytał, a potem się skrzywił. - Tyle że będziemy musieli sami ją sobie przynieść, ponieważ moja sekretarka jest „kobietą wyzwoloną” - powiedział, podnosząc głos, gdy Joceline przechodziła obok drzwi gabinetu.

- Komputer zaraz pożre twój sześciostronicowy list do prokuratora generalnego, zawierający propozycje ustawodawcze - zawołała beztrąsko.

- Współczuję ci, ale jestem pewna, że możesz napisać nowy...

- Jeżeli kiedykolwiek będziesz brała ślub, poprowadzę cię do ołtarza!

- Jeśli ty kiedykolwiek będziesz brał ślub, ja poprowadzę cię do ołtarza - zripostowała, nie zatrzymując się.

Garon warknął coś do siebie i usiadł za biurkiem.

- Ona i moja gospodyni z pewnością są siostrami - zwrócił się do przybysza. - Zatrudniam je, a one mną komenderują.

Marquez skwitował tę uwagę uśmiechem i rzekł:

- Podobno stoi pan na czele oddziału zajmującego się brutalnymi przestępstwami przeciwko dzieciom.

Garon rozparł się w fotelu, a z jego twarzy ulotniło się rozbawienie.

- Formalnie rzecz biorąc, kieruję oddziałem, który zajmuje się brutalnymi przestępstwami, łącznie z seryjnymi morderstwami. Nigdy nie miałem do czynienia z zabójstwami dzieci.

Marquez nachmurzył się.

- Więc kto się tym zajmuje?

- Od przestępstw przeciwko dzieciom był u nas agent specjalny Trent Jones, ale właśnie przeniesiono go z powrotem do Quantico, do pracy nad najgłośniejszymi sprawami. Nie zdążyliśmy go jeszcze nikim zastąpić. - Garon zmarszczył brwi. - Joceline, zdaje się, powiedziała, że prowadzi pan śledztwo dotyczące czyjś zaginięcia...

Marquez skinął głową. Był równie poważny jak Garon.

- To zaczęło się od zaginięcia, a przekształciło w zabójstwo dziesięcioletniej dziewczynki - wyjaśnił. - Sprawdziliśmy wszystkich z jej otoczenia, w tym także rodziców, ale nie znaleźliśmy mordercy. Obecnie sądzimy, że to mógł być ktoś obcy.

Sprawa była poważna. Media coraz donosiły o porwaniach w całym kraju dzieci, mordowanych przez notorycznych przestępców seksualnych. Tak więc ten przypadek był tragiczny, ale dość pospolity.

- Macie jakieś poszlaki? Marquez potrząsnął głową.

- Dopiero wczoraj znaleźliśmy ciało. Dlatego tutaj jestem.

Odnaleźliśmy podobny przypadek. To wygląda na robotę seryjnego mordercy. A zatem mógłby mi pan pomóc.

Garon odchylił się w fotelu.

- Kiedy ją porwano?

- Trzy dni temu - odrzekł cicho Marquez.

- Znalaziono jakieś ślady na miejscu przestępstwa?

- Nie, chociaż nasi kryminolodzy przeszukali na czworakach całą jej sypialnię. Jednak nie znaleźli żadnych obcych odcisków palców.

- Przestępca porwał ją z jej sypialni? - spytał zaskoczony Garon.

- W środku nocy - i nikt niczego nie słyszał.

- Ślady stóp, opon samochodowych... ? Marquez pokręcił głową.

- Albo ten facet miał kupę szczęścia, albo...

- ... robił już wcześniej takie rzeczy - dokończył za niego Garon.

Marquez głęboko wciągnął powietrze.

- Właśnie. Naturalnie mój szef porucznik jest innego zdania. Uważa, że chodzi o pedofila, który wyniósł dziewczynkę, a potem ją zabił.

Powiedziałem mu, że to drugi przypadek porwania dziecka z sypialni w ciągu ostatnich dwóch lat. Poprzedni miał miejsce w Palo Verde, a ofiarę zamordowano w podobny sposób. Odnalazłem tę sprawę na liście VICAP

- programie FBI zawierającym dane o wyjątkowo okrutnych zbrodniach.

Pokazałem ją porucznikowi, a on odpowiedział, że szukam wiatru w polu.

Garon uniósł brwi.

- Czy sprawdził pan inne nierozwiązane sprawy zabójstw dzieci?

- Owszem - odparł ponuro Marquez. - Znalazłem dwa przypadki, które zdarzyły się w Oklahomie przed ośmiu laty, w ciągu jednego roku. W obydwu razach dzieci porwano z ich domów, ale w biały dzień. Kiedy zaznajomiłem z tymi sprawami porucznika, zawyrokował, że to zwykły zbieg okoliczności i nie ma pomiędzy nimi żadnych podobieństw, z wyjątkiem tego, że dzieciaki zostały uduszone i zakłute nożem.

- Ofiary - poprawił go Garon. - W jakim były wieku?

Marquez wyjął notebook i otworzył ekran.

- Dziesięć i dwanaście lat. Zostały zgwałcone, a potem uduszone i zadźgane.

- Boże! - wybuchnął Garon. - Co za bestia mogła zrobić coś takiego dziecku?

- Nadzwyczaj wstrętna bestia - odparł Marquez. Podniósł wzrok znad notebooka, wyjął z kieszeni plastikową torebkę do przechowywania dowodów rzeczowych i podał ją Garonowi. - Miałem nadzieję, że w przypadkach z listy VICAP pojawi się ta czerwona wstążka, ale nie dopisało mi szczęście.

Garon otworzył ją i zajrzał do środka.

- Jedwabna czerwona wstążka?

- Narzędzie zbrodni - wyjaśnił Marquez. - Pierwsi na miejscu zabójstwa zjawili się wczoraj policjanci z wydziału policji w San Antonio. Znaleźli ciało dziesięcioletniej dziewczynki za małym wiejskim kościółkiem na północ stąd. Ta wstążka była zawiązana wokół jej szyi. Przewieźliśmy ciało tutaj, żeby zbadał je nasz lekarz sądowy. Jednak nie podaliśmy do prasy informacji o tej czerwonej wstążce.

Garon znalazł powód. Wszyscy oficerowie śledczy z wydziałów zabójstw starają się zataić jeden lub dwa dowody rzeczowe, aby za ich pomocą móc wyeliminować potencjalnych podejrzanych, którzy kłamią na temat swego powiązania z morderstwem. Każdy wydział policji ma do czynienia z co najmniej jednym chorym psychicznie osobnikiem, który przyznaje się do popełnienia każdej brutalnej zbrodni, powodowany motywami interesującymi raczej psychiatrę niż detektywa.

Dotknął wstążki.

- Ona może mieć coś wspólnego z jego erotycznymi fantazjami - powiedział z zadumą.

Niedawno uczestniczył w cyklu seminariów zorganizowanych przez wydział FBI do spraw profilów psychologicznych przestępców i miał okazję obserwować sposób działania jego pracowników. Starali się oni ustalić metodę zabijania, stosowaną każdorazowo przez danego seryjnego mordercę, oraz odnaleźć cechę wspólną wszystkich jego ofiar. Niektórzy zabójcy układają swoje ofiary w obscenicznych pozach, inni znaczą je w szczególnie sposób, a wielu pozostawia na miejscu zbrodni coś, co pozwala zidentyfikować ich jako podejrzanych.

Garon rzucił okiem na oficera i zapytał:

- Sprawdził pan w komputerowej bazie danych, czy przy innych zabójstwach znajdowano podobne wstążki?

- To pierwsze, co zrobiłem, kiedy ją zobaczyłem - odparł Marquez. - Ale bez powodzenia. Jeśli nawet kiedyś pojawiła się taka wstążka, mogła zostać przeoczona albo nieuwzględniona w raporcie. Próbowałem się skontaktować z wydziałem policji w Palo Verde w zachodnim Teksasie, ale nie odbierają telefonów i nie odpowiadają na e-maile. To niewielki prowincjonalny okręg.

- Proszę próbować, to dobry pomysł. A czego oczekuje pan od nas?

- Na początek przydałby się profil psychologiczny przestępcy - odparł Marquez. - Mojemu porucznikowi to się nie spodoba, ale porozmawiam z kapitanem i spróbuję go nakłonić, żeby wystosował do was oficjalną prośbę o pomoc. Sam wspomniał mi o konieczności ustalenia charakterystyki mordercy.

Garon uśmiechnął się.

- Poinformuję o tej sprawie jednego z naszych analityków, żeby wiedział, czego się ma spodziewać. Niestety, nasz agent specjalny zajmujący się tego rodzaju sprawami jest teraz w Waszyngtonie.

Usiłuje zdobyć fundusze na nowy projekt, który próbujemy rozkręcić we współpracy z gimnazjami. Chodzi o odstraszenie dzieciaków od sięgania po narkotyki.

- Powinien zwrócić się o pieniądze do kogoś, kto ma ich więcej niż nasz rząd - rzucił szyderczo Marquez. - Na szczeblu lokalnym nasz budżet obcięto do minimum. Musiałem kupić z własnej kieszeni cyfrowy aparat fotograficzny, żeby móc robić zdjęcia miejsc zbrodni.

Garon zaśmiał się krótko.

- Znam ten ból.

- Czy to prawda, że bardzo wiele przestępstw nigdy nie trafia na listę VICAP? - spytał Marquez.

- Tak. Wprawdzie formularze są krótsze niż dawniej, ale wypełnienie jednego wciąż zabiera około godziny. W niektórych wydziałach policji po prostu nie ma na to czasu. Gdyby udało się panu znaleźć inną sprawę, w której występuje wstążka, może moglibyśmy razem przekonać pańskiego szefa, że chodzi o niebezpiecznego seryjnego zabójcę. Zanim znowu kogoś zamorduje - dodał posępnie.

- Czy mógłby pan przydzielić nam któregoś ze swoich agentów, jeżeli w pościg za tym mordercą skierujemy oddziały specjalne?

- Sam mogę włączyć się do śledztwa. Reszta mojego oddziału stara się wytropić bandę rabującą banki, która podczas napadów używa broni maszynowej. Ja nie jestem im niezbędny w tej akcji. Pod moją

nieobecność oddziałem może dowodzić mój zastępca. W przeszłości zajmowałem się seryjnymi zabójstwami i znam w Zespole Profilów Psychologicznych agentów, których mogę poprosić o pomoc. Z przyjemnością podejmę z panem współpracę.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Wszyscy gramy w jednej drużynie.

- Ma pan wizytówkę?

Garon wyjął z portfela zwykłą białą kartę wizytową z czarnym nadrukiem.

- Na dole jest numer mojego domowego telefonu, a także numer komórki i adres e-mailowy.

Marquez uniósł brwi ze zdziwienia.

- Mieszka pan w Jacobsville.

- Tak. Mam tam ranczo. - Garon roześmiał się. - Zasadniczo nie powinniśmy angażować się w żadne przedsięwzięcia biznesowe poza naszą pracą, ale wykorzystałem swoje znajomości i nabyłem ranczo. Zarządca wykonuje codzienne obowiązki, tak więc nie dochodzi do konfliktu interesów.

- Urodziłem się w Jacobsville - oznajmił z uśmiechem Marquez. - Moja matka nadal tam mieszka i prowadzi restaurację.

W Jacobsville była tylko jedna knajpa i Garon w niej jadał.

- Restauracja Barbary? - zapytał.

- Tak.

Garon zmarszczył brwi. Nie chciał urazić przybysza, ale Barbara była blondynką.

- Pewnie myśli pan, że nie wyglądam na syna kobiety o jasnych włosach, prawda? - rzekł z uśmiechem Marquez. - Moi rodzice zginęli podczas nieudanej próby obrabowania ich niewielkiego lombardu. Miałem wtedy zaledwie sześć lat. Barbara straciła męża, a poza nim nie miała rodziny. Jako mały chłopiec często przynosiłem mamie i tacie posiłki z jej restauracji. Po pogrzebie Barbara zabrała mnie z domu dziecka i adoptowała. To prawdziwa dama.

- Tak słyszałem. Marquez spojrzął na zegarek.

- Muszę już lecieć. Zadzwońię do pana, kiedy rozmówię się z kapitanem.

- Lepiej niech pan wyśle e-mail - odparł Garon. - Przypuszczam, że przez większość dnia będę na zebraniach. Mam mnóstwo spraw do nadrobienia.

- Dobrze. A więc do zobaczenia.

- Cześć.

To był owocny dzień, pomyślał Garon, wracając samochodem do Jacobsville. Jego zespół obrabiał świadków ostatniego wielkiego napadu na bank, aby zdobyć informacje, które posuną naprzód śledztwo. Mężczyźni uzbrojeni w automatyczne pistolety maszynowe stanowili zagrożenie dla wszystkich mieszkańców San Antonio. Garon przeprowadził ze starszym oficerem rozmowę na temat zorganizowania, wraz z innymi oficerami wydziału zabójstw z San Antonio, oddziału specjalnego, który miałby tropić zabójcę tej dziewczynki. Funkcjonariusz wyraził zgodę. Powiedział, że ma kumpla w teksaskim oddziale komandosów, i dał Garo-nowi numer jego telefonu. W tej sprawie przyda się każde wsparcie.

Mijając dom Grace Carver, obrzucił go spojrzeniem. Jej samochód wciąż stał na podjeździe. Garon zastanowił się, czy dziewczyna zdoła go jeszcze uruchomić. To cud, że ten gruchot w ogóle jest na chodzie.

Wjechał na swój podjazd i o mało nie uderzył w tył srebrnego mercedesa kabrioletu. Wsiadła z niego znajoma ciemnooka brunetka, ubrana w czarny urzędowy żakiet, którego spódniczka sięgała tylko do połowy ud i odsłaniała zgrabne nogi. Kobieta niedawno podjęła pracę w agencji pośrednictwa handlu nieruchomościami należącej do Andy'ego Webba; właśnie od nich Garon kupił ranczo. Jej ciotką była bogata stara dama o nazwisku Talbot, mieszkająca w rezydencji przy głównej ulicy Jacobsville.

Jak ona się nazywa? - zastanowił się Garon. Jaqui. Jaqui Jones. Łatwo zapamiętać takie nazwisko i zawód, a jeszcze bardziej zapadała w pamięć jej świetna figura.

- Cześć - powitała go Jaqui miękkim głosem, gdy wysiadał z jaguara.

- Pomyślałam, że wpadnę, aby się upewnić, czy nadal jest pan zadowolony z nabytej posiadłości.

- Jestem całkiem zadowolony - odparł z uśmiechem.

- To doskonale! - Podeszła bliżej. Była tylko trochę niższa od Garona, który mierzył ponad metr osiemdziesiąt. - W przyszły piątek wieczorem wydaję przyjęcie w rezydencji mojej ciotki - oznajmiła. - Sprawiłby mi pan wielką przyjemność, gdyby się pan na nim zjawił. Byłaby to dla pana miła okazja poznania śmietanki towarzyskiej Jacobsville.

- Gdzie i o której? - spytał. Uśmiechnęła się promiennie.

- Zapiszę panu adres. Chwileczkę.

Wróciła do samochodu i pochyliła się, aby wyjąć pióro i notes. Dzięki temu Garon mógł się jej dokładnie przyjrzeć. Już na pierwszy rzut oka zorientował się, że Jaqui jest wolna i chętna do nawiązywania znajomości. Podobnie jak on.

Zapisała adres i podała mu kartkę.

- Proszę przyjść około szóstej - powiedziała. - Wiem, że to wcześnie, ale będziemy mogli wypić parę drinków i poczekać, aż zjawią się pozostali goście.

- Ja nie piję - oświadczył.

Wyglądała na zaskoczoną. Garon najwyraźniej nie żartował.

- No cóż, wobec tego czekając napijemy się kawy - powiedziała i uśmiechnęła się tak, że ujrzano jej nieskazitelnie utrzymane zęby.

- Świetnie. A zatem do zobaczenia. Zawahała się, jakby chciała zostać.

- Dzisiaj wcześnie rano przyleciałem z Waszyngtonu - rzekł. - A potem miałem ciężki dzień w biurze. Jestem wykończony.

- Więc już pójdę i pozwolę panu odpocząć - odparła natychmiast i znowu się uśmiechnęła.

- Proszę nie zapomnieć o przyjęciu.

- Nie zapomnę.

Obszedł jej samochód i zaparkował przed domem na półkolistym placu. Jaqui ominęła go i wjechała na podjazd, machając do niego przez otwarte okno.

Wszedł do domu i o mało nie wpadł na pannę Jane.

- Ta modnisi zaparkowała na podjeździe i powiedziała, że zaczeka na pana. Nie zaprosiłam jej do środka - dodała wojowniczym tonem. - Jest

w naszym mieście dopiero od dwóch miesięcy, a już wywołała skandal, głaszcząc po nodze Bena Smitha w jego własnym gabinecie!

Widocznie to uchodzi tutaj za coś w rodzaju bluźnierstwa, pomyślał Garon, czekając na dalszy ciąg.

- Ben natychmiast strząsnął jej rękę, otworzył drzwi i wyprowadził ją prosto na chodnik. Wie pan, jego żona pracuje w tym biurze razem z nim. Kiedy powiadomił ją, co się stało, poszła prosto do Webba i powiedziała, co może sobie zrobić z posiadłością, którą zamierzali od niego nabyć!

Garon wydał wargi.

- Szybko działa, co?

- Jak ulicznica - rzuciła ozieble panna Jane.

- Żadna przyzwoita kobieta się tak nie zachowuje!

- Mamy dwudziesty pierwszy wiek... - zaczął.

- Czy pańska matka kiedykolwiek tak postąpiła?

Garon zamilkł. Jego matka była świętą kobietą. Nie potrafiłby sobie jej wyobrazić spoufalającej się z jakimkolwiek innym mężczyzną oprócz jego ojca

- dopóki jej nie zdradził i nie wpędził przez to do grobu.

Panna Jane wyczytała odpowiedź z jego twarzy.

- Moja matka też by tego nie zrobiła - ciągnęła.

- Kobieta tak swobodna wobec nieznanym nigdy się nie zmieni i nawet po ślubie się nie ustakuje. To samo dotyczy mężczyzn, którzy zmieniają kobiety jak rękawiczki.

- A więc wszyscy w tym mieście żyją w celibacie?

Wpatrywała się w niego gniewnie przez długą chwilę.

- Ludzie w małych miasteczkach przeważnie pobierają się, a potem rodzą i wychowują dzieci. Patrzymy na życie inaczej niż mieszkańcy wielkich miast. Honor i uczciwość liczą się dla nas o wiele bardziej niż ubijanie umów handlowych i popijanie martini na lunchach. Jesteśmy prostymi ludźmi, panie Grier, ale widzimy więcej niż obcy i osądzamy wedle tego, co widzimy.

- Czy w Biblii przypadkiem nie mówi się czegoś o osądzaniu innych? - zripostował.

- Wspomina się w niej również kilkakrotnie o dobru i złu - pouczyła go. - Cywilizacje upadają, w momencie gdy sztuka i religia stają się zbędne.

Garon uniósł brwi ze zdziwienia.

- Och, uważał mnie pan za głupią tylko dlatego, że prowadzę panu dom? - rzuciła beztróskim tonem. - Mam magisterium z historii - dodała z uroczym uśmiechem. - Uczyłam w szkole w dużym mieście, dopóki jeden z uczniów nie pobił mnie prawie na śmierć na oczach całej klasy. Kiedy wyszłam ze szpitala, byłam w zbyt wielkim szoku, by wrócić do nauczania. Tak więc obecnie zajmuję się domami innych ludzi. To bezpieczniejsze - zwłaszcza jeśli owi ludzie pracują w organach ochrony porządku publicznego. Pańska kolacja jest już gotowa - dodała.

- Dziękuję.

Odeszła, zanim zdążył dodać coś więcej. Jej wyznanie wprawiło go w oszołomienie. Uświadomił sobie, że pannę Jane Turner polecił mu szeryf Jacobsville, Hayes Carson. Pracowała w jego domu jako dochodząca, dopóki nie udało mu się zatrudnić stałej gospodyni, na jakiej mu zależało. Nic dziwnego, że bała się wrócić do poprzedniego zawodu.

Potrząsnął głową. Za jego uczniowskich czasów nauczyciele cieszyli się poważaniem. Widocznie wiele się zmieniło przez te dwie dekady, odkąd skończył liceum i wstąpił do college'u.

Kiedy po kolacji leżał w łóżku i nie mogąc usnąć, wpatrywał się w sufit, usłyszał gwałtowne walenie do frontowych drzwi.

Wstał, narzucił szlafrok i z tupotem zbiegł boso po schodach. Panna Jane była już na dole. Zapaliła światło na ganku i zaczęła otwierać drzwi.

- Niech pani najpierw zobaczy, kto to jest! - krzyknął do niej, trzymając rękę na kolbie glocka kaliber 40, który przed chwilą wsunął do kieszeni.

- Wiem, kto to - odparła i szybko otworzyła drzwi.

Ujrzeni ich najbliższą sąsiadkę, Grace Carver. Stała w wytartym starym szlafroku i znoszonych butach. Jej długie jasne włosy były ściągnięte w koński ogon, a w oczach widniał wyraz gorączkowego niepokoju.

- Przepraszam, czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu? - wydyszała. - Babcia ma duszności i bóle w klatce piersiowej. Boję się, że to atak serca. Mój telefon nie działa, a samochód nie chce zapalić! - Po jej policzkach stoczyły się łzy bezsilnej wściekłości. - Ona umrze!

Zanim skończyła mówić, Garon już zadzwonił na pogotowie i podał dyspozytorce adres oraz stan starej kobiety.

- Zaczekaj na mnie - rzekł stanowczym tonem do Grace. - Zaraz wrócę.

Wbiegł po schodach na górę, pośpiesznie włożył dzinsy i koszulę i wciągnął buty na boscie nogi. Chwycił dzinsową kurtkę, ponieważ na

dworze było zimno, i po niespełna pięciu minutach był z powrotem na dole.

- Szybko się pan uwinął - wykrztusiła Grace.

- Wzywaj ą mnie o wszelkich porach dnia i nocy - wyjaśnił, ujmując ją za łokieć. - Panno Jane, nie wiem, kiedy wrócę. Wezmę klucze. Proszę zamknąć drzwi i położyć się spać.

- Dobrze, proszę pana. Grace, pomodlę się za ciebie. Za pana także.

- Dziękuję, panno Jane - odpowiedziała Grace cicho z lekkim południowym akcentem, miękkim i przyjemnym dla ucha.

Garon otworzył drzwi jaguara. Grace wsiadła do środka. Poczula się zakłopotana - nie tylko z powodu swego starego szlafroka, lecz również dlatego, że nie przywykła do przebywania sam na sam z mężczyznami.

Garon przez całą drogę się nie odezwał. Wjechał na podjazd przed domem babki Grace i zgasił silnik, po czym oboje wbiegli pośpiesznie po schodkach.

Stara pani Jessie Collier siedziała w łóżku w grubej niebieskiej koszuli nocnej, która wyglądała, jakby przekazywano ją z pokolenia na pokolenie od lat dwudziestych zeszłego wieku. Była wysoka, miała siwe włosy zwinięte w kok i wodniste zielone oczy. Oddychała ciężko.

- Grace, na miłość boską - wysapała. - Idź poszukaj mojego płaszcza kąpielowego.

- Dobrze, babciu - odrzekła Grace. Otworzyła szafę wnękową i zaczęła w niej grzebać.

- Głupia dziewczyna, niczego nie potrafi zrobić jak należy - sapnęła stara kobieta i popatrzyła gniewnie na Garona. - Kim pan jest?

- Pani najbliższym sąsiadem - odparł. - Karetka zaraz przyjedzie.

- Karetka! - Spiorunowała wzrokiem Grace, która wróciła z grubym, białym, włochatym szlafrokiem. - Powiedziałam ci... żebyśmy jechały... samochodem! Wezwanie karetki dużo kosztuje!

Grace się skrzywiła.

- Nie udało mi się uruchomić samochodu, babciu.

- Zepsułaś go, co? - rzuciła wściekle pani Collier. - Ty beznadziejna... - urwała, jęknęła i przycisnęła dłoń do piersi.

- Babciu, proszę, nie denerwuj się - powiedziała błagalnie Grace z udreńczoną miną. - Tylko sobie zaszkodzisz!

- Byłabyś zadowolona, gdybym umarła, prawda? - odrzekła opryskliwie. - Miałabyś cały ten dom dla siebie i nie musiałabyś już zajmować się starą kobietą.

- Nie mów tak - powiedziała cicho dziewczyna. - Przecież wiesz, że cię kocham.

Pani Collier parsknęła.

- Ale ja cię nie kocham. Kosztowałaś mnie moją córkę, skompromitowałaś mnie publicznie i sprawiłaś, że wstydzę się pokazać w mieście!

- Babciu - wycedziła Grace z bolesnym grymasem.

- Chciałabym już umrzeć - wydyszała z wściekłością stara kobieta. - Nie musiałabym cię więcej oglądać.

Gruntową drogą nadjeżdżał ambulans, wyjąc syreną i błyskając światłami. Grace westchnęła z ulgą. Nie chciała, aby jej sąsiad przysłuchiwał się dłużej oskarżeniom babki. To nie jego sprawa. Już sama obecność Garona wprawiała ją w zakłopotanie.

- Przyprawdzą ich tutaj - powiedziała, pragnąc uciec i zakończyć tę krępującą scenę.

- Ta głupia dziewczucha zrujnowała mi życie - burknęła Jessie Collier.

Garon poczuł dreszcz obrzydzenia, gdy przyglądał się starej kobiecie przyciskającej rękę do piersi. Dziewczyna poświęcała się dla swej babki, która miała w sobie tyle uczucia co pyton. Może to choroba uczyniła ją tak złośliwą? Kobiety w jego rodzinie umierały, przepraszając pielęgniarzy za to, że muszą podawać im basen. Takie urocze, kochające niewiasty nawet w godzinie śmierci pozostają anielsko dobre. Pani Collier stanowiła ich przeciwieństwo.

Po schodach weszła Grace, a za nią dwaj ratownicy medyczni z noszami. Skinęli głowami Garo-nowi i zajęli się chorą.

- Czy to atak serca? - spytała Grace zaniepokojonym tonem. - Nic jej nie będzie?

Jeden z ratowników podniósł na nią wzrok.

- Pani jest jej córką?

- Wnuczką.

- Czy miała już wcześniej podobne objawy?

- Tak. Doktor Coltrain dał jej nitroglicerynę w tabletkach, lecz ona nie chce ich zażywać. Zapisał jej również leki przeciw nadciśnieniu, ale ich także nie bierze.

- Lekarstwa kosztują! - warknęła stara kobieta.

- Mam tylko zasiłek, a z tego, co ona zarabia, pracując na niepełnym etacie w kwaciarni i gotując, nie wyżywiłaby się nawet mysz.

- Nie mogę zostawić cię samej na cały dzień, a musiałabym tak robić, gdybym pracowała na cały etat - odparła przygnębiona Grace.

Nie dodała, że musiałaby również wynająć kogoś, kto pod jej nieobecność opiekowałby się babką - a nikt, kto zna tę starą kobietę, nie przyjąłby tej pracy.

- Dobra wymówka, co? - burknęła pani Collier, a potem nagle przycisnęła dłoń do piersi i krzyknęła: - Och!

- Gdzie są te tabletki nitrogliceryny? - spytał szybko jeden z ratowników.

Grace obiegła łóżko, wyjęła je z szuflady nocnego stolika i podała mężczyźnie, który pomimo protestów pani Collier włożył jej jedną pod język. Stara kobieta wzdrygnęła się, gdy lek zaczął działać, ale badający ją pielęgniarz rzucił swemu towarzyszowi wymowne spojrzenie.

- Będziemy musieli przewieźć babcię do szpitala - powiedział do niego. - Czy może pani pojechać z nami? - zapytał Grace.

- Tak, tylko... tylko się ubiorę. To potrwa moment.

Wybiegła pospiesznie do swego pokoju, włożyła dżinsy, bluzę od dresu i stare tenisówki i po chwili była z powrotem. Nie traciła czasu na makijaż czy uczesanie włosów - nie wybierała się przecież na przyjęcie.

Garon zerknął na nią. Wprawdzie nie wygrałaby konkursu piękności, ale podziwiał tempo, w jakim się ubrała. Większość znanych mu kobiet całymi godzinami stroiła się i robiła sobie makijaż.

- Pojadę za tobą jaguarem, a potem odwiozę cię do domu - powiedział.

Grace zaczęła protestować, ale jeden z ratowników potrząsnął głową i oznajmił:

- Prawdopodobnie będziemy musieli zatrzymać ją przynajmniej przez noc.

- Nie zostanę w szpitalu! - zawołała z furią pani Collier, lecz nadal oddychała z trudem i trzymała się za serce.

- Zostanie - zawyrokował starszy z ratowników ze znaczącym uśmiechem. - Bierzemy ją, Jake.

Gdy ratownicy wynosili na noszach panią Collier, która wciąż pomrukiwała gniewnie, Grace cofnęła się i stanęła obok Garona. Bez słowa zaprowadził ją do jaguara i pomógł usiąść w fotelu pasażera.

- Czy nie będziesz potrzebowała torebki? - spytał.

Wskazała saszetkę przy pasku.

- Mam tu legitymacje babci, niezbędne do zarejestrowania jej w szpitalu - powiedziała smutno.

- Ona nie może umrzeć - dodała głuchym głosem.

- Tylko ją jedną mam na świecie.

To niezbyt wiele, pomyślał Garon, ale nie powiedział jej tego. Pogodził się z tym, że straci większość nocy i sen, którego tak bardzo potrzebował.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dopiero o północy zakończono wszystkie niezbędne badania.

Okazało się, że stara pani Collier ma dosyć rozległy zawał. Po zapoznaniu się z wynikami doktor Jeb „Rudy” Coltrain wyszedł do poczekalni, żeby pomówić z Grace.

- Z twoją babką jest bardzo źle - powiedział jej. - Przykro mi, ale to nie powinno być dla ciebie zaskoczeniem. Mówiłem ci, że to się w końcu zdarzy.

- Ale przecież są lekarstwa i nowe metody operacyjne, o których mówi się w wiadomościach telewizyjnych - sprzeciwiła się.

Lekarz zrobił ruch, jakby chciał położyć jej dłoń na ramieniu, ale cofnął rękę. Garon spostrzegł z zaciekawieniem, że Grace zeszywniała.

- Większość z tych metod znajduje się w fazie eksperymentu - powiedział łagodnie Coltrain. - A wspomniane przez ciebie środki farmaceutyczne nie zostały jeszcze zatwierdzone przez Federalny Urząd Żywności i Leków.

Grace przygryzła wargę. Garon zauważył mimo woli, że dziewczyna ma pięknie zarysowane usta o naturalnym różowym odcieniu oraz brzoskwiniowo kremową cerę, jaką rzadko się widzi u kobiety bez makijażu. Jej miękkie, złociste włosy były związane w koński ogon, ale rozpuszczone spłynęłyby łagodną falą do połowy pleców. Miała wąską talię i małe jędrne piersi, no i świetną figurę. Garon zdał sobie sprawę, że przygląda się jej kragłym biodrom i długim nogom w obcisłych dżinsach, i z zakłopotaniem odwrócił wzrok ku Coltrainowi.

- Może to był tylko niewielki zawał - nie ustępowała Grace.

- Wkrótce dojdzie do poważniejszego - odparł ponuro. - Ona nie będzie przyjmowała lekarstw i nie zrezygnuje ze słonych chipsów ziemniaczanych ani z korniszonów w solnej zalewie - nawet jeśli przestaniesz je dla niej kupować, załatwi dostawę do domu. Spójrz prawdzie w oczy, Grace. Twoja babka nawet nie próbuje sobie pomóc. Nie możesz zmusić jej, aby żyła, jeżeli sama tego nie chce!

- Ale ja chcę, żeby ona żyła! - załkała dziewczyna.

Coltrain westchnął ciężko i skierował spojrzenie na Garona, który dotąd nie odezwał się ani słowem.

- Czy pan jest może bratem Casha? - zapytał. Garon skinął głową.

- Agentem FBI? - wypytywał dalej doktor.

Grier ponownie kiwnął głową.

- Nie mogłam uruchomić samochodu, a telefon nie działał - wyjaśniła Grace Coltrainowi, uniemożliwiając mu dalsze przesłuchiwanie Garona. Rudowłosy lekarz odnosił się szorstko i wrogo do nieznajomych, a Grier wydał jej się człowiekiem gwałtownym i wybuchowym. - Musiałam poprosić go o pomoc - dodała.

- Rozumiem - rzekł Coltrain, wciąż wpatrując się w Garona.

- Mogłabym zostać dziś w nocy z babcią - zaofiarowała się.

- Nie, nie możesz - rzucił Coltrain. - Jedź do siebie i trochę się prześpij. Będziesz potrzebować sił, jeżeli ona wróci do domu.

Grace zrobiła zrozpaczoną minę.

- Jak to, jeżeli"? - spytała.

- Chciałem powiedzieć: „gdy wróci do domu” - poprawił się Coltrain rozdrażniony.

- Ale powie pan, żeby mnie wezwano, jeśli będę potrzebna? - nalegała.

- Tak, powiem, żeby cię wezwano. A teraz idź do rejestracji i załatw niezbędne formalności - polecił, a kiedy zawahała się, zerkając na Garona, zapewnił: - On na ciebie zaczeka.

Grace odeszła.

Coltrain przyjrzał się wyższemu od siebie mężczyźnie oczami podkrążonymi ze zmęczenia.

- Dobrze zna pan tę rodzinę? - zapytał.

- Poprzednio tylko raz rozmawiałem z tą dziewczyną - odparł Garon.
- One mieszkają w domu sąsiadującym z moim.

- Wiem, gdzie mieszkają. Co pan wie o Grace?

Ciemne oczy Garona błysnęły.

- Nic. I nie chcę nic wiedzieć. Dzisiejszego wieczoru wyświadczyłem jej przysługę, ale nie zamierzam przyjmować za nikogo odpowiedzialności, a już zwłaszcza za starą pannę wyglądającą jak bezdomna nędzarka.

- Z takim podejściem nie ma pan czego szukać w Jacobsville - rzekł z oburzeniem Coltrain. - Grace jest kimś wyjątkowym.

- Skoro pan tak twierdzi - odparł nieporuszony Garon.

Doktor wciągnął głęboko powietrze i zaklął pod nosem, a potem spojrzał na oddalającą się Grace.

- Ona się załamie, jeśli jej babka umrze. A wkrótce tak się stanie - dodał chłodno. - Oprócz innych badań poleciłem zrobić jej EKG. Połowa jej mięśnia sercowego jest już martwa, a drugą doprowadzi do ruiny w chwili, gdy wypiszę ją ze szpitala - o ile w ogóle pożyje aż tak długo.

Dziewczyna sądzi, że podałem babci środki uspokajające. Ale ja tego nie zrobiłem. Ona jest w śpiączce. Nie mam odwagi powiedzieć o tym Grace. Dlatego nie mogę pozwolić, aby ją zobaczyła. Pani Collier jest na oddziale intensywnej opieki medycznej i nie przypuszczam, by prędko go opuściła. A Grace nie ma nikogo oprócz niej.

Garon zmarszczył brwi.

- Każdy ma jakichś krewnych. Coltrain zerknął na niego przelotnie.

- Jej rodzice rozwiedli się, kiedy miała dziesięć lat. Stara pani Collier musiała wziąć Grace do siebie i nigdy nie pozwoliła dziewczynie zapomnieć, jaką łaskę jej uczyniła. Gdy Grace skończyła dwanaście lat, jej matka, która wyprowadziła się poza miasto, zmarła wskutek przedawkowania leków. Ojciec zginął dwa lata wcześniej w katastrofie lotniczej. Ona nie ma żadnych wujów ani ciotek z wyjątkiem dalekiego kuzyna mieszkającego w Wiktorii, starego i niepełnosprawnego.

- Dlaczego miałyby kogokolwiek potrzebować? - spytał Garon. - Przecież jest dorosła.

Wydawało się, że Coltrain chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Grace jest niewinna i młodsza, niż na to wygląda - oznajmił wreszcie enigmatycznie i westchnął. - No cóż, będę wdzięczny, gdyby mógł pan odwiedzić ją do domu. Może Lou i ja jakoś sobie poradzimy, jeżeli będziemy musieli.

Lou była jego żoną, również lekarką. Oboje prowadzili praktykę u doktor Drew Morris.

Zirytowany Garon zmarszczył brwi. Miał wrażenie, że usiłuje się go obciążyć odpowiedzialnością za Grace, i wcale mu się to nie podobało.

Ale nie mógł przecież tak po prostu odejść i ją zostawić. Nagle wpadł na świetny pomysł. Niewątpliwie ktoś musi się poświęcić, ale niekoniecznie on sam.

- Pracuje u mnie panna Jane Turner, która zna pannę Carver - zaczął.

- Tak - powiedział Coltrain. - Jane była kiedyś jej nauczycielką. To najbliższa osoba, jaką Grace ma w Jacobsville, chociaż nie łączą ich więzy pokrewieństwa.

A więc dobrze, pomyślał Garon i wzruszył ramionami.

- Mogę wypożyczyć pannę Turner, żeby pomogła Grace Carver i przenocowała dziś u niej.

- To uprzejmie z pana z strony - rzekł Coltrain z lekkim sarkazmem. Garon pozostał niewzruszony i nawet nie mrugnął.

Lekarz zdał sobie sprawę, że napotkał godnego siebie przeciwnika. Odetchnął powoli i powiedział:

- Dobrze. Ale zanim puszczę Grace do domu, podam jej środek uspokajający. Będę wdzięczny, jeśli panna Turner zostanie u niej na noc.

- To żaden kłopot - odparł Garon.

Coltrain wciągnął Grace do gabinetu pomocy doraźnej i osłuchał jej serce.

- Nic mi nie jest - zaprotestowała kapryśnie.

- Nie wątpię - przytaknął. Odwrócił się i wziął ze stołu uprzednio napelnioną strzykawkę. Przemył wacikiem ramię dziewczyny i wbił igłę. - Jedź do domu i dobrze się wyśpij.

- Nie powiadomiłam telefonicznie Judy z kwaciarni, że rano nie będę mogła przyjść - powiedziała z przygnębieniem Grace. - Wyrzuci mnie z pracy.

- Nie sędzę. Z pewnością zrozumie twoje położenie. Poza tym Jill, która pracuje w pogotowiu, jest kuzynką Judy i opowie jej, co się stało - dodał z miłym uśmiechem.

- Dziękuję, doktorze - powiedziała Grace, wstając.

- Twój sąsiad wypożyczy ci pannę Turner. Ona zostanie u ciebie na noc - dorzucił.

- To miło z jego strony - rzekła, a potem się skrzywiła. - Jego sąsiedztwo jest dla mnie krępujące.

Coltrain nieznacznie zmarszczył brwi.

- On pracuje w organach ochrony porządku publicznego. W istocie, sądząc z tego, co mi powiedział jego brat Cash, potrafi świetnie tropić morderców i...

- Muszę już iść - przerwała mu, unikając jego wzroku.

- Nie musisz go lubić, Grace - rzekł Coltrain.

- Ale potrzebujesz kogoś, kto wesprze cię w tej trudnej sytuacji.

- Zrobi to panna Turner. - Odwróciła się do drzwi gabinetu. -

Dziękuję panu.

- Przetrawsz to, Grace - powiedział łagodnie.

- Wszyscy musimy stawić czoło utracie bliskich nam osób. To naturalna kolej rzeczy. Ostatecznie nikt nie schodzi z tego świata żywy - dodał, wychodząc za nią na korytarz.

Uśmiechnęła się lekko.

- Warto to zapamiętać.

- Owszem - rzekł.

Garon czekał na nią, przechadzając się po korytarzu z rękami w kieszeniach dżinsów. Usłyszawszy kroki wracających Grace i Coltraina,

podniósł na nich wzrok. Wyglądał na zmęczonego, a jednocześnie poirytowanego.

- Jestem już gotowa - oznajmiła, unikając spojrzenia jego ciemnych oczu. - Dziękuję, że pan na mnie zaczekał.

Garon kiwnął głową.

- Obiecuję, że zadzwonię do ciebie, jeżeli stan pani Collier ulegnie zmianie - przyrzekł jej Coltrain.

- Dobrze. Dziękuję, doktorze.

- Nie ma za co. Spróbuj trochę odpocząć.

Ruszyła do drzwi wyjściowych. Najwyraźniej zapomniała, że jej telefon nie działa i Coltrain nie będzie mógł się do niej dodzwonić.

Garon poszedł za nią, z rękami wciąż wetkniętymi w kieszenie. Nie odezwał się ani słowem do Coltraina, który spoglądał za nim gniewnie, dopóki jedna z pielęgniarek nie odwróciła jego uwagi.

Garon otworzył drzwi samochodu po stronie pasażera i pomógł Grace wsiąść. Wyjechali ze szpitalnego parkingu, a ona wciąż milczała.

Zerknął na nią kątem oka zza kierownicy.

- Dobrze zna pani doktora Coltraina, prawda? Skinęła głową, nie patrząc na niego.

- Jest bardzo opryskliwy - ciągnął.

Przyganiał kocioł garnkowi, pomyślała z rozbawieniem, ale była zbyt nieśmiała, by powiedzieć to głośno, i tylko znów kiwnęła głową.

Garon uniósł brwi. Czuł się, jakby rozmawiał sam ze sobą. Zastanawiał się, dlaczego Coltrain zrobił jej zastrzyk, zamiast podać jakiś środek doustny. Do diabła, czemu ten lekarz tak się o nią troszczy, że chce, aby ktoś został u niej na noc. Mnóstwo ludzi ma w rodzinie osoby ciężko

chore - i większość z nich potrafi sobie z tym poradzić bez środków uspokajających. Dotyczy to zwłaszcza kobiet tak młodych jak ta.

Cóż, to nie moja sprawa, pomyślał. Wyjął komórkę i zadzwonił do panny Turner. Odebrała natychmiast - najwidoczniej jeszcze się nie położyła.

- Czy może pani przenocować dziś u panny Carver? - zapytał.

- Oczywiście - odparła bez chwili wahania.

- Kiedy przyjedziecie, będę już gotowa - dodała i odłożyła słuchawkę.

Zamknął komórkę i wsadził ją do pustego pojemnika na kubek.

- Pojedziemy do mnie po pannę Turner, a potem odwiozę was obie. Jutro panna Turner będzie mogła wziąć mojego fordą i zawieźć panią do pracy, a potem do szpitala. Każę jednemu z moich ludzi, żeby z samego rana przyprowadził samochód i zostawił jej kluczyki.

Ten suv był jego drugim pojazdem, którego używał głównie do objeżdżania rancza. Jego zarządca i kowboje mieli własne środki lokomocji. Nie wspomniał Grace, że zamierza również polecieć jednemu ze swoich mechaników, by naprawił jej samochód. Nie chciał ponosić za nią odpowiedzialności dłużej niż to konieczne.

Nie miał nic przeciwko udzieleniu pomocy sąsiadce, o ile nie będzie to od niego wymagało osobistego zaangażowania ponad niezbędne minimum. Zarazem jednak jej współczuł. Miał wrażenie, że jest wyobcowana w tej małej miejscinie. Również nim niezbyt się interesowała. Siedziała teraz możliwie jak najdalej od niego i nie robiła nic, żeby zwrócić na siebie uwagę. Zauważył też, jak się wzdrygnęła, gdy Coltrain chciał współczująco położyć dłoń na jej ramieniu. To stanowiło wyraźny sygnał

ostrzegawczy, lecz Garon był zbyt zmęczony podróżą i brakiem snu, by głębiej się nad tym zastanawiać. Uznał, że im prędzej ulokuje bezpiecznie Grace, tym prędzej będzie mógł pójść spać.

Gdy podjeżdżał pod frontowe drzwi budynku rancza, pojawiła się w nich panna Turner z torebką oraz podróżną torbą. Usiadła na tylnym siedzeniu.

- Zamknęłam dom - oznajmiła. - Oczywiście ma pan swoje klucze?

- Tak.

- Grace, nic ci nie jest? Jak się czuje babcia?

- Bardzo źle, panno Turner - odrzekła dziewczyna sennym głosem. - Doktor Coltrain uważa, że to zawał, i nie daje zbyt wielkich nadziei.

- Nie martw się. On jest najlepszym lekarzem w okolicy. Wiesz, że zrobi wszystko, co w jego mocy.

- Tak, wiem. Dziękuję, że zechciała pani u mnie przenocować. To wielki dom.

- Owszem - przyznała panna Turner.

Zajechali przed frontowe drzwi starej i zaniedbanej, wiktoriańskiej rezydencji. Garon skrzywił się na widok łuszczącej się białej farby. Budynek wymagał odmalowania. Widocznie właścicielka nie miała pieniędzy na jego utrzymanie. Szkoda, pomyślał. To ładny dom.

- Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił - rzekła Grace oficjalnym tonem. - I za to, że pozwolił pan pannie Turner zostać u mnie na noc.

Wydawało się, że wypowiedzenie tych słów przyszło jej z ogromnym trudem. Garon zauważył spadający jej na oczy niesforny kosmyk włosów i nabrał o Grace odrobinę lepszego mniemania.

- Proszę pamiętać o zamknięciu drzwi na klucz - ostrzegł pannę Turner, gdy wysiadła z samochodu i podtrzymując Grace pod ramię, ruszyła w stronę frontowego ganku.

- Zamkniemy. Wstanę wcześniej rano i gdy tylko zjawi się tu ford expedition, przyjadę przygotować panu śniadanie. - Dobrze. Dobranoc.

Odjechał, rozmyślając już o czekających go jutro zawodowych obowiązkach. Natychmiast zapomniał o Grace.

Jednak gdy nazajutrz obudził się wyspany i wypoczęty, poczuł wyrzuty sumienia z powodu sposobu, w jaki poprzedniego wieczoru potraktował Grace Carver. Wspomnił, jak boleśnie przeżywał zgon swojej matki, a zwłaszcza śmierć ukochanej kobiety. Przypomniał sobie, że popadł w depresję i nie było przy nim nikogo, kto mógłby go wesprzeć. Jego rodzina przebywała wówczas w Teksasie, a on mieszkał i pracował w Atlancie. Powinien był pamiętać, jak zrozpaczony i samotny się wtedy czuł - a jednak wczoraj nie okazał Grace ani odrobiny współczucia.

Toteż wstał wcześniej niż zwykle, przygotował bułeczki i jajecznicę smażoną na boczku. Potem zadzwonił do domu pani Collier i dopiero wtedy przypomniał sobie, że jej telefon nie działa. Włożył więc garnitur, wsiadł do samochodu i pojechał po Grace i pannę Turner.

Obydwie, już ubrane, właśnie schodziły po schodach. Grace miała na sobie dzinsy i znowu powyciąganą sportową bluzę, a włosy upięła w kok. Na widok Garona zrobiły zdziwione miny.

- Przyrządziłem śniadanie - oznajmił bez żadnego wstępu. - Jedziemy.

- Ależ nie musiał pan zadawać sobie trudu - zaprotestowała dziewczyna.

Chciał ująć ją za ramię, ale cofnęła się natychmiast, otworzyła szeroko oczy i zaczerwieniła się. Popatrzył na nią gniewnie.

- To tylko śniadanie. Nie oświadczam się pani - dodał z nutką sarkazmu.

Uniosła brwi.

- I Bogu dzięki - rzuciła beztrosko. - Czyli cudem uszłam cała. - Zawahała się, napotkawszy jego obojętne spojrzenie. - A może powinnam to powiedzieć dopiero po śniadaniu?

Garon się nie uśmiechnął, lecz w jego oczach zamigotał wesoły błysk. Odchrząknął, unikając rozbawionego wzroku panny Turner, i poprowadził obie kobiety do samochodu.

Grace zjadła śniadanie z widoczną przyjemnością, lecz przez cały czas zachowywała się z rezerwą wobec wysokiego, małomównego sąsiada. Nigdy dotąd nie spotkała nikogo podobnego. Doszła do wniosku, że jeśli Garon w ogóle ma poczucie humoru, starannie je ukrywa.

- To było bardzo smaczne - powiedziała, gdy zjadła ostatni plasterek smażonego bekonu. - Czy mogę zadzwonić z pańskiego telefonu do szpitala?

- Naturalnie. W korytarzu jest drugi aparat. Wstała, otarła usta serwetką i wyszła.

- Jak ona się trzyma? - zapytał pannę Turner.

- Ciężko to przeżyje - odparła. - Pani Collier ma paskudny charakter, ale Grace mieszka u niej już tak długo, że prawdopodobnie nie dostrzega wad swojej babki.

- Zdążyłem zauważyć, że ta stara dama nie darzy jej przesadnym uczuciem.

Panna Turner się skrzywiła.

- Jest jeszcze gorzej. Pani Collier zawiodła Grace w momencie, gdy dziewczyna najbardziej jej potrzebowała. Myślę, że to poczucie winy sprawia, że ta stara kobieta odnosi się do wnuczki z taką nienawiścią.

- A co takiego się stało? - spytał zaciekawiony.

- Nie chcę plotkować o sprawach Grace - rzuciła krótko panna Turner.

Garon westchnął z rezygnacją i dopił swoją kawę. Najwidoczniej sekrety stanowiły nieodłączny element małomiasteczkowego życia.

Grace wróciła po chwili przygnębiona.

- Ona leży na oddziale intensywnej opieki medycznej - oznajmiła, siadając znowu przy stole. - Wczoraj w nocy mi o tym nie powiedzieli.

- Z pewnością mieli powody. Pojedzie pani do pracy?

- Muszę - odparła z prostotą. - Zasiłek babci ledwie wystarcza na uregulowanie opłat. Muszę wypracować jak najwięcej godzin.

- Nie wolałaby pani wstąpić do college'u albo wyuczyć się jakiegoś zawodu? - zapytał Garon.

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

- A skąd wzięłabym na to pieniądze, nawet gdybym nie musiała opiekować się babcią? Jest inwalidką, odkąd skończyłam liceum, i ma tylko mnie. - Zmarszczyła brwi z irytacją. - Jak na człowieka, który chce, by każdy zajmował się własnymi sprawami, spędza pan mnóstwo czasu, wściubiając nos w życie innych ludzi.

Garon uniósł brwi.

- Czyżby? Wypożyczyłem pani moją gospodynię...

- Panny Turner nie trzeba było wypożyczać - przerwała mu. - Ona ma dobre serce. Zmierzył ją gniewnym wzrokiem.

- Ja również.

- Widocznie trzyma je pan ukryte w jakimś bezpiecznym miejscu, żeby się nie zużyło - odparła ostro i wstała. - Dziękuję za śniadanie. Nie jest pan specjalnie miły, ale potrafi pan dobrze gotować.

- Wielkie dzięki za pochwałę - wycedził ironicznie.

- Był pan wobec mnie nieuprzejmy, więc odpowiedziałam tym samym. Jeśli kiedykolwiek zmieni pan charakter na miłszy, nawet się do pana uśmiechnę.

Panna Turner z trudem usiłowała zachować powagę. Lubiła pracę u Garona pomimo jego dziwaczego zachowania.

- Ta obietnica nie zwała mnie z nóg - zapewnił.

- Muszę już iść. Czeka mnie dziś mnóstwo zawodowych spotkań.

Kluczyki do forda wiszą na haczyku przy drzwiach wejściowych - rzekł do gospodyni. - Proszę swobodnie rozporządzać samochodem. - Zawahał się.

- Niech się pani postara jej nie przejechać - dodał, wskazując głową Grace - jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Ona ma tak ostre usposobienie, że prawdopodobnie przebiłaby oponę.

- Wcale mnie nie dziwi, że nie jest pan żonaty - rzuciła Grace. - Ale dziękuję za pożyczenie samochodu. Postaram się, by mój jak najszybciej naprawiono.

- Mechanicy zazwyczaj nie pracują za darmo - przypomniał jej.

Spiorunowała go wzrokiem. Kiedy się złościła, oczy jej błyszczały, a na gładkich policzkach pojawiał się uroczy rumieniec.

- Dam Jerry'emu ze stacji benzynowej jajka i ciasto w zamian za to, że naprawi mi wóz - powiedziała.

- Handel wymienny? - rzekł zdumiony Garon.

- Ludzie, w którym stuleciu wy tu żyjecie?

- Zapewniam, że w lepszym niż pańskie - odparła. - Tutaj mieszkają ludzie, a nie numery w teczkach z aktami.

- Pani powinna mieszkać raczej w zakładzie dla osób nie zrównoważonych psychicznie - mruknął pod nosem.

- Grace, jeżeli jesteś gotowa, możemy już jechać - wtrąciła gospodyni, wyczuwając nadciągającą kłótnię.

- Jestem gotowa, panno Turner - odparła Grace. Garon przyjrzał się jej z dezaprobatą.

- Zamierza pani pojechać do pracy w tym stroju?! - zawołał.

Nachmurzyła się i spojrzała na swoje czyste, porządne dzinsy i starannie wypraną białą bluzę sportową.

- A w czym miałabym pracować na zapleczu kwaciarni, w sukni balowej? - spytała sarkastycznie.

Potrząsnął głową.

- Kobiety pracujące w moim biurze noszą zakłady i stosują makijaż.

- Robią tak zapewne dlatego, że uważają pana za dobrego kandydata na męża i chcą się panu przypodobać — odparowała. - Moim zwierzchnikiem jest kobieta, która ubiera się tak samo jak ja.

Uniósł brwi.

- Zależy, co kto lubi. Panno Turner, wróć dziś późno. Proszę po prostu zostawić dla mnie w lodówce jakąś przekąskę.

- Dobrze - odparła.

Garon ruszył do drzwi wyjściowych.

- Mam nadzieję, że stan zdrowia babki się poprawi - rzekł do Grace łagodnym tonem.

- Czyżby proponował pan zawieszenie broni? - mruknęła.

- Cieszę się, że pani to zauważyła - rzucił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Grace ogarnęło dziwne uczucie. Wolałaby nie mieć już zbyt wiele styczności ze swym małomównym, opryskliwym sąsiadem. I naprawdę miała nadzieję, że babcia poczuje się dziś lepiej.

W kwaciarni Judy okazała Grace współczucie i zaproponowała uprzejmie, żeby wzięła sobie płatny wolny dzień i pobyła z babką.

Jednak Grace potrząsnęła głową.

- Dziękuję, ale doktor Coltrain by się nie zgodził - powiedziała, układając wieniec pogrzebowy. - Nie chce, żebym plątała się po oddziale intensywnej opieki medycznej. Wiesz, tam można wchodzić tylko trzy razy dziennie na kilka minut. Z nią jest naprawdę źle. Boję się, Judy.

- Przez długi czas była dla ciebie najbliższą osobą. Ale oprócz niej jest cały świat, którego nigdy nie widziałaś. Grace, musisz zawczasu o tym pomyśleć.

Grace poruszyła się niespokojnie.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ona... No cóż, kuzyn z Wiktorii zgodziłby się, żebym przyjechała do niego w odwiedzin, ale on sam poważnie niedomaga i ma pielęgniarkę, która się nim opiekuje. Zostałabym w Jacobsville zupełnie sama.

Judy poklepała ją po dłoni i rzekła z pokrzepiającym uśmiechem:

- Nigdy nie będziesz w Jacobsville sama, Grace. My wszyscy tutaj jesteśmy twoją rodziną.

Grace uśmiechnęła się z wysiłkiem przez łzy.

- Dziękuję.

Judy wzruszyła ramionami.

- Dasz radę. Zaopiekujemy się tobą. To nie znaczy, że nadal tego potrzebujesz - dodała. - Podziwiam to, jak dobrze sobie radzisz. Przez te lata stałaś się bardzo samodzielna i niezależna. Jesteś wzorem dla innych.

- Ależ skąd - zaprotestowała Grace.

- Owszem - rzekła Judy z uśmiechem. - Niewielu ludzi potrafiłoby tak szybko odzyskać równowagę po tym wszystkim, co się stało. Jesteś dzielną dziewczyną.

Grace nie lubiła rozmawiać o swojej przeszłości. Przysunęła do siebie jeszcze kilka czerwonych róż i wciągnęła Judy w rozmowę o podwyżce opłat za wodę. W ten sposób jakoś przetrwa najbliższą godzinę.

Stara pani Collier wciąż była w sypialni, gdy Grace wyszła od niej o zmierzchu. Panna Turner przyjechała po nią, prawdopodobnie za namową doktora Coltraina, i nalegała, żeby Grace pojechała do domu.

- Nie możesz pracować, a potem tu siedzieć godzinami - rzekła stanowczo. - Zresztą w razie potrzeby Jolie zadzwoni do ciebie. Kazaliśmy już naprawić twój telefon. Zrobisz tak, Jolie? - zapytała ładną pielęgniarkę pełniącą nocny dyżur.

- Naturalnie - odparła Jolie z uśmiechem.

- Dobrze, pojedę do domu - zgodziła się Grace.

- Dziękuję - dodała i poszła za panną Turner do samochodu.

Garon wrócił do domu nieco wcześniej niż zwykle, ale musiał jeszcze wyjść, żeby pomóc swoim pracownikom przy kilku jałówkach, które po raz pierwszy się cielily. Koniec lutego był doskonałą porą dla młodych cieląt, gdyż pierwsza zielona trawa zaczynała już wyrastać ze zmarzniętej ziemi. Wybrał bydło czarnej rasy Angus z powodu jego szczególnych cech, ponieważ prowadził hodowlę rzeźną. Miał szczęście, że rodzina Jacob-sów, poprzednich właścicieli rancza, hodowała konie, gdyż dzięki temu stajnia była dobrze utrzymana, a solidnie zbudowane płoty wciąż wyglądały jak nowe. Musiał jedynie otoczyć już istniejące pastwiska przewodami pod napięciem, aby jego krowy nie wywędrowały na zewnątrz.

Wyszedł na ganek akurat w momencie, gdy podjeżdżała do niego panna Turner.

- Jak się ma jej babka? - spytał, kiedy wysiadła z samochodu i weszła za nim do domu.

- Bez zmian - odparła i potrząsnęła głową.

- Grace jakoś się trzyma, ale obawiam się, że załamie się, jeśli stara pani Collier umrze. Nie jest przyzwyczajona do samotnego życia.

- Tylko niech mi pani nie mówi, że ona się boi ciemności - zaśmiał się.

Popatrzyła na niego bez uśmiechu.

- Jeżeli pani Collier umrze, będę musiała znaleźć kogoś, kto na pewien czas zamieszka u Grace, dopóki ona nie oswoi się z nową sytuacją. Ewentualnie mogłaby pojechać na kilka dni do swojego kuzyna Boba - zastanawiała się na głos.

- Powoli - poradził jej. - Nie jest rozsądnie pakować się w cudze kłopoty.

- Pewnie ma pan rację - przyznała. Zawahała się, a potem rzuciła nagle: - Jej samochód zniknął.

- Wiem - odparł Garon. - Poleciałem Brady'emu, żeby przyprowadził go tutaj i naprawił. Kusilo mnie, by oddać go po prostu na złom, ale może zdoła jeszcze przejechać kilka kilometrów...

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę, uprzedzając pannę Turner.

- Grier - rzucił krótko i usłyszał oskarżycielski głos Grace Carver:

- Ukradł pan mój samochód!

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

- Ja nie kradnę aut - odparł z oburzeniem. - Pracuję przecież w FBI.

- W ogóle by tam pana nie zatrudnili, gdyby wiedzieli, że jest pan złodziejem samochodów - rzekła z uporem, nie zważając na jego wyjaśnienie.

- Tylko niech pan nie mówi, że o niczym nie wie. Listonosz widział, jak jeden z pańskich kowbojów odjechał nim dziś rano, gdy byłam już w pracy.

Garon nie zaprzeczył.

- Przyłapała mnie pani. Poleciałem mojemu mechanikowi, żeby go naprawił. Będzie pani mogła znowu nim jeździć.

Milczała przez chwilę.

- Rozumiem - rzekła wreszcie. Garon ugryzł się w język.

- Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko temu, by pani i panna Turner używały mojego forda - rzucił z irytacją. - Proszę mi niczego takiego nie wmawiać!

- Przecież nic nie powiedziałam!

- Ale pomyślała to pani!

- To musi być przydatny dar umieć czytać w myślach, zważywszy rodzaj pańskiej pracy - rzekła przesadnie słodkim tonem.

Oczy Garona pociemniały z gniewu. Grace zawahała się przez chwilę, po czym powiedziała pojednawczo:

- Przepraszam, tak mi się wymknęło. Proszę po prostu udać, że pan tego nie usłyszał.

- Jest takie porzekadło - zaczął powoli - o gryzieniu ręki, która cię karmi...

- Ja bym pańskiej nie ugryzła. - Bez względu na to, do czego by się przykładała.

Zanim zdążył zareagować na te słowa, podziękowała mu za pomoc w naprawieniu samochodu i szybko się rozłączyła.

Garon cisnął słuchawką bezprzewodowego telefonu i wymamrotał coś gniewnie pod nosem.

Panna Turner przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami. Nigdy dotąd nie widziała u swego powściągliwego pracodawcy najdrobniejszego przejawu złości. No cóż, pomyślała, idąc do kuchni, przynajmniej wyglądał na bardziej żywego niż zazwyczaj. Zastanawiała się, co takiego, u licha, mogła mu powiedzieć Grace, że wywołała tak gwałtowną reakcję.

Tymczasem Grace czuła się podle. Sąsiad, powodowany dobrymi chęciami, zabrał jej samochód, żeby go naprawić. Wiedziała również, że Garon nie obciąży jej kosztami remontu. Skrzywiła się i pomyślała, że musi przestać wyładowywać na nim swoją frustrację. Fakt, że odchodzi od zmysłów z lęku o babcię, nie jest powodem, by miała ranić innych ludzi. Co nie znaczy, że on wygląda na kogoś, kogo można by naprawdę zranić...

Dzisiaj nie pracowała - nie licząc czasu spędzonego nad niewielkim projektem, który pochłaniał większość jej wolnego czasu i wszystkie skromne sumki, jakie zdołała zaoszczędzić ze swej pensji. Wreszcie skończyła na dziś i weszła do kuchni. Słyszała, jak pani Turner mówiła, że Garon uwielbia szarlotkę. Grace zaś słynęła z tego wypieku. Używała suszonych jabłek, co nadawało ciastu niepowtarzalny smak.

Tego popołudnia, kiedy zatrudniony u Garona zarządca Clay Davis przyprowadził jej samochód, wyszła, aby mu podziękować, niosąc szarlotkę w reklamówce.

Davis ruszył już do furgonetki, którą przyjechał jeden z pracowników rancza. Kiedy jednak zobaczył Grace, zatrzymał się, uśmiechnął i zdjął kapelusz z szerokim rondem.

- Dzień dobry, panno Grace - powiedział z szacunkiem.

Uśmiechnęła się miło.

- Cześć, Clay. Możesz wyświadczyć mi przysługę i zawieźć to swojemu szefowi?

Mężczyzna spojrział na reklamówkę.

- Cykuta czy śmiertelnie trująca psianka? - zapytał.

Grace wlepiała w niego zdumiony wzrok. Wzruszył ramionami.

- No, bo słyszeliśmy, że nie przepadacie za sobą.

- To tylko ciasto z jabłkiem - wyjaśniła. - Mam wyrzuty sumienia, że powiedziałam Garonowi coś niemiłego, i chcę go w ten sposób przeprosić.

- Powtórzę mu to - rzekł, biorąc od niej ciasto.

- Dziękuję za naprawienie mojego samochodu - powiedziała z uśmiechem.

- Kluczyki są w środku. I musi pani obserwować wskaźnik poziomu oleju - dodał. - Załataliśmy przeciek, ale na wszelki wypadek niech pani przed wyjazdem zawsze sprawdza, czy jest dosyć oleju. Jeżeli zauważy pani wyciek, proszę nas zawiadomić, a naprawimy to.

- Wielkie dzięki, Clay.

Wzruszył ramionami.

- Sąsiedzi powinni sobie nawzajem pomagać.

- Owszem, ale ja niewiele mogę zrobić dla waszego szefa. Ma już wszelką pomoc, jakiej potrzebuje.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- On rzeczywiście potrafi zjednać sobie ludzi

- przyznał - chociaż panna Turner niezbyt sobie radzi z wypiekami.

Tylko proszę jej nie mówić, że to powiedziałem - dorzucił szybko. - Tak w ogóle to jest świetną kucharką.

- Tylko nie potrafi piec ciast - dokończyła za niego Grace, odpowiadając uśmiechem. - Tak bywa. Ja na przykład nie umiem smażyć kurczaków ani piec bułeczek.

- Każdy ma inne talenty - zgodził się.

- Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma sprawy.

Odjechał z ciastem leżącym obok na siedzeniu furgonetki.

Tego wieczoru Grace już sama pojechała do szpitala i do późna siedziała w poczekalni przed drzwiami oddziału intensywnej opieki medycznej. Coltrain natknął się tam na nią podczas ostatniego obchodu.

- Grace, nie możesz po całym dniu pracy wysiadywać tu w nocy - rzekł gderliwym tonem, przystając koło niej.

- Gdyby tu leżała pańska babcia, też by pan tak robił - odparła z uśmiechem.

Coltrain westchnął.

- Owszem - przyznał. - Ale ja mam lepsze zdrowie niż ty...

- Niech pan znowu nie zaczyna - przerwała mu szorstko. - Dbam o siebie i mam wspaniałego lekarza.

- Pochlebstwami nic u mnie nie wskórasz - odparł. - Możesz spytać moją żonę Lou.

- Przynajmniej próbowałam - rzuciła żartobliwie, wzruszając ramionami. Potem spoważniała.

- Pielęgniarka dyżurna powiedziała, że stan babci się nie zmienił. Usiadł na krześle obok niej. Wyglądał na zmęczonego.

- Grace, wiesz, że tkanka mięśnia sercowego się nie regeneruje, prawda?

Skrzywiła się.

- Jednak zdarzają się cuda - rzekła z uporem.

- Tak, wiem, widywałem je. Jednak w tym wypadku to bardzo mało prawdopodobne. Musisz zacząć się oswajać z myślą, że twoja babka może już nie wrócić do domu.

W oczach Grace zakręciły się łzy. Mocno spłotła dłonie leżące na kolanach.

- Tylko ją jedną mam na świecie.

Coltrain ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć tego, o czym myślał.

- Nie rób z niej świętej - rzucił szorstkim tonem.

- Było jej przykro z powodu tego wszystkiego, co się stało - przypomniała, wpatrując się w niego wielkimi oczami pełnymi łez. - Wiem, że tamtej nocy nie zamierzała się upić. Po prostu zraniło ją, że mama wyjechała bez słowa i zostawiła mnie na jej głowie.

- Czy właśnie tak powiedziała? - spytał badawczo Coltrain.

Grace zacisnęła usta.

- Przypuszczam, że nie miała w sobie uczuć macierzyńskich - przyznała niechętnie. - W gruncie rzeczy nie lubiła dzieci, a ja przysparzałam jej mnóstwo kłopotów.

- Grace, nigdy nikomu nie przysparzałaś kłopotów - rzekł łagodnie Coltrain. - Zawsze wykonywałaś wszystkie prace w waszym domu. Harowałaś jak wół, podczas gdy twoja babka całymi dniami siedziała przed telewizorem, oglądając głupawe seriale i popijając czysty dżin. To właśnie przez alkohol wysiadło jej serce.

Przygryzła wargę.

- Przynajmniej była przy mnie - rzekła twardym tonem. - Ojciec nie chciał mieć dzieci, więc kiedy przyszłam na świat, zwiął z jakąś podrzędną miss piękności i nawet się nie obejrzał. Matka zaś mnie nienawidziła, gdyż to z mojego powodu ją opuścił. A ponieważ żaden inny mężczyzna nie chciał wiązać się z kobietą z dzieckiem, ona także ode mnie odeszła.

- Byłaś podobna do ojca - przypomniał jej.

- Tak, i właśnie za to najbardziej mnie nienawidziła. - Grace wbiła wzrok w splecione dłonie. - Nigdy nie sądziłam, że w ogóle ją obchodzę. Dlatego to, co zrobiła, było dla mnie szokiem.

- Przypuszczam, że powodowało nią poczucie winy - rzekł doktor. - Podobnie jak twoja babka, miała o sobie wysokie mniemanie i spodziewała się, że wszystkie gazety zamieszczą relacje o tym, co się wydarzyło. I tak by się stało, gdyby babka nie zaapelowała do miękkiego serca miejscowego komendanta policji Cheta Blake'a i nie ubłagała go, by zatuszował całą sprawę, tak że nikt nie poznał jej szczegółów. Tylko że wtedy było już za późno na to, by uratować twoją matkę. Grace z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Nigdy go nie schwytano.

- Może zmarł - powiedział Coltrain. - Albo trafił do więzienia za jakieś inne przestępstwo.

Podniosła na niego wzrok.

- Albo może zrobił to samo jakiejś innej małej dziewczynce - rzuciła szorstko.

- Twoja babka się tym nie przejmowała. Zależało jej jedynie na wyciszeniu tej sprawy.

- Komendant Blake okazał współczucie z powodu tego, co stało się mojej matce - rzekła Grace z roztargnieniem. - W przeciwnym razie zapewne wszcząłby śledztwo. Był dobrym policjantem.

- Chodziło o coś więcej - powiedział Coltrain z poważną miną. - Sprawca sądził, że cię zabił. Chet uważał, że bezpieczniej dla ciebie będzie nie wyprowadzać go z błędu. Ten zbrodniarz bał się, że przeżyjesz i możesz zeznawać przeciwko niemu.

Na samo wspomnienie ścierpła jej skóra. Objęła się mocno ramionami.

- Myślisz, że Blake zatrzymał akta? - spytała.

- Jestem pewien, że tak zrobił, ale prawdopodobnie są dobrze ukryte - odparł Coltrain. - Wątpię, by Cash Grier kiedykolwiek przypadkowo na nie natrafił, jeżeli to cię niepokoi - dodał łagodnym tonem.

Skrzywiła się.

- Już nie. Garon był dla mnie bardzo uprzejmy, na swój opryskliwy, irytujący sposób. Nie chcę, żeby się tego o mnie dowiedział.

- To w żadnym wypadku nie była twoja wina - powiedział lekarz miękko i łagodnie, jakby przemawiał do małego dziecka. W istocie to

właśnie on zajął się małą Grace, gdy policjanci przywieźli ją na pogotowie. Wówczas tam pracował.

- Niektórzy ludzie mówią, że sama się o to prosiłam - rzuciła.

- Do diabła!

- On mieszkał tuż obok, a ja zwykle chodziłam w szortach... - zaczęła.

- Nawet nie próbuj usprawiedliwiać tego bydlaka - przerwał jej gwałtownie. - Żaden normalny mężczyzna nie będzie pożądliwie zerkał na dwunastoletnie dziecko!

Zdobyła się na uśmiech.

- Jest pan dla mnie bardzo dobry.

- Szkoda tylko, że nie potrafię cię nakłonić, abyś zaczęła spotykać się z ludźmi - odparł. - Nawet nie umawiasz się z nikim na randki. Masz dwadzieścia cztery lata. Powinnaś była przejść psychoterapię i nauczyć się radzić ze swoim życiem. Obwiniam twoją babkę o to, że tak się nie stało. Nie chciała słyszeć o skierowaniu cię do jakiegokolwiek psychologa.

- Jest bardzo staroświecka.

- Po prostu chowa głowę w piasek - poprawił ją porywczo udając, że nic się nie stało.

- Wszyscy i tak wiedzą, co się stało - przypomniała mu.

- W gruncie rzeczy nie. Znają tę sprawę jedynie z grubsza.

- Mimo to troszczą się o mnie - powiedziała ze wzruszeniem, czując, jak ogarnia ją fala ciepła.

- W Jacobsville wszyscy jesteśmy jedną rodziną - dodała w zamyśleniu. - Na przykład stary pan Jameson, który trafił do więzienia za obrabowanie banku, a po odbyciu kary powrócił w rodzinne strony. Spłacił

swój dług wobec społeczeństwa, żałuje tego, co zrobił, i tutaj mu przebaczone.

- To jeden z przyjemniejszych aspektów życia w małych miasteczkach - przyznał z uśmiechem Coltrain.

- Chyba nikt nie opowie tego Garonowi?

- Nikt o tobie nie plotkuje - zapewnił ją. - Nawet panna Turner.

Wzruszyła ramionami.

- On jest tutaj obcy, pomimo że jego brat jest miejscowym szefem policji. Nie sądzę, by mieszkańcy Jacobsville chcieli wtajemniczać go we wstydlive sekrety.

- Nie jesteś żadnym wstydlivym sekretem - rzekł Coltrain stanowczo.

- Jest pan bardzo miły, doktorze - powiedziała z uśmiechem.

Zawahała się, a potem spytała: - Czy nie mogłabym zobaczyć babci tylko przez chwilę?

- Dobrze, jeżeli obiecasz, że potem pojedziesz do domu.

Nie miała na to ochoty, ale naprawdę chciała zobaczyć babkę, więc odparła:

- Zgoda.

- A zatem chodźmy.

Wprowadził ją na oddział, porozmawiał krótko z pielęgniarką i wszedł wraz z Grace do części sali oddzielonej parawanem, gdzie na łóżku leżała bez świadomości jej babka, biała jak prześcieradło.

Dziewczyna musiała się powstrzymać, żeby nie krzyknąć. Stara kobieta wyglądała już na martwą. Oddychała w sposób, który wrył się w

pamięć Grace we wczesnym dzieciństwie. Tak właśnie oddychał dziadek tuż przed śmiercią. To był przerażający zgrzytliwy dźwięk.

Coltrain stanął obok.

- Grace, pociesz się myślą, że pewnego dnia każdego z nas to spotka. To nie jest koniec, lecz początek. Jak kokon, z którego wyfrunie motyl.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego oczami błyszczącymi od łez.

- Cała moja rodzina już nie żyje.

- Wciąż masz kuzyna, który cię lubi - przypomniał jej.

Musiała przyznać mu rację, chociaż kuzyn Bob dobiegał już osiemdziesiątki i był półinwalidą. Podeszła do łóżka i powoli, z wahaniem, dotknęła ramienia babki.

- Kocham cię, babciu - powiedziała cicho.

- Przepraszam... że byłem dla ciebie takim ciężarem.

Głos jej się załamał, a po policzkach popłynęły łzy.

Stara kobieta wstrząsnęła się gwałtownie, jakby ją usłyszała, lecz nie otworzyła oczu. Po chwili leżała znowu nieruchomo, a jej oddech stał się jeszcze bardziej zgrzytliwy.

Coltrain, który wiedział aż za dobrze, co to oznacza, wyprowadził Grace z powrotem do poczekalni.

Dziewczyna wyjęła z torebki chusteczkę i otarła oczy.

- Przepraszam - wyjąkała.

- Nie masz za co przepraszać. Do diabła, Grace, nie powinnaś być tutaj sama!

W chwili gdy to powiedział, drzwi rozsunęły się automatycznie i do poczekalni wszedł Garon Grier w szarym trzyczęściowym garniturze.

Coltrain patrzył na niego w osłupieniu. Grier był ostatnią osobą, jaką spodziewał się tu ujrzeć - zwłaszcza po tym, jak obojętnie zachował się wobec Grace, gdy przywieziono tu jej babkę.

Garon podszedł do nich, wpatrując się ciemnymi oczami w zbolaną twarz Grace.

- Panna Turner powiedziała mi, że prawdopodobnie znajdę panią tutaj - rzucił. - Wstąpiłem tam, żeby podziękować za szarlotkę, ale nie zastałem ani pani, ani samochodu.

- Upiekłaś mu szarlotkę? - spytał ze zdziwieniem Coltrain.

Grace poruszyła się niespokojnie.

- Byłam wobec niego nieuprzejma i poczułam wyrzuty sumienia - wyjaśniła. - On kazał jednemu ze swoich pracowników naprawić mój samochód.

- Za co oskarżyła mnie o kradzież - dodał Garon. Uniósł jedną brew.

- Ale ciasto rzeczywiście wynagrodziło tę zniewagę. Jest cholernie pyszne.

Grace uśmiechnęła się przez łzy.

- Cieszę się, że panu smakowało.

Garon zerknął na lekarza.

- Pomyślałem, że pojedę za panią do domu - rzekł. - Clay powiedział, że w samochodzie nadal może wyciekać olej, a mieszka pani przy pustym odcinku szosy.

Coltrainowi spodobała się troska Garona o dziewczynę, lecz nie pokazał tego po sobie.

- Pozwól, żeby eskortował cię w drodze do domu i zostań tam - powiedział do niej. - Nie ma sensu, żebyś tutaj siedziała.

Grace odetchnęła głęboko.

- Chyba nie - przyznała. Odwróciła się do Garona. - Muszę na chwilę wstąpić do toalety, a potem możemy jechać.

- Zaczekam - zapewnił ją.

Poszła w głąb korytarza. Kiedy była już poza zasięgiem głosu, doktor przeniósł spojrzenie na Garona.

- Pani Collier nie pożyje dłużej niż kilka godzin - rzekł otwarcie. - Myślę, że Grace zdaje sobie z tego sprawę, lecz mimo to ciężko przeżyje jej śmierć.

Garon skinął głową.

- Dopilnuję, żeby nie była w domu sama. Po śmierci babki będzie mogła zostać z nami na ranchu przez tydzień lub dwa, dopóki nie dojdzie do siebie. Panna Turner traktuje ją jak dawno utraconą siostrę.

- Skąd ta nagła zmiana? - spytał Coltraine podejrzliwie. - Jeszcze niedawno nie chciał pan nawet zadać sobie trudu, żeby ją tu przywieźć.

- Ona ma dobre serce - odparł Garon, unikając jego wzroku.

- Jest dobrym człowiekiem - poprawił go doktor po chwili wahania, a potem zmarszczył brwi.

- Sądziłem, że pracuje pan do późna? Garon przytaknął.

- Zamordowano dziecko na północ stąd - oznajmił. - Specjalizuję się w zabójstwach, więc przydzielono mnie do tej sprawy. - Twarz mu stężała. - Pracuję w tym zawodzie przez większość życia. Ale ten przypadek... - Potrząsnął głową.

- Sprawca wyciągnął dziecko przez okno sypialni. Znaleźliśmy w pokoju ślady gwałtownej szarpaniny. - Oczy zabłyśły mu gniewnie. - Ten człowiek jest potworem! Trzeba go schwytać.

- Natrafiliście na jakieś dowody?

Garon pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Ale ja jestem jak ogar myśliwski. Nie spocznę, póki go nie dopadnę.

- Myślę, że przypomina pan w tym swojego brata - rzekł z uśmiechem Coltrain.

- Kiedy Cash służył w oddziale teksaskich komandosów, ścigał podejrzanego o kradzież aż do Alabamy.

- Wierzę - zachichotał Coltrain. Garon potrząsnął głową.

- Gdyby ktoś mi powiedział, że on kiedyś osiadzie w małym miasteczku i będzie miał dzieci, chyba bym skonał ze śmiechu. Odkąd na początku tego miesiąca urodziła mu się córeczka, całkowicie poświęcił się życiu rodzinnemu.

Zanim Coltrain zdołał odpowiedzieć, wróciła Grace. Wyglądała na przybitą i zagubioną.

Garon odczuwał żywo jej cierpienie. Dobrze znał ból utraty bliskiej osoby.

- Chodźmy - powiedział łagodnie. - Pojadę za panią do domu.

Grace się zawahała i popatrzyła na Coltraina.

- Zadzwoń pan, jeśli... ? Lekarz skinął głową.

- Zadzwonię, Grace.

Ponad jej głową Garon pochwycił jego spojrzenie, w którym było nieme przesłanie. Coltrain powiedział mu bez słów, że do niego również zadzwoni.

Grace podjechała pod frontowe schodki swojego domu. Garon zajechał tuż za nią. Z ociąganiem wysiadła z samochodu. Od bardzo

dawna nie była w nocy sam na sam z mężczyzną. Nie ufała żadnemu z nich.

Zawahała się na pierwszym stopniu, odwróciła w kierunku zwirowanej dróżki i obserwowała, jak Garon wysiada ze swego auta i podchodzi do niej.

Spostrzegł, że zeszywniała, jak poprzednio przy Coltrainie, i jego oczy się zwięziły.

- Może przyśle pannę Turner, żeby przenocowała z panią? - zaproponował.

- Nie, dam sobie radę. Dziękuję - rzuciła nerwowo.

Garon się nachmurzył. W szpitalu Grace, mając przy sobie doktora Coltraina, zachowywała się swobodniej. Jednak tutaj, tylko z nim, powróciła jej rezerwa i opryskliwość. Mógł się bez trudu domyślić, że jest skrepowana jego obecnością. Zastanawiał się, czy Grace odnosi się tak samo do innych mężczyzn.

- Ma pani nasz numer telefonu - przypomniał jej. - Jeżeli będzie nas pani potrzebować, proszę po prostu zadzwonić.

- Dziękuję, to bardzo uprzejmie z pana strony - odparła.

Garon głęboko wciągnął powietrze.

- Mam kłopoty z nawiązywaniem jakichkolwiek kontaktów towarzyskich - rzekł ni z tego, ni z owego. - Moja profesja odstrasza większość ludzi - zwłaszcza gdy dowiadują się, że stale noszę przy sobie broń, nawet po służbie. To ich wprawia w zakłopotanie.

Grace przygryzła wargę.

- Ja również nie nawykłam do towarzystwa innych ludzi - wyznała. - Babcia i ja zazwyczaj przebywałyśmy tylko ze sobą. Mam niewiele zajęć

poza domem i garstkę przypadkowych znajomych. Ale nikogo bliskiego - dodała.

Przechylił głowę na bok.

- Jest jakiś tego powód?

- Tak - odparła z prostotą. - Ale nie chcę o tym mówić.

Wzbudziła w nim ciekawość. Zauważył, że nadal ma na sobie dzinsy oraz bluzę sportową pod kurtką. Jej ubranie było znoszone, a mokasyny zdarte i porysowane. Najwyraźniej musiała liczyć się z każdym groszem.

- Lubi pani róże? - zapytał, widząc obok ganku starannie przycięte krzewy.

- Przepadam za nimi - odparła z uśmiechem. - Lubię zwłaszcza odmiany Audrey Hepburn i Chrysler Imperial.

- Różowe i czerwone - rzekł z zadumą.

- Ależ tak! - wykrzyknęła zaskoczona. - Skąd pan wie?

- W ostatnich latach nie miałem zbyt wielu okazji do hodowania kwiatnych krzewów - powiedział. - Teraz, kiedy mam to ranczo, może mógłbym znowu do tego wrócić. Kiedyś było to moje hobby.

- Pielęgnuję te krzaki róż od czasu, gdy byłem małą dziewczynką - wspomniała z rozrzewnieniem. - Mój dziadek, który już nie żyje, uwielbiał je hodować. Znał wszystkie odmiany i przekazał mi tę wiedzę. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Umarł, gdy miałam dziewięć lat.

- Ja nigdy nie znałem swoich dziadków - wyznał Garon. - Wszyscy czworo zmarli, zanim przyszliśmy na świat.

- My? - spytała. - To znaczy pan i Cash?

- Jest nas czterech braci - wyjaśnił. - Pozostali dwaj to Cort i Parker. Cort razem z ojcem prowadzi nasze ranczo w zachodnim Teksasie, a Parker służy w organach ochrony porządku publicznego.

- Czy wasz tata też był stróżem prawa?

- Nie. Ale dziadek był szeryfem - oświadczył z dumą Garon. - Wciąż jeszcze mam jego pas i stary kolt kaliber czterdzieści pięć.

- Mój dziadek był kowbojem, ale po stratowaniu przez byka został kaleką. Porzucił więc ten zawód i wraz z żoną przeprowadził się tutaj, kiedy moja matka była jeszcze małą.

- A więc pani tutejsze korzenie sięgają odległych czasów - stwierdził.

- Tak. Miło jest je mieć.

Garon spojrzał na zegarek.

- Lepiej już wróćę do siebie. Przed snem muszę się jeszcze uporać z papierkową robotą. Proszę zadzwonić, gdyby pani nas potrzebowała.

- Zadzwonię. I dziękuję - dodała.

Wzruszył ramionami.

- To było smaczne ciasto.

- Miło mi, że panu smakowało.

- Niech pani zamknie drzwi na klucz! - zawołał, wsiadając do samochodu.

- Tak zrobię. Dobranoc.

Pomachał jej na pożegnanie i odjechał, ale zobaczyła, że zatrzymał się na końcu jej podjazdu i zaczekał, aż zapali światła w domu. To podniosło ją na duchu.

Zaryglowała drzwi i dwukrotnie sprawdziła zasuwę. Obejrzała też kije od szczotek, umieszczone w poprzek wysokich staroświeckich okien

po to, żeby uniemożliwić ich otwarcie od zewnątrz. Skontrolowała również cztery razy okno w swojej sypialni. Był to utarty rytuał, którego nigdy nie omijała.

Ten sąsiad zaskoczył ją swym pojawieniem się w szpitalu. Jest samotnikiem, podobnie jak ona. Z początku jej się nie spodobał, ale wydaje się, że ma jednak kilka zalet.

Włożyła długą, białą nocną koszulę i wyszczotkowała włosy, tak że spłynęły jej po plecach złocistą kaskadą. Nie patrzyła przy tym w lustro. Nie lubiła się sobie przyglądać.

Tuż przed świtem usłyszała szaleńcze walenie do drzwi. Spała w pokoju na parterze, który odpowiadał jej bardziej niż dawna sypialnia na piętrze. Narzuciła na siebie gruby szlafrok i zapaliła światło na ganku, a potem wyjrzała przez małe kwadratowe szybki.

Serce jej zamarło, gdy ujrzała swego sąsiada kompletnie ubranego i stojącego tam z poważną miną. Przychodził jej do głowy tylko jeden powód jego obecności.

Otworzyła drzwi.

- Nie - załkała. - Proszę, tylko nie to... !

- Przykro mi - powiedział Garon cicho.

- Czy ona... odeszła?

W milczeniu skinął głową.

Łzy pociekły jej po twarzy. Nie wydała żadnego dźwięku. Patrzyła tylko na niego z twarzą wykrzywioną bólem i płakała bezradnie.

Zrobił krok naprzód i chwycił ją za ramiona. To naruszenie granicy prywatności zaszokowało ją i przeraziło. Lecz kiedy rozluźnił chwyt i jego dłonie już tylko lekko spoczywały na jej barkach, odprężyła się nagle i

wsunęła w jego objęcia. Nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek w jej krótkim życiu ktoś obejmował ją, gdy płakała.

Wyglądził swą dużą, lecz delikatną dłonią jej długie potargane włosy.

- Ludzie umierają, Grace - powiedział łagodnie, pierwszy raz zwracając się do niej po imieniu. - To coś, przez co wszyscy musimy przejść.

- Ty straciłeś matkę - przypomniała sobie z łkaniem.

- Tak.

Nie dodał, że to nie była jedyna bliska osoba, jaką utracił. Nie znał Grace na tyle, by się jej zwierzać.

- Czy babcia cierpiała? - spytała z lękiem.

- Coltrain powiedział, że po prostu westchnęła cicho i znieruchomiała - odparł. - Odeszła szybko i bez bólu, nie odzyskawszy przytomności.

Grace przygryzła wargę.

- Mój Boże - powiedziała zdławionym głosem. - Nie wiem nawet, w jaki sposób załatwiła swój pochówek. Sama poszła do zakładu pogrzebowego i wypełniła wszystkie formularze. Miała niewielką polisę... Nie wiem, gdzie ją trzymała. - Znowu załkała.

Sprawiało jej przyjemność, że może się na nim wesprzeć. Nigdy dotąd nie pragnęła się do nikogo przytulić. Lecz Garon był ciepły i silny i w tej chwili nie budził w niej lęku.

- Pomogę ci przy tym - obiecał. - Ale teraz wejdźmy do domu. Idź na górę i przebierz się. Jutro będziemy martwić się o wszystkie formalności. Który to zakład pogrzebowy?

- Jackson i Williams - przypomniała sobie.

- Zadzwoń do nich, gdy będziesz się ubierać. Zatelefonuję też do szpitala - dodał, uprzedzając jej prośbę.

- Nie wiem, jak mam dziękować... - zaczęła, zwracając ku niemu twarz przepełnioną smutkiem.

- Za nic mi nie dziękuj - przerwał jej. - Idź już.

- Dobrze.

Odwróciła się i poszła do swego pokoju.

Garon przyglądał jej się zmrużonymi oczami. Coltrain stanowczo podkreślił, że trzeba zająć się Grace. Powiedział, że dziewczyna ciężko przeżyje śmierć babki i będzie potrzebowała czyjejś opieki. Ten rudowłosy lekarz znał ją od wielu lat. Może po prostu troszczył się o nią bardziej niż inni.

Garon wyjął telefon komórkowy i wybrał numer informacji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Grace siedziała z Garonem w biurze zakładu pogrzebowego. Henry Jackson omawiał z nią organizację pochówku pani Collier. Garon wziął wolny dzień, aby pomóc Grace. Nie powiedział jej, że prawie nigdy nie zwalnia się z pracy, ale domyśliła się tego.

Nie było zbyt wielu formalności do załatwienia. Pani Collier zostawiła pisemne rozporządzenia i nawet kupiła już prostą sosnową trumnę. Miała zostać pochowana obok swego ostatniego męża na miejscowym cmentarzu kościoła baptystów. Jej ubezpieczenie pokrywało koszty pogrzebu, toteż Grace nie musiała się o nic martwić.

Następnie oboje udali się do biura prawnika Blake'a Kempa, gdzie Grace dowiedziała się, że otrzymała w spadku dom i ziemię. Było to dla niej zaskoczenie, bo spodziewała się, że babka w ogóle niczego jej nie zapisze.

Garon siedział w poczekalni, podczas gdy Grace rozmawiała z adwokatem pani Collier.

- Nie sądziłam, że babcia cokolwiek mi zostawi - oświadczyła.

Blake pochylił się ku niej.

- Miała wobec ciebie poczucie winy, Grace - rzekł łagodnym tonem.

- Zawiodła cię ten jeden raz, kiedy jej potrzebowałeś. Wiem, nie była dla ciebie zbyt miła. Może to była nieświadoma reakcja na to, jak niewłaściwie z tobą postąpiła.

- Obwiniła mnie o to, co stało się z mamą.

- Nie powinna była tego robić - rzekł Blake ze swobodą człowieka, który znał tę rodzinę od wielu lat. - W tym, co się wydarzyło, nie było żadnej twojej winy.

- Tak mówi też doktor Coltrain.

- I ma rację. Teraz wypełnimy dokumenty czyniące cię wykonawczynią jej testamentu i spadkobierczynią posiadłości. - Grace chciała coś powiedzieć, ale powstrzymał ją gestem wielkiej dłoni.

- Nie będziesz musiała nawet kiwnąć palcem. Ja to załatwię.

Następna sprawa to pogrzeb.

- Pan Grier mi w tym pomoże - oznajmiła.

- Cash?! - zawołał zdziwiony Blake.

- Nie, jego brat Garon. To najbliższy sąsiad.

Adwokat uniósł brwi. Ta wiadomość go zaskoczyła. Z tego, co słyszał, brat Casha nie był skłonny pomagać innym.

- On jest bardzo miły - ciągnęła Grace. - Kazał swoim pracownikom naprawić mój samochód. A ja upiekłam dla niego szarlotkę. Blake uśmiechnął się łagodnie.

- Już pora, abyś zaczęła rozglądać się za kawalerami.

Grace natychmiast zeszywniała.

- To wcale nie tak - zapewniła go pośpiesznie.

- On jest po prostu uprzejmy. Przypuszczalnie robi tak za namową panny Turner.

- To możliwe - przyznał Kemp. - No cóż, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Tak. Dziękuję panu.

- To żaden kłopot - odparł z uśmiechem. - Kiedy przygotujemy papiery, możesz wpaść je podpisać. Ja zajmę się resztą.

Wychodząc z gabinetu, uśmiechnęła się do recepcjonistki - nowej dziewczyny, która zastąpiła Violet Hardy, gdy ta poślubiła Kempa. Garon wstał z wygodnej sofy i dołączył do Grace. Recepcjonistka uniosła brwi i uśmiechnęła się promiennie do Garona, który odpowiedział jej ponurym spojrzeniem.

- Tak właśnie jest w małych miasteczkach - rzekła z zakłopotaniem Grace, gdy znaleźli się na ulicy. - Ludzie widzą cię z kimś i zaczynają plotkować. Ale nie robią tego złośliwie.

Garon zmilczał, lecz Grace widziała, że jest niezadowolony.

- Dziękuję, że wziął pan wolny dzień, żeby pomóc mi w załatwieniu tych spraw - powiedziała, kiedy jechali z powrotem do jej domu. - Jestem panu naprawdę wdzięczna.

- To nic takiego - odparł i spojrzął na zegarek.

- Ale teraz muszę już wracać do biura. Pracujemy nad zabójstwem dziecka. Muszę jeszcze wykonać kilka telefonów.

Grace zeszywniała.

- Macie jakieś poszlaki? Potrząsnął przecząco głową.

- Na to jeszcze za wcześnie. Najwidoczniej sprawca wyciągnął dziewczynkę wprost przez okno jej sypialni, podczas gdy rodzice spali w sąsiednim pokoju, a potem trzymał ją u siebie przez kilka dni. Jakiś turysta natknął się na jej zwłoki leżące za kościołem. - Rysy Garona stwardniały. - Miała dziesięć lat. Wszyscy członkowie jej najbliższej rodziny mają alibi. Została zgwałcona. Do diabła, jacy ludzie mogą czuć pociąg do małych dziewczynek?

Grace oddychała szybko, obejmując się mocno ramionami.

- Mężczyźni z poczuciem niższości – rzuciła - którzy pragną panować.

Jej odpowiedź go zaskoczyła. Zerknął na nią.

- Słucham?

- Mężczyźni, którzy nie mogą robić tego z dorosłymi kobietami - powiedziała napiętym tonem. - I z tego powodu ich nienawidzą. Tak więc prześladują najbardziej bezradne żeńskie istoty.

- Jesteś bystra - stwierdził z nikłym uśmiechem. - Tak, ja również widzę to w ten sposób. - Wciąż wpatrywał się w drogę przed sobą. - Masz zadatki na dobrego detektywa. Czy kiedykolwiek myślałaś o pracy w organach ochrony porządku publicznego?

- Nienawidzę rewolwerów.

Wybuchnął śmiechem.

- Nie musiałybyś nosić broni. U nas w FBI zatrudniamy również cywilów - dodał. - Informatyków, inżynierów, językoznawców...

- Językoznawców?

Przytaknął.

- Dawniej, żeby pracować w FBI, trzeba było być agentem, ale obecnie jesteśmy bardziej otwarci.

Grace mimo woli się uśmiechnęła.

- Pan nie jest otwarty, panie Grier.

Zerknął na nią z zaciekawieniem.

- Ile masz lat?

Uniosła brwi.

- Powiedz mi - nalegał.

- Dwadzieścia cztery.

Uśmiechnął się.

- Ja mam trzydzieści sześć. Nie jestem jeszcze dziadkiem w bujanym fotelu. Możesz mi mówić Garon.

Popatrzyła na niego przeciągle.

- Nigdy wcześniej nie słyszałam o takim imieniu.

- Moja matka urodziła czworo dzieci, samych chłopców. Ojciec mówi, że godzinami przesiadywała na werandzie, wertując książkę z imionami dla noworodków. Zresztą moje imię i tak jest lepsze od tego, jakie dostał Cash.

- Imię Cash wcale nie jest takie rzadkie.

- On w rzeczywistości ma na imię Cassius - wyjaśnił z uśmiechem.

- O rety!

- Właśnie dlatego używa formy „Cash” - zachichotał Garon.

- Czy wy dwaj trzymacie się razem?

Potrząsnął głową.

- Od śmierci matki mieliśmy rodzinny spór. Obecnie jesteśmy w trakcie poznawania siebie nawzajem. Cash w wieku ośmiu czy dziewięciu lat wstąpił do szkoły wojskowej. Aż do ubiegłego roku w zasadzie ze sobą nie rozmawialiśmy.

- To smutne mieć rodzinę i nie rozmawiać z nią - stwierdziła.

Garona ciekawiło, jakich ona ma rodziców, lecz za słabo ją znał, żeby wypytywać o sprawy osobiste. Nie chciał utrzymywać z Grace bliższych kontaktów niż to konieczne. Był poślubiony swojej pracy. Z drugiej strony jednak przed chwilą rozmawiał z dziewczyną o swoim zawodzie, czego nigdy wcześniej nie robił. Roztaczała aurę zrozumienia,

której trudno się było oprzeć. Czuł się z nią swobodnie. Uznał to za niebezpieczny objaw i postanowił, że nie pozwoli, aby między nimi do czegokolwiek doszło.

Garon odwiózł Grace, a potem wrócił do biura. Okazało się, że zadzwonił kapitan Marquez. W efekcie śledczy wezwał Garona do swego gabinetu i zezwolił, by FBI udzieliło pomocy w śledztwie. Garon miał stanąć na czele oddziału specjalnego, którego zadaniem będzie wytropienie zabójcy małych dziewczynek. Nikt nie mówił tego głośno, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że w grę wchodzi seryjny morderca. Co najmniej czterech zabójstw dokonano bowiem w podobny sposób.

- A więc biorę się do roboty - rzekł Garon.

- Kapitan Marquez powiedział, że tę sprawę trzeba rozwiązać możliwie jak najszybciej - zauważył śledczy Bentley. Był sporo starszy od Garona i niedługo miał przejść na emeryturę. Poprosił o przydział do San Antonio, ponieważ miał tu krewnych. Był miłym, dobrym człowiekiem i doskonałym agentem. Garon darzył go szacunkiem. - Ten kapitan ma otwarty umysł, w przeciwieństwie do porucznika, który uważa to wszystko za zbieg okoliczności.

- Jestem odmiennego zdania. Te sprawy zbyt wiele łączy - rzekł z uporem Garon.

Śledczy uśmiechnął się. Znał Garona od dawna i wiedział o jego determinacji w prowadzeniu dochodzeń.

- Ja też mam takie wrażenie. Uważaj na siebie.

- Postaram się - odrzekł, ale jego uśmiech mówił co innego.

Garon zadzwonił do Marqueza i spotkali się w miejscowej taniej restauracji. Oficer śledczy był znużony i miał podkrążone oczy.

- Wygląda na to, że ślęczy pan nad tą sprawą po nocach - zauważył Garon.

- Traktuję te zabójstwa bardzo poważnie. Zadzwoiłem do komendy policji w Oklahomie. W tym mieście również popełniono morderstwo za pomocą czerwonej wstążki. Ofiarą była jedenastoletnia dziewczynka. Znalaziono ją leżącą twarzą w kwiatach rudbekii niedaleko cmentarza.

- Zgwałconą? - zapytał Garon. Marquez kiwnął głową.

- Tak. Została również uduszona, a potem zadano jej około dwudziestu pięciu pchnięć nożem. Zupełnie jak w tym zabójstwie, nad którym pracujemy. Zbyt wiele podobieństw, by te przypadki miały nie być ze sobą powiązane.

Garon zacisnął wargi w wąską linię.

- To wygląda na morderstwo psychopaty.

- Ja też tak uważam - zgodził się Marquez. - Sprawca nienawidził tej dziewczynki albo tego, co dla niego symbolizowała. Niezwykle brutalne. I jeszcze jedno. Mniej więcej dziesięć lat temu w okolicach Del Rio dokonano niemal identycznego zabójstwa. Morderca zabił swoją ofiarę nożem i porzucił na polu. Szukałem podobnych przypadków i spotkałem jednego z naszych starszych wiekiem oficerów śledczych, który pamiętał tę sprawę. Wydarzyła się tak dawno, że nie było jej nawet w bazie danych. Wysłałem e-mail do tamtejszej komendy policji z prośbą, żeby przefaksowali mi szczegółowy opis. - Przeczesał dłonią gęste, proste czarne włosy. - Małe dziewczynki. Niewinne małe dziewczynki. A ten potwór być może morduje je już od lat dziewięćdziesiątych i nigdy nie został schwytany. Oddałbym wszystko, żeby go dopaść - dorzucił. Przerwał, złożył zamówienie kelnerce i zaczekał, aż naleje mu kawy.

Dopiero potem podjął: - On musi być wielokrotnym zabójcą seksualnym. Zwykły amator nie byłby tak sprawny. Trzeba dużej przebiegłości, żeby porwać dziewczynkę z jej sypialni, podczas gdy w domu są jej rodzice. A on robi to od wielu lat - jeżeli mamy rację, że tych zbrodni dokonał jeden człowiek - i nigdy go nie złapano ani nawet nie widziano.

- Te czerwone wstążki - mruknął Garon, popijając kawę - muszą mieć jakiś związek z jego erotycznymi fantazjami.

- Też tak pomyślałem - przytaknął młodszy mężczyzna. - Ten oficer śledczy, który opowiedział mi o zabójstwie w Del Rio, przypomniał sobie, że słyszał również o podobnym przypadku sprzed co najmniej dwunastu lat, ale nie pamiętał, gdzie to się wydarzyło. Przypuszcza, że gdzieś w południowym Teksasie.

- Sprawdził pan, czy tej sprawy nie ma w naszej bazie danych?

- Tak, ale również niczego nie znalazłem. Bóg jeden wie, ilu jeszcze innych zabójstw tam nie ma, zwłaszcza jeśli wydarzyły się w małych miasteczkach leżących na terenach rolniczych. - Uśmiechnął się. - Opowiedziałem mojemu porucznikowi o tym zabójstwie w Del Rio i o dwóch innych dziewczynkach w Oklahomie, które porwano z ich domów i zamordowano. Zasugerowałem, że musimy włączyć w to śledztwo FBI po to, żebyście mogli sporządzić dla nas profil osobowości mordercy. Wtedy on się roześmiał i powiedział, że tych zabójstw nic nie łączy. Poszedłem więc do kapitana, a on zadzwonił do waszego śledczego, który zgodził się, żebyście nam pomogli. Dziękuję.

- Nie ma sprawy - odparł Garon. - Większość doświadczonych gliniarzy nie lubi papierkowej roboty i komplikacji. Nikt nie marzy o tym,

żeby tropić seryjnego zabójcę. Ale być może tego zdołamy schwytać, jeżeli będziemy wystarczająco uparci.

Marquez wydał wargi.

- Zapytałem o pana jednego z członków pańskiego oddziału - oświadczył. - Powiedział mi, że będzie pan ścigał przestępcę aż do wrót piekieł.

Garon wzruszył ramionami.

- Nie lubię, kiedy sprawcy zbrodni udaje się uciec.

- Ja też nie. Ten gość jest seryjnym mordercą. Chcę, żeby pan pomógł mi tego dowieść.

Garon milczał, podczas gdy podawano im steki. Potem spytał:

- Co łączy to dawne zabójstwo w Del Rio z naszą sprawą?

- Dysponuję jedynie pobieżnymi informacjami - odparł Marquez - ale uprowadzenia dokonano w taki sam sposób. W trakcie śledztwa ustalono, że sprawcą był ktoś obcy. Ofiara została zgwałcona i zadźgana nożem. Nie wiem nic o czerwonej wstążce. Opisałem naszą sprawę w formularzu do rejestru przestępstw i istotnie odnalazłem kilka zabójstw dzieci, dokonanych w innych stanach. Jednak żadna z ofiar nie została uduszona ani zakłuta nożem, co może wskazywać na jakiegoś innego sprawcę.

- Albo nasz zabójca mógł zmienić swoje nawyki. Być może rewolwer daje mu większe poczucie władzy podczas dokonywania gwałtu - podsunął Garon.

Obydwaj wiedzieli, że morderca może zmienić sposób zabijania. Jednak jeżeli zabójstwo odznacza się jakąś specyficzną cechą, zazwyczaj pozostaje ona niezmienna.

- Czy na miejscach tych dawnych zbrodni znaleziono czerwone wstążki? - zapytał Garon, ponieważ to wydawało się cechą charakterystyczną przynajmniej w jednym wypadku.

- Nie - odparł Marquez. - A w każdym razie nie było o tym wzmianki w danych, do których dotarłem. Jak już wspomniałem, zawsze zachowujemy dla siebie jeden lub dwa szczegóły i nie informujemy o nich mediów. Może detektywi zajmujący się tamtymi morderstwami również tak zrobili.

- Próbował się pan skontaktować telefonicznie z oficerami śledczymi prowadzącymi śledztwa w sprawie tych zabójstw w Oklahomie?

- Owszem. Pierwszy z nich był przekonany, że w rzeczywistości jestem reporterem, który usiłuje wygrzebać nieznane fakty dotyczące tego morderstwa. Kiedy podałem mu numer telefonu mojego kapitana, powiedział, że każdy mógłby odszukać ten numer w Internecie, po czym rzucił słuchawkę. W drugiej komendzie policji nikt nie wiedział niczego o tamtej dawnej sprawie.

- A co z tym innym zabójstwem w Teksasie?

- Typowa historia - rzekł Marquez z wyraźnym obrzydzeniem. - Miało miejsce w Palo Verde, małym miasteczku leżącym w pobliżu Austin. Mają tam tylko jednego policjanta, lecz w żaden sposób nie mogłem się do niego dodzwonić. Wysłałem mu więc przez Internet zapytanie o tę sprawę oraz numer mojego telefonu. To było dwa tygodnie temu i wciąż nie dostałem odpowiedzi.

- Dostajemy rozmaite e-maile od wielu świrów - rzekł Garon. - Poza tym przychodzi do nas około dwustu spamów dziennie. Nagłówki bywają tak mylące, że niekiedy przez pomyłkę otwieramy takie wiadomości.

Zazwyczaj są to jakieś podpuchy albo linki do pornograficznej strony internetowej. Przedostają się nawet przez filtry. Może pańska wiadomość została po prostu skasowana.

- Nienawidzę ludzi rozsyłających spamy - mruknął Marquez.

- Mamy wydział zajmujący się przestępstwami dokonywanymi przy użyciu środków elektronicznych. Jego pracownicy codziennie przez wiele godzin szukają oszukańczych komunikatów i zamykają je.

- To świetnie, ale to wciąż nie rozwiązuje mojego problemu.

- Mógłby pan polecieć do Oklahomy i osobiście okazać swoje dokumenty uwierzytelniające.

- Ledwie mi starcza na czynsz - oświadczył żałośnie Marquez, dojadając swój stek. - Nie stać mnie na bilet lotniczy.

- Pański wydział zapłaciłby za bilety. Marquez uniósł brwi.

- Akurat! - parsknął. - Czy nie mówiłem, że musiałem kupić własny cholerny cyfrowy aparat fotograficzny, bo mój porucznik nie wydał zgody na taki wydatek? On nie chce stracić pracy, a administrator wyznaczony przez radę miejską przygląda się budżetowi każdego wydziału przez mikroskop.

- Wiem, jak to jest - westchnął Garon.

- Nie, nie wie pan - rzekł Marquez. - Chyba że musi pan przedstawiać rachunek za szklanekę wody z lodem, kupionej w całodobowym sklepie spożywczym, na poparcie prośby o zwrot kosztów śledztwa!

- Chyba pan żartuje! - zawołał Garon.

- Chciałbym, żeby tak było - rzekł smutno Marquez, potrząsając głową. - Przypuszczam, że gdybym kupił dużą colę, wsadziliby mnie do więzienia.

Garon zachichotał.

- Niech pan przejdzie do pracy u nas - powiedział. - Dostałby pan nawet bucar.

- Co to takiego?

- Służbowy samochód. Mój jest jak magazyn na kółkach, w którym trzymam cały sprzęt, między innymi rewolwery.

- Rewolwery, w liczbie mnogiej?! - wykrzyknął detektyw. - Ma pan więcej niż jeden?

Garon rzucił mu kpiące spojrzenie.

- Z pewnością ma pan do dyspozycji kamizelkę kuloodporną, kolczatkę drogową i karabinek na śrut... ?

- Naturalnie - mruknął Marquez - ale nie są moją własnością. Zresztą, zamiast rzucić na szosę kolczatkę, wyciągam służbową broń i próbuję trafić w opony - pod warunkiem że w pobliżu ściganego przestępcy nie ma nikogo, kogo mógłbym przez pomyłkę postrzelić. A co do karabinka... - Odsunął połę marynarki i pokazał kaburę pod pachą. - Mam tylko to. Nie cierpię śrutówek.

- Pozwalają wam nosić kabury pod pachą? - zapytał Grier. - Nam tego nie wolno.

- Nie wiem, czy chciałbym pracować w FBI, jeżeli nie mógłbym używać takiej kabury. Poza tym za często wysyłają was w odległe rejony kraju. Ja wolę być blisko domu.

- Zależy, co kto lubi.

- Kto jeszcze będzie w tym tworzonym przez pana oddziale specjalnym? - spytał Marquez.

- Mamy ludzi z urzędu szeryfa, ponieważ morderstwa dokonano poza miastem, na jego terenie, a także drużynę z psami i członka oddziału teksas-kich strażników...

- Komandos? No! no! - rzekł detektyw z tęsknym westchnieniem. - Pięć lat temu próbowałem się do nich dostać. Zdałem wszystkie testy z wyjątkiem strzelania, ale dwóch gości miało lepsze wyniki ode mnie. To niezła ekipa.

- Owszem. Mój brat do nich należał, zanim przyjechał pracować w San Antonio. Był ekspertem od przestępstw internetowych w biurze prokuratora okręgowego, a potem przeniósł się do Jacobsville.

- Wiem, jest tam komendantem policji - przytaknął detektyw. - Zapuszkował kilku groźnych handlarzy narkotyków.

Garonowi te słowa sprawiły przyjemność. Był dumny ze swojego brata.

- Kto jeszcze? - dopytywał się Marquez.

- Jest śledczy z biura prokuratora generalnego, specjalizujący się w przestępstwach przeciwko dzieciom. Zapewniliśmy też sobie współpracę naszego laboratorium kryminalnego w Quantico.

- My mamy jeden z najlepszych w kraju zakładów medycyny sądowej.

- Wiem - rzekł z uśmiechem Garon. - Udostępnię im cały materiał dowodowy.

- Kiedy odbędzie się spotkanie naszego zespołu?

- Jutro około pierwszej po południu w restauracji El Chico.

Odnalazłem policjanta, który zna rodzinę ofiary i kiedyś mieszkał w sąsiedztwie. On też tam przyjdzie. Skontaktuję się z tym teksaskim komandosem i śledczym od prokuratora okręgowego. Mam nadzieję, że dopadniemy mordercę.

- Nie wątpię - powiedział Marquez i spojrział na zegarek. - Mam teraz wolne parę godzin, ale przed końcem pracy powinienem być z powrotem w biurze. Zapomniałem dać panu numery moich telefonów, na wypadek gdyby chciał się pan ze mną skontaktować. Jeśli nie będę uchwytany w gabinecie - dodał, wyjmując z kieszeni wizytówkę - tu znajdzie pan numer mojej komórki.

- Dziękuję. Będziemy w kontakcie.

Gdy skończyli jeść i kelnerka przyniosła rachunek, Marquez wyciągnął portfel, ale Garon powstrzymał go machnięciem ręki i podał kobiecie kartę kredytową.

- Ja stawiam - rzekł z uśmiechem do detektywa. - To był obiad służbowy.

- Dzięki. Żałuję, że nie mogę się zrewanżować, ale gdybym przedstawił mojemu porucznikowi rachunek za obiad, skierowałby mnie do ścigania ludzi, którzy odjeżdżają ze stacji benzynowych, nie płacąc za paliwo.

Garon tylko się roześmiał.

Lecz nie było mu do śmiechu, gdy wróciwszy do domu, ujrzał pannę Turner stojącą z zatroskaną miną przy telefonie.

- Co się stało? - zapytał.

- Mam nadzieję, że nic - odparła. - Chodzi tylko o to, że nie mogę się dodzwonić do Grace. Z pewnością nic jej się nie stało. Może po prostu nie odbiera telefonów.

- Pojadę tam i sprawdzę - oświadczył i wyszedł na dwór, zanim panna Turner zdążyła poprosić, żeby wziął ją ze sobą.

Wjechał na frontowe podwórze starego wiktoriańskiego domu i znowu uderzyło go, jak bardzo zaniedbany jest ten budynek. Wbiegł po schodkach, przeskakując po dwa stopnie naraz i mocno zastukał w drzwi. Odczekał chwilę, zapukał ponownie, a potem jeszcze raz, lecz nikt nie otworzył.

Poszedł wzdłuż bocznej ściany domu i zobaczył Grace w ogródku. Przycinała sekatorem krzaki róż i przemawiała do nich. Najwidoczniej nie usłyszała, że przyjechał.

- Wiem, że ona nigdy was nie lubiła - mówiła do kwiatów. - Ale ja was kocham. Postaram się, abyście miały tyle nawozu i środków ochrony, ile potrzebujecie, żeby wyrosnąć znowu tak pięknie jak wtedy, gdy jeszcze żył dziadek. – Chlipnęła i otarła oczy rękawem flanelowej koszuli. - Nie wiem, dlaczego po niej płaczę - rzekła po chwili milczenia. - Ona mnie nienawidziła. Bez względu na to, co dla niej robiłam, nigdy mnie nie zaakceptowała. Ale teraz odeszła i jesteśmy tylko wy, ja i ten olbrzymi dom...

- Czy to znaczy, że te róże zamieszkają w nim razem z tobą? - spytał zaciekawiony.

Odwróciła się tak szybko, że omal się nie przewróciła, i przycisnęła dłoń do piersi, jakby zabrakło jej tchu.

- Chodzisz cicho jak kot - wykrztusiła. - Co cię tu sprowadza?

- Panna Turner nie mogła się do ciebie dodzwonić i zaniepokoiła się, czy coś ci się nie stało.

- Och - westchnęła i powróciła do przycinania róż. - To miłe z jej strony.

Rozejrzał się po pustym terenie. Za domem były grządki, wyglądające jakby niedawno je przekopano. Zastanowił się, czy Grace uprawiała ogródek, czy może jej babka hodowała tam warzywa.

- Złapał pan już człowieka, który zabił tę małą dziewczynkę? - zapytała.

Garon pokręcił głową.

- Rozwiązanie sprawy morderstwa nie jest takie proste. Popelniono kilka podobnych zbrodni -niektóre z nich przed wielu laty. Śledztwo wymaga czasu. Organizujemy teraz specjalny zespół do zbadania tej sprawy.

- Mój ojciec był tu niegdyś zastępcą szeryfa, tak jak wcześniej dziadek. To było dawno temu - dodała. - Zrezygnował ze stanowiska, kiedy poślubił moją mamę, ponieważ nie chciała, żeby narażał się na ryzyko.

- Czym się potem zajmował?

- Dostał w San Antonio pracę szofera limuzyny - odrzekła. - Potem poznał ładną bogatą kobietę, która zatrudniła go jako kierowcę, i stracił dla niej głowę. Porzucił moją matkę i wniósł pozew o rozwód. Matka nigdy nie mogła tego przeboleć. Tamta kobieta była od niej o dziesięć lat starsza i miała butik.

- Czy twój ojciec jeszcze żyje? - spytał.

- Nie. Kiedy razem ze swoją nową żoną jechał do Las Vegas, zderzył się z nimi czołowo pijany kierowca. Oboje zginęli na miejscu.

- Powiedziałaś, że matka cię nie lubiła. Grace przytaknęła.

- Nienawidziła mnie za to, że jestem podobna do ojca.

- Co się z nią stało?

- Ona... zmarła dwanaście lat temu. Zaledwie dwa lata po wypadku taty.

- Jak zarabiała na życie?

- Była pielęgniarką - rzekła Grace cicho.

- Uśmiercisz te róże, jeżeli nadal będziesz je przycinać - zwrócił jej uwagę. - Poza tym robi się chłodniej.

Zadrżała lekko i wstała.

- Chyba masz rację. Po prostu chciałam się czymś zająć. Nie mogę znieść samotnego siedzenia w tym wielkim domu.

- Nie musisz tam siedzieć. Spakuj rzeczy w jakąś niedużą torbę. Zapraszam cię do siebie. Będziesz mogła razem z panną Turner oglądać filmy na płatnym kanale telewizyjnym.

Podniosła na niego wzrok i zmarszczyła brwi.

- To nie jest konieczne...

- Owszem, jest - powiedział łagodnie, przyglądając się jej twarzy. Była mokra od łez. - Potrzebujesz trochę czasu, żeby przywyknąć do życia bez babki. Żadnych zobowiązań. Po prostu dotrzymamy ci towarzystwa.

Wpatrywała się w niego, przygryzając dolną wargę. Widać było, że nie pojmuje jego pobudek.

- Zrobiłbym to dla każdego - ciągnął. - Potraktuj moją ofertę jako sąsiedzka pomoc.

Poruszyła się niespokojnie.

- Jeżeli rzeczywiście nie będę wam przeszkadzała... - zaczęła.

- Pracuję całymi godzinami w gabinecie nad uaktualnianiem danych dotyczących mojego stada - rzekł z prostotą. - W niczym mi nie będziesz przeszkadzać. Ulokuję cię w pokoju gościnnym obok pokoju panny Turner. Ona będzie w pobliżu, gdybyś miała w nocy koszmary.

Grace nadal się wahała. Trudno przychodziło jej zaufać mężczyźnie. Jakimkolwiek mężczyźnie.

- Jeśli zostaniesz tutaj, rozmawiając z krzakami róż, ktoś to zauważy - rzekł. - Pomyśl, jaki wybuchnie skandal.

Uśmiechnęła się mimo woli.

- A więc dobrze. Dziękuję - dodała z lekkim zakłopotaniem.

- Jestem pewien, że zrobiłabyś dla mnie to samo.

Owszem, zrobiłaby.

Panna Turner była zdziwiona, ale ogromnie się ucieszyła z nieoczekiwanego towarzystwa.

- Zazwyczaj on nie znosi, żeby ktokolwiek tu przychodził - powiedziała do Grace, nalewając jej herbatę w kuchni długiego piętrowego domostwa.

- Zaprosił mnie tylko dlatego, że rozmawiałam z różami.

Panna Turner wlepiała w nią zdumiony wzrok. Grace splonęła rumieńcem.

- Ostatnio nie odwiedzało mnie zbyt wiele osób - wyjaśniła.

- Możesz rozmawiać ze mną - rzekła gospodyni. - Ja przynajmniej ci odpowiem.

Później panna Turner zaprowadziła dziewczynę do pokoju gościnnego i wskazała kapę w nogach łóżka, na wypadek gdyby Grace było zimno.

- On mówi, że nie potrafi spać, gdy w pokoju jest ciepło, więc w całym domu panuje mróz - mruknęła. - Prawdopodobnie przemarzniesz na kość, ale przynajmniej nie będziesz sama. Wzięłaś swoje lekarstwa?

Dziewczyna skinęła głową.

- To dobrze. Przy łóżku jest karafka z wodą. Dobranoc.

- Dobranoc.

Gdy drzwi za gospodynią się zamknęły, Grace usiadła na łóżku. Pokój był ładny, o ścianach w kolorach chłodnego błękitu i beżu. Zaproszenie Garona ją zdumiało, lecz była mu wdzięczna. Lękałaby się spędzić samotnie noc w wielkim domu babki.

Przyszło jej do głowy, że jak na człowieka tak nietowarzyskiego, Garon okazał się zaskakująco życzliwy i uprzejmy.

Okryła się szczelnie kołdrą i zamknęła oczy. Lecz wspomnienia dzisiejszych wydarzeń nękały ją i nie dawały jej zasnąć. I nie chodziło tylko o śmierć babki. W wyobraźni wciąż widziała małe dziewczynki, leżące w grządkach róż, z czerwonymi wstążkami wokół szyj...

Kiedy usłyszała krzyk, nie zdała sobie sprawy, że wydobył się z jej własnych ust.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Boże wszechmogący! - zawołał gdzieś obok głęboki głos. - Grace. Grace!

Konała. Wszędzie wokół niej płynęła krew, czerwona jak róże jej babki. Leżała na plecach pośród słoneczników, wpatrując się w niebo. I był ból. Straszny ból! Niemal czuła, jak czyjeś bezlitosne ręce potrząsają ją za ramiona, potrząsają... !

Jęknęła cicho i otworzyła oczy. Na skraju jej łóżka siedział w płaszczu kąpielowym Garon Grier. Jego kasztanowe włosy z jasnymi pasmami były zmierzwiłone. Wpatrywał się w nią z troską zmrużonymi ciemnymi oczami. Za nim stała panna Turner z rozpuszczonymi rzadkimi siwymi włosami. Otulała się połami grubego szlafroka i nerwowo przygryzała usta.

Grace wzięła głęboki oddech, a potem jeszcze jeden. Drżała.

- Prze... przepraszam - wyjąkała. - Przepraszam! Garon dźwignął ją do pozycji siedzącej, po czym rozluźnił chwyt. Długie blond włosy dziewczyny wymknęły się spod opaski i spłynęły na ramiona jedwabistą kaskadą. Grace miała na sobie grubą, białą bawełnianą koszulę nocną, okrywającą ją od szyi do pięt, tak że widoczne były tylko jej twarz i dłonie.

- Co się stało? - zapytał Garon. Przełknęła z trudem ślinę i rozejrzała się z ulgą.

Nie leżała na polu, tylko w łóżku w domu. Była bezpieczna. Przełknęła ponownie, czując, że jej oczy i policzki są mokre od łez.

- Co to było? - wypytywał. - Przyśnił ci się jakiś koszmar?

Zdołała jedynie kiwnąć głową. Wciąż jeszcze się trzęsła. Ten sen wydawał się taki rzeczywisty.

- Może wypijesz trochę ciepłego mleka? - zaproponowała panna Turner. - To ci pomoże usnąć.

- Mleko, akurat - rzucił szorstko Garon. - Niech pani przyniesie jej kapkę whisky Crown Royal.

- Nie cierpię alkoholu... - zaczęła Grace.

- I to zaraz! - dodał, wpatrując się w pannę Turner wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu.

- Już idę - powiedziała posłusznie gospodyni. Kiedy wyszła z pokoju, Garon puścił ramiona

Grace i przyjrzał się jej. Jego spojrzenie było niczym promień lasera, badawcze i przenikliwe.

- To nie pierwszy raz, prawda? - spytał nagle.

- Te koszmary? Nie. - Pochyliła się naprzód, podciągnęła kolana okryte nocną koszulą i wsparła na nich czoło. Serce waliło jej szaleńczo i ledwie mogła oddychać. - Śnią mi się od dawna.

Chciał pytać dalej i domagać się odpowiedzi. Lecz Grace była jego gościem i nie chciał natarczywie wkraczać w jej prywatność. Nie pragnął też poznawać intymnych szczegółów z jej życia. Współczuł jej, nic więcej. To był tylko krótki przerywnik w jego życiu i jej. Mógł okazać jej pomoc, jakiej potrzebowała, ale nie chciał zanadto się do niej zbliżyć.

Raz jeszcze odetchnęła głęboko i skrzywiła się, widząc wyraz jego twarzy. Wiedziała, że nie podoba mu się ta sytuacja. Nie musiała nawet o to pytać.

Odgarnęła do tyłu niesforne włosy.

- Zaraz mi przejdzie - powiedziała, nie patrząc mu w oczy. -

Dziękuję, że przyszedłeś sprawdzić, co się stało. To był tylko zły sen, który od dawna mnie dręczy. Powraca, ilekroć przeżywam jakiś wielki stres. Śmierć babci była dla mnie... ciężkim przeżyciem.

Garon rozumiał to doskonale. Stara kobieta nieustannie krytykowała Grace, ale była jedyną bliską jej osobą, toteż nie dziwił się rozpacz dziewczyny. Sam dobrze znał żal utraty i wciąż jeszcze żywo go odczuwał. Jednakże nigdy nikomu o nim nie mówił - nawet ojcu czy braciom.

Grace była boleśnie świadoma tego, że Garon pod czarnym szlafrokiem nosi tylko spodnie od piżamy. Poły szlafroka były rozchylone i widok szerokiej, muskularnej, owłosionej piersi wprawiał ją w zakłopotanie. Zerknęła na nią nerwowo, czując, jak jej ciało sztywnieje z napięcia, i mocno objęła rękami kolana.

Zauważył jej reakcję i ogarnęła go irytacja. Przed chwilą wrzeszczała ze strachu jak opętana, więc dlaczego teraz, kiedy jej pomógł, zachowuje się, jakby chciał ją napastować? Wstał szybko ze źle skrywanym zniecierpliwieniem i popatrzył na nią gniewnie.

Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy ani wyjaśnić czy przeprosić. I tak by nie zrozumiał. Był przystojnym, zmysłowym mężczyzną, który niewątpliwie miał powodzenie u kobiet. Najwidoczniej irytowało go, że taka nieatrakcyjna, niegustownie ubrana dziewczyna jak ona traktuje go jak gwałciciela.

Cisza narastała między nimi, gęsta i mroczna niczym burzowa chmura. Przerwał ją w końcu powrót panny Turner. Gospodyni przyniosła kieliszek wypełniony bursztynowym płynem.

- Proszę - powiedziała, podając go Garonowi. Wcisnął kieliszek w dłoń Grace.

- Wypij to - rzucił niecierpliwie. Powąchała zawartość i skrzywiła się.

- Nigdy nie piłam alkoholu.

- Wypijesz sama albo panna Turner przytrzyma cię, a ja wleję ci to do gardła - rzekł szorstko, wciąż jeszcze urażony jej zachowaniem sprzed chwili, kiedy byli sami.

Popatrzyła na niego z niepokojem.

- Nie ośmielisz się - rzekła z niedowierzaniem.

Skinął na gospodynię.

- Panno Turner, proszę tu podejść. Pokażę pani, jak się zakłada nelsona, żeby mogła ją pani unieruchomić.

Wcale nie żartował, toteż Grace wstrzymała oddech i wychyliła kieliszek do dna. Ostry płyn spalił jej gardło. Zakrztusiła się.

- Proszę - powiedziała pośpiesznie panna Turner i naląła jej szklanek wody.

- Nawet benzyna smakowałaby lepiej! - rzuciła wściekle Grace i spiorunowała Garona wzrokiem.

- Uważaj, co mówisz, kobieto - parsknął z urazą. - To Crown Royal!

- Olej napędowy - burknęła.

Uniół ręce w bezsilnym proteście i wstał.

- Tak to jest, kiedy częstuje się wieśniaków szlachetnym trunkiem.

- Nie jestem wieśniaczką.

- Albo wariatów - dorzucił z uporem.

- Nie jestem... !

- Gadałaś do krzaków róż - przypomniał jej. Grace spłonęła rumieńcem.

Panna Turner uśmiechnęła się i oznajmiła:

- On czasem mówi do traktorów, kiedy nie chcą zapalić. Słyszałam, jak rzucał hiszpańskie przekleństwa, za które w Del Rio wsadzono by go do aresztu.

Popatrzył na nią gniewnym wzrokiem, a potem zmrużył jedno oko.

- Czasem trzeba zakląć, żeby pokazać głupiej maszynie, że to nie żarty. I tak ma szczęście, że do niej nie strzeliłem.

- Gdyby pan strzelił do traktora, pański zarządca pogrzebałby pana w ziemi razem z nim - odparła gospodyni. - Mówi, że on i tak ledwo chodzi, a trzeba przygotować grunt pod siew.

- Przecież jest luty! - wykrzyknął Garon.

- W lutym sadzimy ziemniaki - rzekła krótko.

- Nie cierpię ziemniaków.

- Siejemy też trawy na paszę dla bydła - dodała. Garon westchnął.

- Chyba rzeczywiście traktor mógłby się do tego przydać - przyznał.

Wsadził ręce w kieszenie i zerknął na Grace. - Jeśli myślisz, że zdołasz zasnąć, to wszyscy moglibyśmy spróbować się jeszcze przespać. Jutro z samego rana muszę pojechać do Lytle na zebranie.

- Nic mi nie będzie - zapewniła go. Potem uświadomiła sobie, że nazajutrz czeka ją wizyta w domu pogrzebowym, i zadrżała.

Garon też sobie o tym przypomniał. Niechętne współczucie wzięło w nim górę nad urażoną męską dumą.

- Wrócę do domu przed piątą. Masz być w domu pogrzebowym dopiero o szóstej, prawda?

Potrząsnęła głową, zaskoczona tym, że odgadł powód jej niepokoju.

- Zawiozę cię tam - ciągnął. - Panna Turner też może przyjść.

- Ależ nie musisz tego robić - zaprotestowała słabo.

- Jeśli nie ja, to kto? - rzekł spokojnym tonem. Przygryzła wargę.

- Dziękuję.

Jej wdzięczność wprawiła go w zakłopotanie.

- Nie ma za co - rzekł. - Chodźmy, panno Turner.

- Dobranoc, Grace. Śpij spokojnie-powiedziała łagodnie gospodyni.

- Dobranoc pani. Przykro mi, że was obudziłam.

- Przywykłem do tego - rzucił beztrąsko. - Pracuję w wydziale zabójstw. To nie jest praca biurowa od ósmej do czwartej.

Grace uniosła brwi.

- Chcesz powiedzieć, że wzywają cię w nocy?

- W nocy, w święta, w weekendy - powiedział. - To moja praca, a w gruncie rzeczy moje życie. Lubię ścigać oszustów.

Zdobyła się na blady uśmiech.

- To musi być trudne wyzwanie. Przytaknął, ale nie zamierzał zostać dłużej i wdawać się w pogawędkę. Przed chwilą aż nazbyt jasno wyraziła swoją opinię o nim jako o mężczyźnie.

- Dobranoc - rzucił.

Przyglądała się z podświadomym żalem, jak wychodzi za panną Turner. Starał się ją po prostu pocieszyć, a ona go obrażała. Ubolewała nad tym.

Jej całe dorosłe życie było jedną wielką samotną udręką, ponieważ na każdy przejaw męskiego zainteresowania reagowała ze sztywnym chłodem. Pragnęła zasnąć i uciec od tych wspomnień, lecz wiedziała, że w

tej chwili jej się to nie uda. Była zanadto napięta. Toteż nie położyła się od razu. Bała się, że koszmar może powrócić. Usiadła w łóżku oparta o poduszki i zaczęła przeglądać jakąś gazetę. Postanowiła, że spróbuje zasnąć dopiero wtedy, kiedy poczuje się naprawdę śpiąca.

Kiedy nazajutrz rano wstała, Garona już nie było. Zjadła z panną Turner lekkie śniadanie, a potem gospodyni odwiozła ją do domu.

- Nie podoba mi się, że zostawiam cię samą - powiedziała.

- Nie będę sama - odparła z uśmiechem Grace.

- Ten dom jest miły i przyjazny. Żyły w nim i umarły trzy pokolenia mojej rodziny.

Rozejrzała się wokoło i jej wzrok zatrzymał się na rosnącym na frontowym podwórzu olbrzymim klonie, nagim, gdyż była jeszcze zima. Jesienią drzewo pyszniło się bogactwem czerwieni i złota. Potem zimne wiatry sprawiały, że traciło listowie - co Grace nazywała „deszczem liści”. Uwielbiała biegać pośród opadającego listowia i czuć na twarzy pierwsze uszczypnięcia mroźnego powietrza.

- Pewnego dnia to drzewo runie i zmiotą dom - stwierdziła panna Turner.

- Na pewno nie - uspokoiła ją Grace. – Jest mocne i długowieczne. Jesienią to najpiękniejsze drzewo w okolicy.

- Ocenię to, kiedy sama zobaczę - zachichotała starsza kobieta. -
Wrócę po ciebie przed szóstą, dobrze?

- Jeśli nie sprawi to pani kłopotu.

- Żadnego.

Patrzyła, jak panna Turner odjeżdża, i po raz kolejny zastanowiła się nad bliskością, jaką odczuwała wobec Garona Giera i jego gospodyni. Nie

znała Garona zbyt dobrze, ale wiedziała, że nie utrzymuje wielu kontaktów towarzyskich i jest pracoholikiem - podobnie jak panna Turner. Grace musiała w duchu przyznać, że ona sama również sporo pracuje - ma dwie posady, a wolny czas poświęca swojemu projektowi, który zdaje się nie mieć końca.

Przetrząsnęła szafę z ubraniami, w nadziei że znajdzie przynajmniej jedną w miarę nową czarną sukienkę. Swoje gromadzone od miesięcy oszczędności wydała na uzupełnienie skromnego zasiłku babki oraz na zakup leków dla niej. Niewielki dodatek na lekarstwa, jaki otrzymywała stara pani Collier, nie wystarczał na pokrycie wydatków na niezbędne środki, które kosztowały ponad sto dolarów za buteleczkę. Grace często rezygnowała z własnych leków, przepisywanych jej na receptę, żeby móc kupić lekarstwa dla babci. Coltrain uznałby takie postępowanie za narażanie zdrowia, więc ukrywała je przed nim.

- Wilbur! - zawołała głośno. Dobiegło ją stłumione miauczenie, gdy jej stary kot wygramolił się spod porzuconej skrzynki na kwiaty, opartej o schodek. - Co ty tam robisz? - zapytała i schyliła się, żeby go pogłaskać.

Kot w odpowiedzi tylko ponownie miauknął. Nie dostrzegła niczego w pobliżu, ale niedawno jeden z pracowników Garona wspomniał, że widział w okolicy kojoty. Miała nadzieję, że żadne z tych zwierząt nie zjawiało się koło jej domu. Słyszała, że one mordują koty i psy. Lubiła Wilbura. Miał już dwanaście lat i podobnie jak ona ciężkie doświadczenia ze starą panią Collier. Babka nie pozwalała mu wchodzić do domu, chociaż Grace w tajemnicy przed nią wpuszczała go ukradkiem do środka podczas brzydkiej pogody. Teraz to już nie miało znaczenia. Grace

postanowiła, że kot będzie mieszkał w domu i dotrzymywał jej towarzysztwa, co trochę osłodzi jej samotność.

Tego popołudnia liczni mieszkańcy Jacobsville składali jej wizyty, przynosząc miseczki z sałatkami oraz talerze mięs, ciast i ciasteczek. Ktoś nawet przyniósł dwa kilogramy kawy, której nie wolno jej było pić. Zaparzyła jednak dzbanek dla gości.

W małych miasteczkach panuje obyczaj przynoszenia jedzenia rodzinie, w której ktoś zmarł. W ten sposób okazuje się jej współczucie. Dzięki temu pogrążeni w żałobie bliscy zmarłego, zajęci organizacją pogrzebu, nie muszą się kłopotać przygotowywaniem posiłków. Oczywiście w tym wypadku z rodziny została tylko Grace, lecz to nie powstrzymało ludzi przed znoszeniem jej jedzenia. Barbara, właścicielka miejscowej restauracji, ofiarowała potrawy z mięs i warzyw. Dwaj zastępcy szeryfa i ich żony przyszli z ciasteczkami i ciastami. Bracia Ballenger przysłali dwóch spośród swoich synów z chlebem własnego wypieku, a Tess, żona Leo Harta, przydźwigała wielki garnek mięsa z pieczonych kurczaków z kluskami. Grace była zaskoczona, że najważniejsze osobistości miasteczka tak bardzo ceniły starą panią Collier, i wspomniała o tym Barbarze.

- Nie bądź niemądra - zachichotała restauratorka. - Oni przyszli tu ze względu na ciebie, ponieważ cię lubią. W przeszłości opiekowałaś się dziećmi Calhouna Ballengera, czego Abby nigdy ci nie zapomniała, i pomagałaś Tess Hart w jej różanym ogrodzie. Pamiętaj też, że zawsze byłaś jedną z pierwszych, która zanosila jedzenie innym, a żadna ze świeżo wzbogaconych rodzin nie jest snobistyczna - w przeciwieństwie do niektórych starych bogatych rodów.

- Chyba ma pani rację - odparła Grace z uśmiechem.

Zauważyła, że nawet pani Tabor, czołowa przedstawicielka starych bogatych rodzin, przysłała tacę zimnych przekąsek, chociaż zazwyczaj nie zadawała się ze zwykłymi mieszkańcami Jacobsville. Jej bratanica, pracująca w agencji nieruchomości Andy'ego Webba, zyskała już w miasteczku reputację kobiety o najbardziej swobodnych obyczajach. I to właśnie ona przyniosła przekąski.

- Dziękuję - powiedziała Grace, speszona przenikliwym, badawczym spojrzeniem starszej od siebie kobiety, i postawiła tacę na stole w jadalni obok innych półmisek.

- Chciałam cię tylko zobaczyć - powiedziała dziewczyna. Miała na sobie bardzo obcisłe dzinsy, czerwoną bluzkę z głębokim dekoltem i sweter. Obrzuciła drwiącym spojrzeniem workowate dzinsy i różową sportową bluzę Grace i dodała: - No cóż, najwyraźniej to nie twoja uroda zafascynowała Garona. Byłam ciekawa, dlaczego ci pomaga. Teraz widzę, że powodem jest po prostu sąsiedzka życzliwość. - Zaśmiała się. - Niepotrzebnie się martwiłam, że możesz być dla mnie rywalką - rzuciła niefrasobliwie i oddaliła się bez słowa.

Grace patrzyła za nią oniemiała. Naturalnie, nawet nie powstało jej w głowie, że Garon miałby się nią interesować, natomiast zrozumiała, dlaczego mógłby się uganiać za bratanicą pani Tabor. To dziwne, ale ta myśl sprawiła jej przykrość. Jej małomówny sąsiad nigdy nie wspomniał o tej wyzywającej kobiecie. Czy się z nią spotykał? Wiedziała, że to nie powinno jej obchodzić, lecz zabolowało ją, gdy wyobraziła go sobie w towarzystwie tej samolubnej i bezwzględnej harpii. Miała wrażenie, sama

nie wiedząc czemu, że życie i tak już obeszło się z Garonem wystarczająco okrutnie.

Tego wieczoru Grace zaprosiła pannę Turner i Garona, żeby zjedli z nią kolację przed udaniem się do domu pogrzebowego. Protestowali, ale przekonała ich tym, że w przeciwnym razie przyniesione przez ludzi potrawy się zmarnują, bo nie zdoła zjeść wszystkiego sama.

Kiedy zajechali pod jej dom, miała już przygotowane papierowe talerze oraz serwetki. Zjedli szybko i w milczeniu, ale w miłym nastroju. Jacobsville chlubiło się najlepszymi kucharkami w okolicy. Na stole były bułki domowego wypieku, chleb z przyprawami korzennymi, pieczona szynka, smażone kurczaki oraz najrozmaitsze przystawki i sałatki.

- Wiem, kto upiekł to czekoladowe ciasto - mruknęła z uśmiechem panna Turner, delektując się jego smakiem. - Zrobiła je Barbara.

Grace się roześmiała.

- To jedyna rzecz, jaką potrafi przyrządzić - zdradziła.

- No cóż, chyba dobrze, że prowadząc restaurację, nie musi polegać na własnych umiejętnościach kulinarnych - stwierdziła gospodyni. - Chociaż wypełniłaby wszystkie stoliki w swoim lokalu, gdyby podała to czekoladowe ciasto. Jest przepyszne.

- Zapakuję kawałek i zabierze go pani, gdy wrócimy z domu pogrzebowego - zaproponowała Grace. - Nie znoszę, jak jedzenie się marnuje.

- Ja również - zgodziła się panna Turner.

- Bratanica pani Tabor przyniosła półmisek przekąsek - rzekła do niej Grace, nie patrząc na Garona.

Gospodyni nic nie odpowiedziała, lecz jej spojrzenie było bardzo wymowne.

Garona zaskoczyła uwaga Grace. Nie rozmawiał z tamtą kobietą od czasu, gdy zjawiała się na jego podjeździe. Pomyślał, że powinien do niej zadzwonić w sprawie przyjęcia, na które go zaprosiła. Była całkiem ładna, a on ostatnio zbyt wiele czasu poświęcał pracy.

Nie powiedział tego głośno, lecz zmęczenie było aż nadto widoczne na jego twarzy. Dzisiejszy ranek spędził wraz ze swoim oddziałem specjalnym na przeglądaniu zdjęć miejsc zbrodni i nie potrafił pozbyć się z umysłu tych obrazów. Oglądanie ofiar zabójstwa nigdy nie jest przyjemne, lecz widok zamordowanych dziewczynek okazał się wyjątkowo szokujący.

- Dlaczego przez cały czas milczysz? - spytała, gdy Garon położył na swoim talerzyku kawałek szarlotki i wypił łyk kawy.

- Miałem ciężki dzień - odparł zwięźle. Grace przypomniała sobie w porę, że przecież pracuje nad sprawą zabójstw dzieci i pojęła powód jego milczenia. Zerknęła ze współczuciem na ściągnięte rysy jego twarzy.

- Naprawdę nie musisz jechać z nami do domu pogrzebowego - powiedziała.

Podniósł na nią wzrok.

- To dla mnie żaden kłopot.

- Będzie tam mnóstwo ludzi - ciągnęła, odwracając od niego oczy. - Mogą powstać jakieś plotki...

- Nie przejmuję się tym - rzucił nonszalancko. Spojrzał na zegarek. - Niedługo musimy ruszać.

Grace wstała.

- Sprzątnę ze stołu i schowam jedzenie do lodówki.

- Pomogę ci - zaofiarowała się panna Turner.

Grace przypuszczała, że wizyta w domu pogrzebowym będzie dla niej udręką, lecz na szczęście okazało się to mniej straszne, niż się obawiała. Pani Collier leżała ubrana w swoją ulubioną czerwoną suknię, w której chodziła zawsze do kościoła, i wyglądała bardzo spokojnie. W oczach dziewczyny zakręciły się łzy. Otarła je chusteczką.

Siwowłosy Bob Collier, kuzyn Grace, zjawił się na wózku inwalidzkim, pchanym przez opiekunkę Tinę. Była to kobieta w wieku panny Turner. Miała ciemne włosy i oczy i mówiła z silnym hiszpańskim akcentem. Zajmowała się troskliwie starszym panem i darzyła sympatią Grace.

Objęła dziewczynę serdecznie.

- Przyjedź czasem odwiedzić kuzyna, co? - powiedziała. - Czuje się taki samotny.

- Przyjadę - obiecała, po czym nachyliła się i uściskała Boba.

Starzec zachichotał.

- Dziewczyno, robisz się z każdym rokiem coraz ładniejsza. - Po chwili spoważniał. - Współczuję ci z powodu śmierci babki. Nie byłem z nią w najlepszych stosunkach, ale jednak należała do rodziny.

- Ja też tak zawsze myślałam.

- Kim jest ten mężczyzna w szarym garniturze? - spytał Bob, wskazując głową Garona.

- To mój najbliższy sąsiad. Bardzo mi pomógł, podobnie jak jego gospodyni, która stoi obok niego.

- Masz szczęście, że jest przy tobie ktoś bliski - stwierdził starzec. - Tina i ja mieszkamy na odludziu, wiele kilometrów od szosy.

- Przyrzekam, że będę cię częściej odwiedzała - rzekła łagodnym tonem. Trzymał obiema rękami jej dłoni.

- Miałaś ciężkie życie, prawda, dziewczyno? Należy ci się odrobina szczęścia. Może to szczęście stoi tam w szarym garniturze, co?

Grace zaczerwieniła się i roześmiała.

- To nie jest tak, jak myślisz. On jest stróżem prawa.

Bob uniósł brwi.

- Grace, czyżbyś popełniła jakieś przestępstwo? - zapytał z żartobliwym błyskiem w oczach.

Dziewczyna znowu się zaśmiała.

- Nie wiedziałabym nawet, jak się do tego zabrać.

Garon przyglądał się, jak rozmawiała ze starym człowiekiem na wózku inwalidzkim. Miała troskliwą, opiekuńczą naturę i to wprawiało go w zakłopotanie. Wiedział, że starszy pan jest ciekawy jego miejsca w życiu Grace. Był pewien, że dziewczyna powie kuzynowi prawdę. Nie zamierzał wiązać się z tą sąsiadką. Będzie musiał znaleźć jakiś sposób zerwania tej znajomości - ale nie dzisiaj. Grace potrzebuje teraz trochę wsparcia, by przetrwać ciężki okres.

Cash Grier, szef policji w Jacobsville, wszedł do domu pogrzebowego, przystanął przy Grace i przekazał jej wyrazy współczucia. Potem spostrzegł brata stojącego obok trumny i podszedł do niego.

- Sądziłem, że nie chadzasz na pogrzeby - rzucił. Garon wzruszył ramionami.

- Ona była całkiem sama. Panna Turner i ja zajęliśmy się nią.

- Aha - mruknął Cash.

Garon spojrzał na niego gniewnie.

- Nie interesują mnie źle ubrane dziewczyny.

Z twarzy Casha znikł uśmiech. Popatrzył na brata ciężkim wzrokiem.

- Ta uwaga była nie na miejscu. Grace nie ma tyle pieniędzy, żeby móc kupować sobie sukienki na każdą okazję.

Garon przestąpił z nogi na nogę i spojrzał z ociąganiem na Grace. Miała na sobie nieco zbyt obszerną czarną sukienkę, która nie dodawała jej wdzięku i wyglądała, jakby została kupiona w sklepie z używaną odzieżą.

- Chyba tę starą kobietę stać było na sprawienie wnuczce przynajmniej jednej porządnej sukienki - mruknął.

Cash zmarszczył brwi.

- Obawiam się, że nie wiesz, o czym mówisz - rzekł. - Pani Collier przepisywano dużo różnych lekarstw. Ona i Grace musiały wybierać pomiędzy wykupieniem recept a jedzeniem, nie wspominając już nawet o eleganckich strojach. Założę się, że ta czarna sukienka należała do babki. Dziś pierwszy raz widzę Grace w sukience.

- Chyba żartujesz - powiedział z niedowierzaniem Garon.

- Bynajmniej - odparł stanowczo brat. - Tutejsi starzy ludzie niekiedy rezygnują z pójścia do sklepu spożywczego, żeby móc wykupić leki. Opieka medyczna jest bardzo droga. Osoby żyjące z zasiłku nie mają wielkiego wyboru. Grace pracowała na dwóch niepełnych etatach, żeby pomóc babci zapłacić za lekarstwa. Jest biedna, ale dumna.

Garon odwrócił wzrok.

- Teraz, kiedy jej babka nie żyje, Grace może znaleźć dobrze płatną pracę albo wrócić do szkoły i dokończyć swoją edukację - stwierdził.

Cash przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, po czym powiedział:

- Nie wszystkie kobiety marzą o rozpoczęciu pracy w międzynarodowej korporacji.

Garon przyznał mu w duchu rację. Nie potrafił sobie wyobrazić Grace w urzędowym żakiecie, wydającej polecenia korpusowi podwładnych.

- Co cię gryzie? - spytał Cash, ponieważ ostatnio zaczął lepiej poznawać brata i wiedział, że zazwyczaj nie jest on małostkowy ani krytykancki.

Garon skrzywił usta w gorzkim grymasie.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie zamordowania dziesięcioletniej dziewczynki.

- Ach, tej! Nawet tutaj słyszeliśmy o sprawie. Okrutne, brutalne zabójstwo.

- Niezwykle brutalne. I wygląda na to, że nie jedyne - dodał Garon i zerknął szybko na brata. - Mówię ci to w zaufaniu.

- Naturalnie. Wpadliście na czyjś trop?

- Na to jeszcze za wcześnie.

- Bywają takie trudne sprawy - przyznał Cash.

Garon przyglądał się Grace rozmawiającej z mieszkańcami Jacobsville, którzy podchodzili złożyć jej kondolencje. Przyjmowała ich przyjaźnie, uprzejmie, serdecznie i wyrażała im wdzięczność.

Zachowywała się zupełnie naturalnie. Wiedział, że w istocie jest zgnębiona i przybita, lecz nie dawała tego po sobie poznać.

- Wiesz może, co stało się z jej matką? - zapytał Cash.

Brat pokręcił przecząco głową.

- Wiem jedynie, że zmarła przed laty, gdy Grace była jeszcze dzieckiem. Stara pani Collier miała przykry charakter, lecz była powszechnie szanowana. Jej ostatni mąż był tutaj zastępcą szeryfa - podobnie jak przez krótki czas ojciec Grace.

- Słyszałem o tym.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że pokazywanie się publicznie z Grace wzniesi plotki? - rzucił Cash.

- Ona też tak powiedziała - odparł Garon. - Te plotki ucichną, kiedy to wszystko się skończy.

- Nie spotykasz się obecnie z nikim, prawda? - zapytał Cash.

- Bratanica pani Tabor zaprosiła mnie na koktajl w przyszły piątek. Grace mówiła, że przyniosła jej dziś do domu przekąski na stypę.

Cash gwizdnął cicho.

- O co ci chodzi? - spytał Garon.

Brat rzucił mu wymowne spojrzenie.

- Bratanica pani Tabor nie cieszy się w miasteczku najlepszą opinią i nie jest zbyt lubiana.

- Z tego, co słyszałem, na to przyjęcie zaproszono wszystkie znaczniejsze rodziny - zaproponował Garon.

- I większość z nich odmówiła - przerwał mu Cash. - Między innymi Ballengerowie, Hartowie i Tremaynowie. A bez nich reszta też się tam nie zjawi.

- Co jej zarzucają?

- A poznałeś ją? - rzucił sucho Cash.

- Oczywiście. Przyjechała na ranczo, by osobiście zaprosić mnie na przyjęcie.

- I nie uderzyło cię w niej nic niezwykłego?

Garon zastanowił się przez chwilę.

- Jest dość bezczelna i wyzywająco się ubiera.

- Właśnie. Rozumiesz chyba, że takie zachowanie jest źle widziane w małej konserwatywnej mieścinie.

- Ona tu nie pasuje - rzekł Garon. - Ale ja również. Nienawidzę małomiasteczkowych intryg.

- A ja je wprost uwielbiam - oświadczył z uśmiechem Cash. - To pierwsza miejscowość, w której naprawdę się zadomowiłem.

- Zdaje się, że twojej żonie też się tutaj podoba.

Cash przytaknął.

- Od kiedy urodziło nam się dziecko, spotykamy się z jeszcze większą życzliwością - powiedział z rozmarzeniem. - Nigdy nie sądziłem, że zostanę w końcu przykładowym ojcem rodziny.

Garon cofnął się o krok.

- Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe - mruknął ponuro. - Ja oddaję się całkowicie pracy.

- Jeszcze niedawno też taki byłem - rzekł Cash. Do sali weszli państwo Coltrainowie z synkiem Joshua. Ojciec niósł go na rękach, mimo że chłopczyk wyglądał na jakieś dwa lata. Doktor Coltrain był wysoki i rudowłosy, a jego żona Lou była blondynką. Ich synek miał jasne włosy z rudawym odcieniem i przepadał za ojcem.

Oboje ruszyli prosto do Grace i uściskali ją serdecznie.

- Co łączy pannę Carver z Coltrainami? - spytał Garon z zaciekawieniem. - Doktor wyjątkowo się o nią troszczy, chociaż wydaje się zakochany w żonie.

- Coltrain darzy wyjątkowymi względami swych długoletnich pacjentów - wyjaśnił Cash.

- Słyszałem, że kiedy otworzył tu prywatną praktykę, Grace leczyła się u niego jako jedna z pierwszych pacjentek. Była wówczas jeszcze dzieckiem.

- Ach, tak.

- Czy zawsze musisz interpretować związki między ludźmi w najbardziej niekorzystny dla nich sposób? - zapytał z pretensją Cash.

- Pracuję w organach ścigania.

- Ja również - przypomniał mu Cash. - Ale staram się stosować wobec wszystkich zasadę domniemania niewinności.

- Owszem, pamiętam, że uczyniłeś tak wobec naszej macochy. Twarz Casha stężała, a w jego oczach zamigotały groźne błyski. Garon odetchnął głęboko.

- Do diabła, nie chciałem tego powiedzieć.

- Odwrócił wzrok. - Ta dziewczynka miała dziesięć lat. Sprawca ją zgwałcił, odbył stosunek analny i zadźgał nożem. Dziesięcioletnie dziecko!

Cash położył wielką dłoń na ramieniu brata.

- Posłuchaj, widziałem wiele makabrycznych zabójstw, gdy służyłem w wojsku i w policji, i wiem, co czujesz. Ale rozumiesz przecież, że nie możesz angażować się w to tak bardzo emocjonalnie.

Garon z wysiłkiem przełknął ślinę. Istniały w jego życiu sprawy, o których nigdy nie opowiedział swoim bliskim. Przez wiele lat mieszkał z dala od rodziny na wschodnim wybrzeżu Stanów i wówczas prawie całkowicie stracił z nią kontakt. Zachowywał dla siebie sekrety, które nawet jeszcze teraz były zbyt bolesne, by mógł je komukolwiek wyjawić. Dlatego śmierć tego dziecka oddziaływała na niego nieoczekiwanie silnie i nie potrafił sobie z tym poradzić.

- Nigdy dotąd nie prowadziłem śledztwa w sprawie zamordowania dziecka - rzekł krótko.

- Ratowałem zakładników, zwalczałem terrorystów, a nawet tropiłem seryjnego zabójcę. Ale nigdy nie miałem do czynienia ze zbrodnią, której ofiarą jest dziecko dosłownie poćwiartowane na kawałki. Nie jestem na to przygotowany.

- Nikt nie jest na coś takiego przygotowany - odparł Cash. - Będąc w wojsku, musiałem w dżungli przez wiele lat walczyć między innymi przeciwko dzieciom.

Garon spojrzał na niego.

- Dzieciom strzelającym z kałasznikowów, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Owszem - rzekł Cash. - Lecz przez to nie było mi wcale łatwiej pociągać za cyngiel.

- Tam przynajmniej sytuacja była prosta i jasna. Natomiast ta sprawa jest pogmatwana i odrażająca - rzucił szorstko Garon. - Napawa mnie wstrętem fakt, że jakikolwiek człowiek mógł zrobić coś takiego małej dziewczynce.

- Więc go schwytaj i postaraj się, żeby trafił do celi śmierci.

Garon zerknął na brata i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Jesteś optymistą. Na razie nie mamy jeszcze nawet podejrzanego.

- Zapewniam cię, że jeżeli zaczniesz rozpytywać ludzi, prędzej czy później okaże się, że ktoś go widział.

Garon skinął głową, wpatrując się z roztargnieniem w Grace.

- Dziękuję ci za wsparcie - rzucił szorstko.

- A od czego ma się braci - zachichotał Cash.

Czuwanie przy zwłokach trwało zaledwie dwie godziny, lecz gdy się skończyło, Grace była wyczerpana fizycznie i psychicznie. Bez słowa wsiadła do samochodu z Garonem i panną Turner.

Weszła z nim do swojego domu, żeby zapakować dla niego ciasto i trochę jedzenia, podczas gdy gospodyni czekała w aucie.

- Naprawdę jestem wam obojgu wdzięczna za to, że towarzyszyliście mi dzisiejszego wieczoru - powiedziała przygnębionym tonem. - Nie zda-
wałam sobie sprawy, że będę się czuła taka samotna.

- Samotna? - powtórzył, przyglądając się, jak wkłada wiktuały do
szczelnie zamykanych plastikowych pojemników. - Przecież przyszedł tam
tłum ludzi.

Odwróciła się i wpatrzyła w niego.

- W tłumie też można być samotnym.

- Zapewne. Zostaw trochę jedzenia dla siebie - dodał.

- Zostanie mi jeszcze mnóstwo. To, czego nie zjem od razu, włożę do
zamrażalnika.

- Nie rozpakowuj tego ciasta z jabłkami - powstrzymał ją.

- Ale przecież lubisz szarlotkę - rzekła skonsternowana.

- Lubię twoją szarlotkę - poprawił ją. Zaczerwieniła się i roześmiała nerwowo.

- Och! Dziękuję. To miłe, że tak mówisz.

- Widzę, że komplementy wprawiają cię w zakłopotanie - zauważył.

- Nie jestem do nich przyzwyczajona - odparła, wzruszając ramionami.

A powinna być, pomyślał, przyglądając się jej. Słyszał, że jest świetną kucharką i zawsze chętnie wysłuchuje innych. Tak niewielu ludzi potrafi naprawdę słuchać.

Włożyła pojemniki do dużej plastikowej torby i podała mu ją.

- Raz jeszcze dziękuję - rzekła nieśmiało.

- To ja ci dziękuję za jedzenie - odparł. Zawahał się. - O której jest jutro pogrzeb?

- O jedenastej - powiedziała. - Ale naprawdę nie czuj się zobowiązany do...

- Niestety, nie będę mógł przyjść - przerwał jej.

- O tej porze muszę wziąć udział w przesłuchaniu sąsiadów tej zamordowanej dziewczynki. Przykro mi.

- I tak już zrobiłeś dla mnie ogromnie dużo...

- Pójdzie z tobą panna Turner - dodał i uniesieniem dłoni powstrzymał sprzeciw Grace. - Ona sama się zaofiarowała.

- A więc dobrze. Podziękuj jej ode mnie. Skinął głową.

- Przyjedzie po ciebie kilka minut po dziesiątej.

- Dobrze.

Wyglądała na smutną, samotną i zagubioną. Pod wpływem nagłego impulsu Garon wyciągnął rękę i dotknął pasma jej włosów, które

wymknęło się z koka. Grace wstrzymała oddech i odruchowo cofnęła się o krok.

W jego ciemnych oczach błysnęła irytacja.

- A więc dobranoc - rzucił szorstko, wziął torbę i odwrócił się do wyjścia.

Grace przygryzła wargę niemal do bólu. Wiedziała, że Garon chciał być po prostu miły, lecz nie potrafiła zapanować nad swoją reakcją.

Zatrzymał się w drzwiach.

- Dobrze je zamknij - powiedział. - Nawet w tej spokojnej wiejskiej okolicy zdarzają się niebezpieczni ludzie.

- Zamknę - zapewniła.

Była sztywna i nieruchoma jak posąg. Cała jej postawa wyrażała rezerwę i lęk. Odwrócił się i ruszył ku niej. Spostrzegł, że stała się jeszcze bardziej spięta, a w jej szarych oczach zamigotał strach. Popatrzył na nią gniewnie.

- Dlaczego się mnie boisz? - spytał niezwykle łagodnym tonem.

Milczała. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Skrzywiła się tylko, unikając jego przenikliwego spojrzenia. Zbyt wiele potrafił w niej dostrzec.

- Mniejsza z tym - powiedział, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Nie interesuję się tobą w tym sensie - dodał po krótkiej pauzie z nikłym chłodnym uśmiechem. - Dobranoc.

Zbiegł beztrąsko po schodkach, jakby już zapomniał o jej istnieniu. Grace wiedziała, że porównuje ją w myślach z wyzywającą bratanicą pani Tabor, i to doprowadziło ją do furii. Zapragnęła nagle być dojrzałą, piękną kobietą, która doprowadziłaby go do szaleństwa i sprawiła, by zapomniał o

tamtej awanturnicy. Lecz były to płonne nadzieje. Jej ubiór wyrażał jej naturę. Żyła w więzieniu aseksualności i wiedziała, że nigdy się z niego nie wydostanie - pomimo coraz silniejszych emocji, jakie odczuwała na widok swego przystojnego sąsiada.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pogrzeb był krótki i uczestniczyło w nim tylko parę osób. Grace zapłakała nad grobem babki, a potem wytarła oczy. Musiała nauczyć się radzić sobie sama, żyć i pracować samotnie, bez nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Wiedziała, że z początku będzie jej ciężko. Zaskoczyło ją, że Garon jednak zdążył zjawić się na pogrzebie. Stał na uboczu i spoglądał z dziwnie ponurą miną na jednego z uczestników ceremonii.

Gdy pastor złożył Grace kondolencje, wstała, odwróciła się i omal nie wpadła na Richarda Marqueza, stojącego obok Barbary.

- Dziękuję wam obojgu, że przyszliście - rzekła do nich z uśmiechem. - Nie spodziewałam się was.

Barbara objęła ją serdecznie.

- Oczywiście, że przyszliśmy. Jesteśmy przecież wszyscy jedną rodziną.

Marquez przytaknął z uśmiechem. Garon zauważył, że nie zrobił żadnego ruchu, by dotknąć Grace czy choćby podejść do niej bliżej. Zastanowił się, dlaczego ten policjant się tu zjawił i co łączy go z zagadkową sąsiadką. Podczas zebrania oddziału specjalnego nie wspomniał Garonowi o zamiarze przybycia na pogrzeb pani Collier.

Grace popatrzyła z lekkim zakłopotaniem na Garona, który przyłączył się do ich niewielkiej grupki razem z panną Turner.

- Nie wiedziałem, że pan tu będzie - zwrócił się do niego Marquez, ściskając mu dłoń na powitanie.

- Czy znał pan panią Collier?

- Garon i panna Turner okazali mi wiele uprzejmości i opiekowali się mną przez ostatnich kilka dni - wyjaśniła Grace, nie patrząc na Garona.

Marquez wydawał się zdziwiony, ale nie wypytywał dalej.

- Muszę już wracać do pracy - powiedział do Grace. - Mama pragnęła przyjść, a ja nie chciałem puścić jej samej.

- Histeryk - Barbara złążała łagodnie syna.

- Zobaczysz, że jeszcze cię przeżyję.

- Na razie - rzucił Marquez do Garona. Skinął głową na matkę, która uśmiechnęła się zagadkowo i wyszła za nim z cmentarza.

- Nie wiedziałem, że znasz Marqueza - rzekł Garon do Grace, gdy wracali do samochodów.

Panna Turner przyjechała razem z Grace i poszła przodem, żeby poczekać na nią w fordzie.

- Dorastaliśmy razem - wyjaśniła. - Choć jest starszy ode mnie o sześć lat - dodała po chwili.

Garon nie skomentował tego, ale poczuł zaciekawienie.

Po powrocie do domu Grace zabrała się do sprzątnięcia pokoju babki. Chciała w ten sposób oderwać się od ponurych myśli, lecz było to smutne zajęcie. W szafie z ubraniami stara pani Collier trzymała kilka sukienek matki Grace, a także fotografie swoich rodziców i obojga dziadków. Grace usiadła w fotelu babki i pochlipując, przeglądała album ze zdjęciami. Wiedziała, że śmierć jest nieodłączną częścią życia i każdy prędzej czy później musi stawić jej czoło, lecz nie była na to przygotowana. Chociaż stara kobieta traktowała ją opryskliwie, bez niej czuła się okropnie samotna.

Nazajutrz Grace nie musiała iść rano do pracy, więc mogła spać długo. Musiała odespać, gdyż tuż przed świtem obudził ją ten sam powracający koszmar. Usiadła w łóżku, łkając rozpaczliwie, i przypomniała sobie silne dłonie Garona, który podniósł ją za ramiona tamtej nocy, gdy dostała ataku lęku. Pociągał ją, lecz zarazem czuła irracjonalny strach przed zbyt bliskim kontaktem z mężczyznami. Ubolewała nad tym, że nie potrafi się wyzwolić ze swych tragicznych wspomnień. Garon wydawał się przecież człowiekiem przyzwoitym i uprzejmym.

Zjadła lekki lunch, a popołudnie spędziła, pracując ciężko nad swym projektem w szwalni używanej dotąd przez babkę. Była zadowolona z postępów tej pracy i miała nadzieję, że jeśli jej się poszczęści, może pewnego dnia zyska dzięki temu dodatkowe źródło dochodów.

Dzień był zimny i wiał porywisty wiatr. Powoli zapadł zmierzch, a jej stary kocur Wilbur wciąż jeszcze nie zjawił się na wieczorny posiłek.

Wyszła na podwórze, żeby go poszukać. Powiew wiatru przyniósł odległy pisk. Początkowo nie uświadomiła sobie jego pochodzenia i dopiero gdy się nasilił, rozpoznała głos Wilbura.

Odwróciła się i pobiegła w kierunku, skąd dochodził, na tyły domu, jednocześnie wołając kota na cały głos.

Wilbur znowu wrzasnął. Grace przyspieszyła. Przystanęła na chwilę, żeby złapać oddech, a potem pognała jeszcze prędzej. Gdy dotarła na skraj zaoranego pola, spostrzegła kota oraz doganiający go jakiś rudawobrazowy kształt.

Odruchowo podniosła ułamaną gałąź drzewa hikorowego.

- Wilbur! - krzyknęła.

Stary kocur zawrócił całkiem szybko jak na swój wiek i popędził ku niej. Gdy znalazł się bliżej, zdała sobie sprawę, że ściga go kojot. Mocniej chwyciła gałąź. Nie pozwoli, by kojot zrobił krzywdę Wilburowi!

Nie zważając na niebezpieczeństwo, ruszyła w kierunku kojota i rąbnęła go gałęzią w łeb. Zwierzę zaskowyczało i zatrzymało się gwałtownie, a potem spojrzało na nią, przywarowało i warknęło groźnie.

- Wynoś się! Ja ci dam krzywdzić mojego kota! - zawołała i znów zamierzyła się gałęzią.

Tym razem trafiła kojota w zad. Zawył. Była zbyt rozjuszona, aby odczuwać strach. Ruszyła na niego, wrzeszcząc i wymachując swoją prowizoryczną bronią. Wciąż warczał, ale zaczął się wycofywać.

- Bydlak! - krzyknęła.

Kojot wzdrygnął się, raz jeszcze popatrzył na nią wściekle i odbiegł truchtem w pole.

Grace wsparła się na gałęzi. Czowała pulsujący ból w kostce. Ścigając napastnika, biegła przez gęste krzaki i wprawdzie się nie przewróciła, ale potknęła i widocznie źle stanęła. Teraz schyliła się, obmacała kostkę i jęknęła z bólu.

- Wilbur! - zawołała.

Stary kot przytruchtał do niej beztrosko, jakby nic się nie stało, i zaczął radośnie ocierać się o jej nogi, mruczając z zadowolenia.

- Ty paskudo - zbeształa go. - Spójrz, co sobie przez ciebie zrobiłam.

Kocur zamruczał głośniej.

Chciała się odwrócić, lecz upadła ciężko na ziemię. Siedziała, trzymając się za kostkę, a kot ocierał się o nią szaleńczo. Nie mogła wstać. Wspaniałe zakończenie dnia, pomyślała żałośnie. Jeśli nie zdoła dowiec

się jakoś do werandy, prawdopodobnie będzie musiała spędzić noc na dworze. Dobrze, że przynajmniej kojot uciekł...

- Grace!

Zmarszczyła brwi. Wydało jej się, że rozpoznała głęboki głos Garona. Ale przecież nie mógł jej usłyszeć ze swojego domu.

- Tutaj jestem! - zawołała.

Obszedł budynek. Wciąż jeszcze miał na sobie ubranie, w którym jeździł do pracy.

- Co tu się stało, u licha? - zapytał.

- Kojot ścigał Wilbura. Odpędziłam go, ale przy okazji skręciłam kostkę - odparła i parsknęła krótkim śmiechem.

- Byłem na ganku i usłyszałem twój krzyk. Myślałem, że ktoś cię napadł - mruknął, pochylając się nad nią. - Zaniosę cię do domu!

Zamarła i zeszywniała z szeroko otwartymi oczami, a potem odsunęła się, ściskając sweter przy piersi.

Garon zaklął siarczyście i wyprostował się gwałtownie.

- Do diabła, co się z tobą dzieje? - rzucił.

Łzy stanęły jej w oczach. Nienawidziła siebie za to, w jaki sposób reaguje na niego. On przecież nie chciał jej skrzywdzić, tylko próbował pomóc. Jednak nie mogła znieść męskiego dotyku. Jak ma mu to wytłumaczyć?

- Nie... lubię, gdy mnie... ktoś dotyka- wyszeptała zakłopotana, nie patrząc na niego.

Garon miał za sobą ciężki, frustrujący dzień i był w podłym nastroju. Miał ochotę odejść i zostawić Grace na łasce losu. Przypomniawszy sobie jednak koszmar, który przyśnił się Grace w jego domu, jej workowate

ubrania, brak makijażu i skrepowanie w towarzystwie mężczyzn. Pracował w organach ścigania dostatecznie długo, by rozpoznać te symptomy. Nagle doznał olśnienia. Spadło na niego niczym cios pięści. Uklęknął przy niej.

- Grace - powiedział łagodnie. - Przyrzekam, że cię nie skrzywdzę.

Ale nie dasz rady sama iść, a nie możesz zostać tu przez całą noc.

Wciąż kurczowo ścisnęła sweter przy piersi, ale zauważyła, że Garon przemawia spokojnym, opanowanym tonem i nie wygląda już na rozgniewanego. Nie budził w niej przerażenia. Zaciśnęła usta.

- Nie... bierz tego do siebie - wydusiła.

- Naturalnie. Chodźmy.

Wyciągnął rękę, a gdy ją chwyciła, pomógł jej wstać. Grace spodziewała się, że po prostu wesprze ją w drodze na ganek, ale on nagle pochylił się, wziął ją na ręce i poniosł w kierunku domu. Pisnęła cicho ze strachu i zeszywniała. Garon przystanął i zajął jej w oczy.

- Nie lubisz być noszoną - mruknął. - To cię przeraża.

Przełknęła z wysiłkiem ślinę. Jej oczy były przepełnione cierpieniem. Garon nic nie wiedział, a ona nie potrafiła mu powiedzieć. Odetchnęła głęboko, potem jeszcze raz. On jej nie skrzywdzi, jest miły i uprzejmy.

Starła się uspokoić i objęła go za szyję zlodowaciałymi rękami.

- Prze... przepraszam - wyjąkała. Zastanawiał się, co takiego okropnego mogło ją w przeszłości spotkać, że w obecności mężczyzn jest taka nerwowa i płochliwa. Ktoś ją napadł? Zgwałcił? Żałował, że nie zna jej na tyle blisko, by móc o to zapytać.

- Porwałaś się z gałęzią na kojota? - wymamrotał, niosąc ją do domu.

- Opowiedz mi, jak to się stało.

- On chciał zrobić krzywdę Wilburowi - wyjaśniła.
- Rozumiem - rzekł z uśmiechem.
- To tylko bezbronny stary kot - dodała.
- Nie musisz się tłumaczyć. Sam miałem kiedyś kota.
- I co się z nim stało?

Nie lubił wracać do tego wspomnienia.

- Musiałem go oddać. Przeniesiono mnie do innego miasta, a w nowym mieszkaniu nie wolno było trzymać zwierząt.

- To smutne.

- Oddałem go małej dziewczynce, córce sąsiadów, która uwielbiała koty.

Grace pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o Garonie, poznać jego przeszłość. Jednak wyczuła, że podobnie jak ona, ten mężczyzna nie lubi mówić o sobie.

Zauważyła też inne rzeczy. Wyczuła, że Garon przyjemnie pachnie męską wodą po goleniu i mydłem. Jest schludnym mężczyzną. Jego koszule były zawsze wykrochmalone i uprasowane, a buty wypastowane na wysoki połysk. Miał oliwkową opaleniznę, czarne oczy o zagadkowym wyrazie, wysokie kości policzkowe i zmysłowe usta.

To spostrzeżenie wprowadziło ją w zmieszanie. Nigdy dotąd nie myślała o niczyich ustach jako o zmysłowych. Poza tym doznawała osobliwych uczuć, gdyż niósł ją tak, że jej pierś oparła się na jego muskularnym torsie. Serce Grace zabiło mocno i zaczęła szybciej oddychać.

Wyczuł tę reakcję i ogarnęło go dziwaczne poczucie dumy. Bała się mężczyzn, lecz jemu najwyraźniej nie potrafiła się oprzeć.

Wniósł ją do domu i posadził w głębokim fotelu.

- Masz jakiś bandaż elastyczny? Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- A po co?

- Dobre pytanie - rzekł i przyjrzał jej się spokojnym wzrokiem. -

Myślę, że poradzimy sobie z pomocą gazy i taśmy klejącej.

- Tego zazwyczaj nie stosuje się do ran - powiedziała. - Mam w domu plaster z opatrunkiem.

Wydał usta w zamyśleniu.

- W takim razie użyjemy starych rajstop.

- Ja nie noszę...

Przerwał jej uniesieniem ręki.

- Proszę, nie kończ. Krępuje mnie rozmawianie o damskiej bieliźnie.

Z początku wzięła to serio, a potem spostrzegła w jego ciemnych oczach żartobliwy błysk i wybuchnęła śmiechem.

Jej twarz się rozjaśniła, co uwydatniło piękno nieskazitelnej cery i ładny zarys ust. Garon zdał sobie sprawę, że wpatruje się w nią bezradnie. Włosy miała związane wysoko w koński ogon. Zapragnął rozpuścić je i przekonać się, czy są w dotyku tak miękkie i jedwabiste, jak na to wyglądają.

- No cóż, wobec tego będę musiał zabrać cię do siebie - stwierdził. - Jestem pewien, że panna Turner znajdzie coś odpowiedniego do przewiązania twojej kostki.

- Przecież dopiero się od ciebie wyprowadziłam - przypomniała mu.

- Poza tym trzeba nakarmić Wilbura.

Garon wzruszył ramionami.

- Ja to zrobię.

- Myślę, że mogłabym zostawić go w domu - zaczęła z namysłem. -
Przed kilkoma dniami kupiłam kuwetę i...

Garon zostawił ją w środku zdania, by zająć się starym kocurem, który natychmiast po otwarciu drzwi wszedł do środka, a teraz pobiegł do kuchni.

Garon pomógł Grace wsiąść do swojego samochodu, a potem nachylił się, żeby zapiąć jej pas bezpieczeństwa. Zauważył, że gdy znalazł się blisko niej, jej oddech przyśpieszył, a oczy zalśniły. Było to niczym blask błyskawicy. Wpatrywał się zwięzonymi oczami w jej pełne usta, dopóki nie usłyszał urywanego westchnienia.

Zmusił się, żeby się wyprostować. Zatrzasnął drzwi od strony pasażera i obszedł samochód, powtarzając w myśli tabliczkę mnożenia, żeby się opanować. Usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Pomyślał, że naprawdę musiał za długo żyć w celibacie, skoro podnieciła go ta niegustownie ubrana dziewczyna.

Zajechał pod swój dom, zaniósł Grace do drzwi, nacisnął dzwonek i zaczekał, aż panna Turner otworzy. Spojrzał w twarz Grace i mimo woli przyciągnął ją mocniej do siebie. Przeszył ją dreszcz, gdy ujrzała w jego oczach nieskrywane zainteresowanie, i objęła go za szyję.

Poczuła, że jego klatka piersiowa wznosi się i opada szybko. Zacisnął szczęki. Popatrzył na jej usta i przez jedną szaloną chwilę zapragnął przycisnąć do nich swoje wargi, smakować ich słodycz.

Grace nie wiedziała zbyt wiele o mężczyznach, ale nawet pomimo swej niewinności wyczuła żar i zmysłowość tego spojrzenia, a jej ciało zareagowało na nie.

- Nie igraj z ogniem, mała dziewczynko - wyszeptał szorstko.

Namiętny ton w jego głębokim aksamitnym głosie przeniknął ją na wskroś. Mocniej objęła go ramionami za szyję. W istocie niemal przywarła do niego na kilka oszłamiających sekund i dopiero na odgłos otwieranych drzwi oderwali się szybko od siebie.

- Na miłość boską, co się stało?! - zawołała gospodyni, ujrawszy Grace na rękach Garona.

- Potknęła się, goniąc kojota - mruknął, wchodząc do środka. - Potrzebny mi bandaż elastyczny.

- Zaraz przyniosę. Trzymam go na wszelki wypadek - wymamrotała i wycofała się, gdy skierował się do salonu. - Ktoś zawsze może skreć sobie nogę. Goniła kojota?! - powtórzyła z niedowierzaniem.

- On chciał pożreć mojego kota - wyjaśniła Grace.

- Nawet by go nie ruszył - droczył się Garon, kładąc ją pospiesznie na sofie. - Twój kot wygląda jak nieboskie stworzenie i śmierdzi.

- Wcale nie! - zawołała.

- Daję ci słowo, że żadne zdrowe na umyśle stworzenie nawet nie próbowałoby go zjeść - zapewnił ją.

Wsadził ręce do kieszeni i zdezorientowany wpatrywał się w Grace. Miała na sobie workowate dzinsy i ciągle tę samą różową sportową bluzę. Ciekawe, jak by wyglądała w jedwabiach i czarnych koronkach? Zamrugał gwałtownie, zastanawiając się, skąd u niego te dziwaczne myśli.

Panna Turner wróciła po chwili z bandażem i podała go Garonowi.

- Zamierza pan usztywnić jej kostkę i odwieźć z powrotem do jej domu, czy Grace zostanie u nas?

Garon ukląkł przy nogach Grace i rozwinął elastyczny bandaż.

Popatrzył na nią z żarliwym pożądaniem. Nie pojmował swoich uczuć, ale nie potrafił ich zwalczyć.

- Zostanie - mruknął, opierając stopę Grace o swoje udo. -

Przynajmniej na kilka dni.

- Ale moja praca... - zaprotestowała.

- Zadzwoń za ciebie do kwiaciarni - zaofiarowała się uszczęśliwiona panna Turner.

- Nie możesz pracować, skoro nie możesz chodzić - poparł ją Garon.

- Myślę, że kilka dni leżenia wystarczy, żebyś doszła do siebie.

Odpoczynek, okłady z lodu, kompresy i trzymanie nogi w górze - dodał z uśmiechem. - Dobrze się tobą zaopiekujemy.

Grace nie miała wcale ochoty się sprzeciwiać. Pragnęła być w pobliżu Garona. Wiedziała, że nie ma u niego żadnych szans, lecz nie potrafiła zapanować nad tym przemożnym impulsem.

- Zgoda - odparła.

Garon uśmiechnął się do siebie. Najlepiej pozwolić, żeby żar sam się wypalił, pomyślał.

Nazajutrz pojechał do pracy i zostawił Grace, która siedziała w łóżku oparta o poduszki, ze stosem tygodników do czytania, mając do towarzystwa pannę Turner. Opuchlizna na kostce zmniejszyła się wyraźnie dzięki okładom z lodu i oszczędzaniu nogi.

- Czuję się znacznie lepiej - oznajmiła Grace gospodyni.

- Jeszcze parę dni i będziesz mogła chodzić - odparła panna Turner i uśmiechnęła się. - Zyskujesz sympatię mojego chlebodawcy - dodała z

cichym chichotem. - Jeszcze tydzień temu w tej sytuacji kazałby Coltrainowi, żeby przyjął cię do szpitala.

- Garon po prostu mnie lubi - odparła, nie chcąc wzbudzać w sobie próżnych nadziei. - Kiedy bratanica pani Tabor przyniosła jedzenie do domu pogrzebowego, powiedziała mi, że martwiła się, czy nie jestem dla niej czymś w rodzaju rywalki - dopóki mnie nie zlustrowała. Zachowała się bardzo arogancko.

- Powinnaś powiedzieć o tym Garonowi.

- Nie, nie mogłam - odrzekła Grace. - Widocznie coś ich łączy, albo tak mi się wydaje.

- Zaprosiła go tylko na przyjęcie - wyjaśniła panna Turner. - Ona może go intrygować, ale nie jest odpowiednią towarzyszką dla mężczyzny o jego pozycji. Ludzie pracujący w organach ścigania bywają zazwyczaj skrajnie konserwatywni. W całym miasteczku krążą o niej plotki - i to bardzo niepochlebne. Ta kobieta jest nimfomanką i nie waha się flirtować nawet z żonatymi mężczyznami.

- Jak to?

- Podobno próbowała poderwać Leo Harta. Tess poszła prosto do jej gabinetu w biurze Andy'ego Webba i powiedziała, że wysmaruje ją smołą i wytarza w pierzu, jeżeli kiedykolwiek jeszcze zaczepi jej męża. Andy do dziś śmieje się z tej sceny.

- Co na to odpowiedziała?

- Nie miała nic do powiedzenia. Tess była wściekła i wcale tego nie ukrywała. Wprawdzie bratanica pani Tabor nie poczuła się zakłopotana, ale Calhoun Ballenger, który przechodził właśnie wtedy obok jej gabinetu, popatrzył na nią tak groźnie, że szybciotko zeszła Tess z drogi.

Grace nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Kiedy rudowłosa Tess wpadała w gniew, była groźna niczym tygrysyca.

Garon i Marquez pojechali na peryferie miasta, aby między innymi przesłuchać świadka, który twierdził, że pewnej nocy widział niewyraźną sylwetkę człowieka, wynoszącego dziewczynkę z jej domu. Garon wziął notebook, taki, jaki miał Marquez, aby robić notatki.

- Nie mógłbym przysiąc - oświadczył im świadek o nazwisku Sheldon, mieszkający w sąsiednim domu - ale wydał mi się podobny do włóczęgi, którego widziałem w mieście obok sklepu komputerowego. Piszę programy komputerowe - dorzucił. - Ten facet był w średnim wieku, wysoki i chudy, miał łysinę na czubku głowy. Był brudny i obszarpany, utykał.

- Czy widział pan dziecko? - zapytał Garon. Sheldon wzruszył ramionami.

- On coś niósł. Wydaje mi się, że to mógł być tobolek ubrań. Było późno, ale jeszcze nie spałem. Poszedłem do kuchni napić się wody i wtedy zobaczyłem go przez okno. Dopiero rano usłyszałem o zaginięciu tej dziewczynki i natychmiast zadzwoniłem na policję.

- Tak, mamy to w raporcie policjanta z patrolu - potwierdził Marquez. Zmierzył mężczyznę długim badawczym spojrzeniem i zauważył na jego dłoniach rękawiczki. - Dlaczego nosi pan rękawiczki w mieszkaniu? - spytał.

- Kiedy byłem dzieckiem, miałem wypadek, po którym na rękach zostały mi blizny - odparł Sheldon i jego oczy nabrały zimnego wyrazu. - Ludzie się na nie gapią.

- Przepraszam - rzucił detektyw.

- Może pan w nich pisać na klawiaturze komputera? - zapytał Garon, spostrzegłszy niezwykle blade nadgarstki mężczyzny nad rękawiczkami.

- Tak, są z bardzo cienkiej koźlęcej skóry.

- No cóż, to wszystko. Dziękujemy panu - powiedział Garon.

- Nie ma za co - odparł Sheldon, wstając z krzesła.

Był wysoki i dość nieśmiały. Miał dwa wysokiej klasy komputery - stacjonarny oraz drogi laptop. Powiedział, że ma przyjaciółkę, ale mieszka sam na niewielkim osiedlu na przedmieściach San Antonio.

- Od jak dawna pan tu mieszka? - zapytał Marquez.

- Około roku - odpowiedział mężczyzna z uprzejmym uśmiechem. - Nie potrafię nigdzie długo zagrzać miejsca. Zaczynam się nudzić. Poza tym mogę pracować gdziekolwiek. W gruncie rzeczy muszę mieć tylko niedaleko urząd pocztowy.

- Cóż, raz jeszcze dziękujemy. Jeśli przypomni się panu coś jeszcze, proszę do nas zadzwonić - powiedział Marquez, podając mu wizytówkę. Mężczyzna popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- Jasne, zadzwonię - zapewnił i uśmiechnął się dziwnie. - Jak idzie śledztwo? Macie jakieś poszlaki?

- Mieliśmy nadzieję, że pan nam ich dostarczy - odparł Marquez.

- Właśnie widzę, że sami sobie nie radzicie i trzeba wam pomóc odnaleźć tego gościa - stwierdził Sheldon. - Żeby trafić do policji, nie trzeba szczególnego wykształcenia, prawda? Mnie zaproszono, żebym wstąpił do Mensy.

Mensa była stowarzyszeniem skupiającym ludzi o bardzo wysokim IQ. Garon popatrzył przeciągle na Sheldona.

- Naprawdę? - rzucił.

- Słuchaj pan - odezwał się Marquez - ja ukończyłem tylko dwie klasy college'u, ale ten agent federalny... - wskazał na swego towarzysza - ma stopień naukowy.

Mężczyzna wpatrzył się nieruchomym wzrokiem w Garona, który poczuł zakłopotanie, i powtórzył:

- Agent federalny?

- Pewnie - potwierdził Marquez. - Jest z FBI.

- N... nie wiedziałem, że wciągnięto do tej sprawy Federalne Biuro Śledcze - wyjąkał Sheldon.

- Poprosiliśmy ich o pomoc - odrzekł Marquez, ale nie wyjaśnił, z jakiego powodu.

Sheldon wyglądał teraz na znacznie mniej pewnego siebie.

- No tak, oczywiście, FBI ma specjalistów od seryjnych zabójstw - wymamrotał pod nosem - i ktoś taki z pewnością wam się przyda.

Garon zmarszczył brwi.

- Dlaczego pan sądzi, że sprawcą jest seryjny morderca?

Mężczyzna roześmiał się głośno.

- Bez żadnego konkretnego powodu. Przypomniałem sobie po prostu, że w zeszłym roku gazety pisały o bardzo podobnej sprawie. To wydarzyło się gdzieś w Teksasie i ofiarą też była mała dziewczynka. Dwa zabójstwa tworzą już serię, prawda?

Garon wpatrzył się w niego.

- Na razie nie chcemy tak tego nazywać.

Sheldon, cały w uśmiechach, odprowadził ich do drzwi.

- Jeżeli będę jeszcze mógł w czymś pomóc, wystarczy zadzwonić i poprosić.

Obydwaj śledczy wyszli i ruszyli powoli do służbowego samochodu Garona, którym tu przybyli. Sheldon stał w drzwiach i przyglądał się im, a kiedy odjeżdżali, pomachał.

- Nie podoba mi się ten facet - rzucił nagle Marquez.

- Dlaczego?

Detektyw poruszył się w fotelu pasażera i poprawił pas bezpieczeństwa.

- Nie wiem. Coś z nim jest nie w porządku. Garon popatrzył na towarzysza z zaciekawieniem.

- Jak długo pracujesz w wydziale zabójstw?

- Cztery lata. A czemu pytasz?

Garon uśmiechnął się do siebie.

- I kiedy wychodzisz wyrzucić kubek ze śmieciami, bierzesz ze sobą broń.

Marquez zrobił wielkie oczy.

- Do diabła, skąd wiesz?

- Jeden rewolwer trzymasz przy łóżku, drugi w łazience, trzeci w kuchni, a zapasowy nosisz w kaburze na nodze.

- Kogo ty właściwie śledzisz?

- Wiesz, że mam rację.

Marquez odchrząknął.

- Nie dam się wziąć z zaskoczenia - oświadczył stanowczym tonem.

- Powinieneś na pewien czas przejść do innego wydziału - stwierdził Garon. - Widok zbyt wielu zabójstw cię wykończy.

- A ty skąd to wiesz?

- W FBI byłem członkiem zespołu ratującego zakładników, a potem należałem do brygady antyterrorystycznej. Chciałem być ciągle w ruchu, żeby zapomnieć o swoich kłopotach. Ale widziałem zbyt wiele trupów. Pewnej nocy obudziłem się i ujrzałem jedną ze śmiertelnych ofiar, siedzącą przy moim łóżku. Zapytała mnie, dlaczego nie strzeliłem wcześniej niż porywacz. Ona była zakładniczką. - Garon wzruszył ramionami. - Nie należy zbyt długo pracować w wydziale zabójstw. Marquez zaśmiał się.

- Chyba masz rację.

- Ale nie prosz o przeniesienie, dopóki nie rozwiążemy tej sprawy - dodał Garon. - Podzielał twój pogląd, że te morderstwa są ze sobą powiązane. Zabójca jest bardzo sprytny. Zostawił ciało ofiary na polu niedaleko szosy, gdzie łatwo je było znaleźć. Chciał, żeby je odnaleziono. Jeżeli wasz koroner się nie myli, dziewczynkę przez pewien czas torturowano. To oznacza, że zabójca dysponuje jakąś bezpieczną kryjówką, gdzie mógł ją trzymać związana, nie obawiając się, że zostanie odkryty. A także, że jest pewny siebie i uważa się za bystrzejszego od nas.

- Czy kiedykolwiek sporządzałeś psychologiczny profil przestępcy?
Garon potrząsnął głową.

- Nie. Mamy od tego fachowców. Ale przeczytałem raport z miejsca zbrodni i rozmawiałem z rodzicami dziewczynki. W przeszłości tropiłem już seryjnych zabójców. Ten facet to sadystyczny morderca. Lubi krzywdzić dzieci i rajcuje go zadawanie im bólu.

- Twoim zdaniem działa planowo czy zdaje się na przypadek?

- Niewątpliwie planowo - odparł Garon, zatrzymując się na czerwonym świetle. - Znalazł czas, żeby ubrać dziewczynkę, a nawet

włożyć jej skarpetki i buty. Ułożył ją w pozycji, w jakiej została znaleziona, i zawiązał jej na szyi czerwoną wstążkę. I - dorzucił ponuro - prawdopodobnie tą wstążką ją udusił.

- Sądzisz, że istnieje tu związek z tą sprawą z Palo Verde?

- Owszem, a także z zabójstwem w Del Rio sprzed dwóch lat.

- To by oznaczało trzy podobne zabójstwa dzieci w ciągu trzech lat - zauważył Marquez.

Garon przytaknął.

- Czyli mamy do czynienia z seryjnymi morderstwami. Pojedziemy od razu do Del Rio - dodał. - Skoro nie możemy skłonić żadnego z tamtejszych policjantów, aby porozmawiał z nami przez telefon albo wysłał e-maila, wpadniemy do nich po prostu na kawę.

- Założę się, że pijają rozpuszczalną - mruknął Marquez.

- Pewnie masz rację.

Istotnie tak było. Po przybyciu na miejsce zastali tylko jednego policjanta pełniącego służbę. Odpowiadał on za wszystkie aspekty ochrony porządku publicznego w Del Rio.

Policjant przeprosił za to, że nie odbierał ich telefonów.

- Mamy tutaj błazna, który wydzwania do nas o wszelkich porach dnia i nocy i informuje o pojawianiu się duchów- oświadczył. - Gość jest mocno stuknięty i za każdym razem, kiedy ignorujemy jego doniesienie, grozi, że naśle na nas prawników swojej rodziny. Jego rodzina jest bardzo bogata - dorzucił i potrząsnął głową. - Wolałem już faceta praktykującego wudu, który usiłował rzucić na nas klątwy, wbijając szpilki w woskową figurkę G. I. Joe. Garon mimo woli się uśmiechnął.

- Chcemy się dowiedzieć, co ustaliliście w sprawie zabójstwa dziewczynki sprzed dwóch lat.

Policjant zmarszczył brwi.

- Zabawna rzecz - rzekł. - Nie, nie mam na myśli tego, że zabójstwo było zabawne. Rzecz w tym, że zjawił się u nas pewien facet. Powiedział, że jest reporterem jednej z gazet ze wschodniego Teksasu i spytał, czy może zobaczyć akta dotyczące morderstwa. Pomyślałem, że nie zaszkodzi trochę rozgłosu w prasie i może dzięki temu wpadniemy na trop sprawcy. Wezwano mnie do wypadku drogowego, więc zostawiłem go z aktami i powiedziałem, że zaraz wrócę. Ale musiałem czekać na policję stanową, ponieważ w wypadku byli ranni. Gdy wróciłem, reportera już nie było. Zadzwoił telefon, więc odebrałem, a akta wsadziłem z powrotem do szafki.

- Siorbnął kawę. - Następnego dnia chciałem jeszcze raz przyjrzeć się tej sprawie, więc wyjąłem teczkę z aktami. W środku były czyste kartki papieru. Żadnych dowodów, zdjęć miejsca zbrodni ani niczego.

- Cholera! - burknął Marquez.

- Wiem, postąpiłem głupio, zostawiając faceta samego z aktami, ale myślałem, że uda mi się go namierzyć. Obdzwoniłem redakcje wszystkich dzienników we wschodnim Teksasie.

- I on nie pracował w żadnej gazecie - dokończył Garon.

- Rzeczywiście, nie.

- A co było w tych aktach? - spytał Marquez.

- Zdjęcia miejsca zbrodni, opis znalezionych śladów, skrawki bielizny dziewczynki.

Garon zmarszczył brwi.

- Nic więcej?

- W zasadzie nie.

- Czy mieliście negatywy tych zdjęć?

- Nie, ale sądziłem, że fotograf będzie je miał, więc zatelefonowałem do niego. Niestety, w jego pracowni wybuchł pożar i wszystkie negatywy spłonęły.

Garon i Marquez wymienili znaczące spojrzenia. Te dwa niefortunne wypadki stanowiły osobliwy zbieg okoliczności.

- Jest pan pewien, że nie było żadnych innych dowodów? - spytał z naciskiem Marquez.

Policjant w zamyśleniu wyduł wargi.

- No tak, był jeszcze długi kawałek szerokiej jedwabnej wstążki, którą zabójca ją udusił...

- Wstążki? - rzucił szybko Garon. - Jakiego koloru?

- No, była czerwona - padła odpowiedź. - Krwistoczerwona.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Grace siedziała w salonie i oglądała wiadomości w telewizji, gdy do pokoju wszedł Garon, zmęczony i głodny. Najwidoczniej nie pracował zwyczajowych ośmiu godzin dziennie. W istocie od agentów FBI wymaga się dziesięciogodzinnego dnia pracy i stosownie do tego im się płaci.

Garon usiadł w swoim wielkim fotelu.

- Co za dzień - westchnął ciężko.

- Nadal pracujesz nad sprawą zamordowania tej dziewczynki? - spytała.

Przytaknął.

- Zajmowałem się tym przez cały dzień. Natomiast mój zespół usiłuje wytropić rabusiów, którzy napadają na banki, używając pistoletów maszynowych. A na moim biurku czekają sprawy postrzału z jadącego samochodu, morderstwa w ramach porachunków gangów, przypuszczalnego samobójstwa oraz usiłowania zabójstwa męża przez żonę, która wynajęła płatnego mordercę. - Popatrzył na Grace i uśmiechnął się ze znużeniem. - W ostatnim wypadku kobieta miała wyjątkowego pecha, gdyż nadała tę robotę tajnemu agentowi FBI!

- Obrzydliwa policyjna prowokacja - rzekła Grace z udawaną przyganą.

Garon zachichotał, rozparł się wygodnie w fotelu i rozluźnił krawat.

- Dokładnie tak to nazwała. Teraz już wie, że nie należy nagabywać płatnych zabójców w barach odwiedzanych przez stróżów prawa. Mężczyzna, do którego się zwróciła, od razu przyszedł do nas.

Panna Turner usłyszała, że Garon wrócił, i stanęła w drzwiach salonu.

- Chce pan już zjeść kolację?
- Tak.
- Więc proszę przyjść do jadalni.
- Czy mogę zaprosić również Grace?
- Będzie mi bardzo miło.

Garon wstał i podszedł do siedzącej na sofie dziewczyny.

Zarumieniła się uroczo, a widok jej nieśmiałych szarych oczu wzbudził w nim osobliwie miłe uczucie.

Pochylił się nad nią.

- Obejmij mnie za szyję - powiedział cichym, łagodnym głosem.

Grace wstrzymała oddech. Nigdy nie słyszała bardziej seksownego męskiego głosu. Objęła ramionami szyję Garona, podniósł ją bez wysiłku, jakby była lekka jak piórko. Zajrzał z bliska w oczy, a potem jego wzrok spoczął na jej ustach.

- Z przyjemnością robiłbym to codziennie - stwierdził.

Zanim uświadomiła sobie jego zamiar, poczuła muśnięcie gorących warg. Poczowała, że serce podskoczyło jej w piersi.

Cofnął głowę i przyjrzał się jej reakcji. Grace wydawała się zdenerwowana, ale nie próbowała od niego uciec. Nachylił się ponownie. Tym razem powoli i delikatnie rozchylił jej wargi i zmysłowo uchwycił dolną swoimi ustami. Dziewczyna zadrżała. Jej usta przywarły do jego ust w pierwszym przyływie pożądania, jakie kiedykolwiek poczuła wobec mężczyzny.

Zaśmiał się cicho, a potem pocałował ją, mocno i władczo. Przygarnął Grace do siebie. Jęknął cicho i znów rozsunął jej wargi z żarliwą namiętnością, która jej się udzieliła.

W chwili gdy mocno oplotła ramionami jego szyję, panna Turner zawołała na korytarzu:

- Kolacja stygnie!

Garon spojrzał na Grace wzrokiem, w którym pożądanie mieszało się z irytacją. Pociągała go jej bezbronność i poczucie humoru, lecz w gruncie rzeczy wcale nie chciał, by weszła w jego życie. Spoglądała na niego łagodnymi oczami. Serce wciąż waliło mu szaleńczo. Dźwignął ją i poniósł korytarzem, przez całą drogę powtarzając w myśli pierwiastki kwadratowe kolejnych liczb, żeby się opanować.

Nie potrafił zebrać myśli. Nieoczekiwana reakcja Grace na pocałunek wprowadziła go w oszołomienie. Wiedział, że powinien się wycofać, ale nie był pewien, czy zdoła. Ta dziewczyna pociągała go z zaskakującą siłą.

Podczas kolacji nie mogli oderwać od siebie oczu, a panna Turner z uśmiechem przyglądała im się ukradkiem.

Po kolacji Garon zaniósł Grace z powrotem do salonu i ułożył ostrożnie na sofie. Dziewczyna była teraz stremowana i zakłopotana. Nie włączył telewizora, tylko usiadł ponownie w fotelu naprzeciwko niej.

- Przydarzyło ci się coś okropnego - zaczął cicho, pragnąc zrozumieć jej zachowanie. Oczy mu się zwęziły, gdy spostrzegł gwałtowną reakcję na te słowa. Pochylił się do przodu. - Tak. To stało się, kiedy byłeś dzieckiem. Ktoś cię napastował.

Grace przygryzła dolną wargę i odwróciła wzrok.

- Skąd mógłbyś o tym wiedzieć? - rzuciła i zeszywniała, w napięciu czekając na odpowiedź. On przecież nie może o niczym wiedzieć... bo skąd?

- Przez całe dorosłe życie pracuję w organach ścigania - wyjaśnił po prostu. - Potrafię rozpoznać objawy.

Odprężyła się odrobinę. Lecz po chwili nachmurzyła się i zerknęła na niego, gdy uświadomiła sobie, co on sugeruje.

- Objawy? - powtórzyła.

- Tak. Zakrywasz ciało na wszelkie możliwe sposoby. Nie stosujesz makijażu. Upinasz wysoko włosy, a gdy jakikolwiek mężczyzna podejdzie zbyt blisko, sztywniejesz i spuszczasz wzrok. - Spojrzenie przenikliwych ciemnych oczu spoczęło na jej twarzy. - Jakiś mężczyzna dotknął cię w niestosowny sposób.

Przełknęła z wysiłkiem ślinę i rzuciła:

- Tak.

- I to nie był twój chłopak.

Oblała się rumieńcem.

- Z pewnością nie.

- Jakiś krewny?

Potrząsnęła przecząco głową. Trudno jej było o tym rozmawiać. Nawet teraz nie potrafiła powiedzieć mu prawdy - a przynajmniej jej części. To wspomnienie sprawiało jej ból.

- Nieznajomy - odparła.

- Czy komuś o tym opowiedziałaś?

W końcu - tak. W szpitalu. Wzdrygnęła się na wspomnienie tamtych chwil.

- Tak - szepnęła. Odetchnął głęboko.
- Czy go schwytano? Uśmiechnęła się smutno.
- Nie. Zniknął, zanim zjawiała się policja.
- Przypuszczam, że matka nie zapisała cię na psychoterapię.
- Wtedy już od dawna nie żyła, podobnie jak ojciec. Moja babka

powiedziała, że nie będziemy rozmawiać o takich rzeczach z obcymi ludźmi.

Garon zdusił brzydkie przekleństwo. Nic dziwnego, że Grace jest tak przewrażliwiona. Te cholerne małe miasteczka i ich sekrety!

- Czy w tamtym czasie coś podobnego spotkało jeszcze kogoś?

- Chodzi ci o to, czy szukano mężczyzny, który to zrobił? Owszem, szukano. Ale w miasteczku nikt go nie znał, on nie zostawił żadnego śladu, który mógłby pomóc w wytropieniu. A nawet gdyby zostawił, babcia i tak przekonała komendanta policji, żeby zatuszował sprawę.

- To było fatalne!

- Owszem - przyznała. - On może nadal robić to samo gdzie indziej.

- Bardzo prawdopodobne, jeżeli jeszcze żyje - odrzekł chłodno. -

Mężczyźni, którzy napastują dzieci, nigdy nie potrafią przestać.

W rzeczywistości było gorzej, niż Garon sądził, lecz nie potrafiła rozmawiać o tej sprawie z nikim spoza rodziny. Gdy o tym mówiła, zawsze czuła się zbrukana.

Garon spostrzegł jej zażenowanie.

- Grace, to nie była twoja wina.

- Wszyscy tak mówią - odparowała. - Ale on twierdził co innego.

Powiedział, że zrobił to, ponieważ nosiłam szorty i stanik i... !

- Na Boga, żadnego normalnego mężczyzny nie kusi dziecko, jakkolwiek by się ubierało! - wybuchnął.

To ją trochę uspokoiło.

- Chyba nie - przyznała.

Garon opanował się wysiłkiem woli. Cierpiał na myśl, że dorosły facet mógł potraktować w ten sposób małą dziewczynkę, a zwłaszcza Grace.

- Czy kiedykolwiek rozmawiałś o tym? - spytał.

- Tylko z doktorem Coltrainem.

A więc to tak. To by tłumaczyło jej stosunek do rudowłosego lekarza. Jedynie jemu się zwierzyła.

- Dam głowę, że wściekał się na twoją babkę za zatuszowanie tej sprawy.

Dziewczyna zdobyła się na nikły uśmiech.

- Owszem, ale ona nie pozostawała mu dłużna. Twierdziła, że sama dojdę do siebie.

Skinął głową.

- Większość kobiet w końcu potrafi się z tym uporać. Choć psycholog może tu pomóc.

- Tak mówią.

Popatrzył na nią przenikliwie.

- Nieczęsto umawiasz się z chłopcami, co?

- Powiedziałam ci, że nie lubię, żeby mnie ktoś dotykał.

Wydał wargi, przypomniawszy sobie ich niedawny namiętny pocałunek.

- Staram się to zmienić - rzekł przeciągle. Zaśmiała się, zaskoczona jego nastawieniem.

Zaakceptował jej zahamowania bez gniewu i zbędnych pytań. Po raz pierwszy w życiu poczuła zaufanie do mężczyzny.

- Jesteś miłym człowiekiem - rzekła.

Uniósł przesadnie brwi.

- Miłym? Jestem nadzwyczajny!

Wybuchnęła śmiechem i już miała odpowiedzieć, gdy zadźwięczał pager. Garon odczepił go od paska, przeczytał wiadomość i skrzywił się.

- Do diabła - zaklął. Wstał i podszedł do biurka, na którym wcześniej położył swój telefon komórkowy. Wystukał numer i podniósł komórkę do ucha. - Tu Grier - rzucił.

Wysłuchał z powagą głosu w słuchawce i kiwnął głową.

- Dobrze, mogę to zrobić. Kiedy? Spotkam się tam z tobą. Lepiej zadzwoń do Marqueza. Świetnie.

Gwałtownie zamknął telefon i zerknął na Grace.

- Muszę wyjść. Lekarz sądowy zaraz rozpocznie sekcję zwłok dziewczynki. Muszę być przy tym obecny. Trzeba zabezpieczyć dowody rzeczowe, a ponadto autopsja dostarczy nam ważnych informacji.

- Musisz to oglądać?!

- To nie sprawia mi szczególnej przyjemności, ale tak - niekiedy muszę się temu przyglądać. Wyniki ekspertyzy sądowej są dla nas bardzo istotne. Łańcuch dowodowy musi tworzyć całość. Jeżeli przerwiemy choćby jedno ogniwo, to nawet gdy schwytamy tego degenerata, nie zdołamy doprowadzić do jego skazania.

- Och, rozumiem...

Wyobraziła sobie ciało tej dziewczynki krajane, łamane i miażdżone i z trudem powstrzymała falę mdłości.

Garon pochylił się i delikatnie musnął wargami jej miękkie usta.

- Ty przynajmniej jesteś nadal w jednym kawałku - powiedział cicho.

- Napastowanie przez dorosłego mężczyznę jest oczywiście okropne. Ale tę dziewczynkę spotkał nieskończenie gorszy los. Ty miałaś szczęście, a ona nie żyje.

Szczęście! Miała ochotę wybuchnąć gorzkim śmiechem, ale Garon nie zrozumiałby jej reakcji. To wyłącznie jej wina, że nie powiedziała mu wszystkiego.

- Chyba istotnie miałam szczęście - przyznała. Wciąż żyła. To było szczęście.

- Chcesz, żebym przed wyjściem zaniósł cię do twojego pokoju? - spytał. - Możliwe, że wrócę późno.

- Nie trzeba. Dam sobie radę - odparła z uśmiechem. - Panna Turner znalazła dla mnie laskę. Przykro mi, że będziesz musiał patrzeć na tę sekcję zwłok.

- Widywałem gorsze rzeczy - odparł bezbarwnym tonem, przypominając sobie sprawy, o których wolałby zapomnieć. - Dobranoc. Śpij spokojnie.

- Mogłabym już wrócić do swojego domu... - zaczęła.

Garon rzucił jej wymowne spojrzenie.

- Nie jesteś w najlepszych stosunkach z kojotami. Lepiej zostań tutaj jeszcze przez dzień czy dwa, aż będziesz zdolna do stoczenia bitwy.

Uśmiechnął się szeroko i wychodząc z pokoju, mrugnął do niej żartobliwie.

Przeniknął ją rozkoszny dreszcz. Garon chce, żeby została w jego domu, w jego życiu. Oboje wiedzieli, że mogłaby już doskonale sama sobie poradzić, lecz on pragnął, aby była przy nim. Ogarnęło ją radosne uniesienie. Raptem życie przestało się jej wydawać okropne. Było teraz urocze, oszłamiające i pełne nadziei.

Sekcję przeprowadzał lekarz sądowy Jack Peters. Był patologiem i wśród stróżów prawa słynął z dokładności i dbałości o szczegóły. Przebieg sekcji obserwowała jego asystentka z zakładu medycyny sądowej, znana Garonowi ze śledztwa, które prowadził w ubiegłym roku. Alice Mayfield Jones przez długi czas pracowała jako technik zabezpieczający miejsce zbrodni, zanim ukończyła kursy, co umożliwiło jej objęcie funkcji asystentki w zakładzie medycyny sądowej.

- Czy pan jest jednym z synów Griera? - rzuciła sucho.

Krótko obcięte czarne włosy miała schowane pod czepkiem, a część twarzy zasłaniała jej maska chirurgiczna, lecz błyszczących błękitnych oczu nie można było pomylić z żadnymi innymi.

- Ilu synów Griera pani zna? - spytał.

- Pański brat Cash pracował tutaj w biurze prokuratora okręgowego - przypomniała sobie.

- Był znacznie bardziej wyluzowany niż pan.

- Widzę, że on nie kryje swoich uczuć - rzucił sucho lekarz sądowy.

- Nie, brat ma więcej luzu - upierała się Alice.

- Ma włosy związane w kucyk i kolczyk.

- Prędzej mnie piekło pochłonie, niż zobaczy mnie pani z kolczykiem w uchu - powiedział Garon z przekonaniem.

Marquez powstrzymał chichot, udając, że kaszle. Alice popatrzyła na niego nad stołem sekcyjnym.

- A pan nosi kolczyk, sierżancie Marquez? Pasowałby doskonale do pańskiej fryzury. Jakiś skromny i nierzucający się w oczy...

- Jones, jeśli się pani nie uciszy, zakneblujemy pani kolczykiem usta
- rzekł Jack Peters stanowczym tonem. - Może już zaczniemy?

Ściągnął prześcieradło z drobnego ciała dziewczynki. Garon zacisnął zęby, żeby stłumić przekleństwo. Spostrzegł, że pozostali zareagowali podobnie. Skończyły się żarty. Czekają ich śmiertelnie poważne zadanie.

Lekarz sądowy przysunął do ust mikrofon i zaczął opisywać ofiarę, poczynając od wzrostu i wagi, a kończąc na szokującej liście otrzymanych ran i tortur, jakie jej zadano. Podczas gdy pracował, Jones robiła zdjęcia ciała na wszystkich etapach autopsji. Wcześniej Alice zniosła na dół do laboratorium kryminalnego prześcieradło i worek, z którego wyjęto zwłoki.

Gdy sfotografowała twarz dziewczynki, Peters ukradkowym ruchem przykrył ją kawałkiem materiału.

- Tak będzie mi łatwiej - powiedział nieco zmieszany. Przeprowadził w swoim życiu tyle sekcji zwłok, że nie robiły już na nim prawie żadnego wrażenia, ale w tym wypadku było mu ciężko, gdyż miał córkę w wieku ofiary.

Wykonał wstępne nacięcie w kształci litery Y. Jones podała mu nożyce, którymi rozciął klatkę piersiową, uzyskując w ten sposób dostęp do miękkich tkanek wewnętrznych.

Garon mógł teraz przekonać się na własne oczy, co nóż mordercy wyrządził temu drobnemu, wątłemu ciału. Wszystkie organy wewnętrzne

ofiary, od płuc do wątroby i jelit, były uszkodzone. Ciosy nożem zadano z dużą siłą, jakby napastnik wpadł w szal.

- Czy te rany zadano przed śmiercią? - zapytał cicho.

- Tak - odparł szorstko Peters. - Torturowano ją. Można to poznać po krwawieniu, którego nie byłoby, gdyby zadano je po śmierci. W chwili zgonu serce przestaje tłoczyć krew.

- Powinieneś częściej oglądać telewizję, Grier - zaszcebiotała Alice.

- Pokazują to wszystko w serialach kryminalnych.

- Nawet mi o tym nie wspominaj - warknął na nią Peters. - Mają tam wszystkie najnowocześniejsze gadzety i wyposażenie warte miliony dolarów.

A spójrzcie, w jakich warunkach ja pracuję! - wykrzyknął, wskazując głową na wysłużone nosze, stary porcelanowy zlew i mikroskop sklejony szarą taśmą izolacyjną. - Dałbym wiele za choćby jeden z ich komputerów!

- Przynajmniej przydzielili panu do pomocy znakomitą asystentkę - odezwała się Jones. - I jestem o wiele przystojniejsza od aktorki grającej w serialu rolę asystentki lekarza sądowego...

- Nie rozmawiaj podczas pracy - ofuknął ją Peters.

Skatalogowali dowody rzeczowe i umieścili w jednej plastikowej torbce skrawki skóry znalezione pod paznokciami ofiary, a w drugiej wymazy z okolic jej narządów płciowych.

- Przy odrobinie szczęścia wytropimy go dzięki DNA - powiedział Garon napiętym tonem.

- Tylko jeżeli jego DNA jest w kartotece - zauważył Marquez.

- Zdziwiał mnie - wtrącił Peters - jak wielu sprawców molestowania nieletnich nie figuruje w żadnej bazie danych. To, co się w nich odnotowuje, to jedynie wierzchołek góry lodowej.

- Istotnie - przyznał Marquez.

Wreszcie zakończyła się udręka tej autopsji i Peters przygotował ciało ofiary do zabrania przez furgonetkę z domu pogrzebowego.

- Nieszczęsne dziecko - westchnął. - I nieszczęśni rodzice. Mam nadzieję, że kosmetyk z przedsiębiorstwa pogrzebowego zna się na swoim fachu.

Alice Jones zakryła zwłoki na wózku, a Marquez i Garon rozmawiali dalej z lekarzem sądowym.

- Wyślę to wszystko na dół do laboratorium kryminalnego - powiedział im, wskazując na plastikowe torebki z dowodami rzeczowymi.

- Chyba że wy chcecie to zrobić?

Grier potrząsnął przecząco głową.

- Oznakowałem fiolki zawierające wymazy. Kiedy skończycie analizę, Marquez odbierze je i umieści bezpiecznie w swoim schowku w wydziale policji San Antonio.

Sierżant skinął głową.

- Zadbamy dobrze o wszystko.

- Tylko dopilnuj, żeby ktoś pokwitował odbiór!

- Bądź pewien, że to zrobię. Jeśli schwytamy tego zwyrodnialca, nie chcę, aby wyszedł na wolność pod pretekstem braków w materiale dowodowym.

- Kiedy będzie pan coś wiedział o DNA sprawcy? - zapytał Garon lekarza sądowego.

- Niech pan nakłoni Jones, żeby uśmiechnęła się do laborantów z pracowni na dole - zaproponował Peters. - Ona ma z nimi dobre układy.

- Przekupię ich - obiecała Alice, która właśnie wróciła i usłyszała ostatnie zdanie. - Potrafię robić pyszne ekierki, a szef laborantów za nimi przepada. W przeszłości pracowałam z nim i znam jego słabostki!

Wszyscy się roześmieli. Przyjemnie było oderwać się choć na chwilę od przygnębiającej atmosfery autopsji. Poczucie humoru pozwalało im radzić sobie ze straszliwymi obrazami, które dręczyły ich nawet po powrocie do domów, i chroniło przed załamaniem. Byli rzecznikami ofiar i musieli być w stanie wykonywać swoją pracę.

- Jutro dostanę pisemny raport z tych analiz - oznajmił śledczym Peters. - Na wszelki wypadek najpierw zatelefonujcie, żeby się upewnić, czy jest gotowy. Jednak już teraz, na podstawie tego, co zobaczyłem, mogę powiedzieć, że dziewczynka zmarła wskutek uduszenia. Te rany od ciosów zadanych nożem też byłyby śmiertelne, lecz nie stanowiły pierwotnej przyczyny zgonu.

- Jest pan pewien, że została uduszona? - zapytał Marquez.

Peters zdjął szmatkę z twarzy dziewczynki i podniósł jedną z jej powiek. Oko było niebieskie. Prawdopodobnie za życia jej błękitne oczy miały łagodny wyraz, pełen nadziei...

- Widzicie te drobne wylewy? - rzekł, wskazując niewielkie czerwone plamki w białku oka. Widniały też na skórze twarzy. - To naczynia włoskowate, które pękły na skutek nagłego, gwałtownego ucisku szyi. Nazywamy to wylewami wybroczynowymi. Typowe objawy uduszenia. Sądząc po ilości tkanki skórnej, znalezionej pod paznokciami dziewczynki, przypuszczam, że broniła się i rozpaczliwie walczyła o

życie. Napastnik z pewnością ma po tej walce mnóstwo zadrapań na rękach.

Marquez kiwnął głową, lecz wiedział, że jest bardzo mało prawdopodobne, by znaleźli podejrzanego, zanim zadrapania zagoją się i znikną.

- W policji stosujemy podobne metody, by unieszkodliwić niebezpiecznych przestępców - przyduszenie zgiętym ramieniem i ucisk arterii.

- Wiem - odparł Peters. - Te chwytty uciskają arterie szyjne i wywołują omdlenie. Od czasu do czasu mam do czynienia z ich ofiarami. Zazwyczaj są to dzieciaki uprawiające zapasy bez nadzoru. Jeżeli takiego chwytty nie wykona się prawidłowo, może mieć śmiertelny skutek.

- Niech pan mi o tym nie wspomina - westchnął Marquez. - Próbuujemy najpierw innych sposobów, żeby poskromić groźnego kryminalistę. Lecz niekiedy wszystko inne zawodzi i musimy działać w obronie własnego życia.

- Mam nadzieję, że znajdziecie człowieka, który to zrobił - powiedział lekarz sądowy, wskazując zwłoki dziewczynki.

- Musimy go znaleźć - powiedział z determinacją Garon. - Inaczej on znowu to zrobi.

Nazajutrz rano Grace uparła się, że wróci do domu. Dzięki szybkiej kuracji, jaką zaordynował Garon jej skręconej kostce, mogła już chodzić, nieznacznie tylko utykając. Musiała pójść do pracy, żeby móc zapłacić rachunki, lecz nie chciała powiedzieć o tym Garonowi. Nie pojąłby jej ubóstwa. Z tego, co słyszała o jego bracie Cashu, pochodzili z bogatej rodziny.

Gdy poprosiła go, żeby podrzucił ją do domu, ujrzała na jego twarzy osobliwy wyraz ulgi. Spędził bezsenną noc, bijąc się z myślami. Mimo woli wciąż na nowo rozpamiętywał słodczy pocałunku Grace, co wprawilo go w irytację. Nie zamierzał ryzykować związania się z tą kobietą. Żadnych więcej związków, postanowił.

Poczuła się dziwnie rozczarowana, gdy przy śniadaniu przyjął prośbę o odwiezienie jej tak lekko, nawet z uśmiechem. Być może pocałowałby każdą kobietę, którą przyprowadziłby do siebie. A może po prostu powodowało nim współczucie. Niewiele wiedział o jej przeszłości. Prawdopodobnie sądził, że tym pocałunkiem pomaga jej przywyknąć do mężczyzn.

Te rozmyślania wprawiały Grace w zakłopotanie. Bez słowa wsiadła razem z Garonem do samochodu i pomachała pannie Turner. Przez całą krótką drogę do domu w milczeniu wyglądała przez boczną szybę.

Wysadził ją przed frontowymi drzwiami.

- Nie ścigaj kojotów - rzucił na pożegnanie przez okno.

Popatrzyła na niego z oburzeniem.

- Czyżbyś był działaczem ruchu obrońców przyrody? Nie wyrządzą im krzywdy, o ile one nie skrzywdzą mojego kota.

Roześmiał się wbrew sobie.

- Zadzwoń, jeśli będziesz nas potrzebowała.

- I wzajemnie - odparła z szelmowskim uśmiechem.

Na widok tego uśmiechu załapała go fala ciepła, a zarazem poczuł odruch gniewu i buntu.

- Akurat! - mruknął pod nosem, wyjeżdżając z jej podjazdu.

Przyglądała się, jak odjeżdżał, czując niemiły skurcz niepokoju. Jej życie nie wróci już nigdy do dawnego kształtu. Nie powinien jej dotykać.

Garon myślał to samo. Dlatego po powrocie do domu zadzwonił do Jaqui Jones, bratanicy pani Tabor, i powiedział, że nazajutrz w piątek przyjdzie na jej przyjęcie.

Zgodnie z przewidywaniami Casha przedstawiciele najznacześniejszych rodzin w Jacobsville nie zaszczyliłi przyjęcia swoją obecnością. Zjawiło się jedynie kilku niewątpliwych autsajderów. Garon czuł się dziwnie skrepowany w ich towarzystwie - a zwłaszcza w towarzystwie Jaqui, która przy każdej sposobności ocierała się o niego. Nie lubił publicznego demonstrowania uczuć i dał jej to do zrozumienia.

- Jesteś dziwakiem - powiedziała mu, gdy sączyli koktajle przy bufecie, i zaśmiała się zalotnie.

- Nie pociągam cię?

- Niewątpliwie zdajesz sobie sprawę ze swej urody - odparł lekkim tonem. - Ale ja mam konserwatywne poglądy i takie niedwuznaczne propozycje wprawiają mnie w zakłopotanie. Uniosła brwi.

- A ja myślałam, że jesteś nieskrepowanym, wolnym duchem - powiedziała miękko.

- Pozory mylą - odrzekł, unosząc kieliszek w geście toastu.

- No cóż, nie oceniaj siebie zbyt nisko - rzekła. - I nie sądź, że dam za wygraną. W końcu zawsze dostaję to, czego pragnę.

- Czyżby? - spytał z uśmiechem. - Może przedstawiśz mnie swojej ciotce?

Wyszedł z przyjęcia wcześniej pomimo protestów Jaqui.

- Przecież z pewnością nie pracujesz w soboty! - rzuciła
poirytowana.

- Prowadzę ranczo - przypomniał jej. - Weekendy to jedyna pora,
kiedy mogę się temu poświęcić.

Nie dodał, że jego praca wymaga, aby był pod telefonem przez
siedem dni w tygodniu. Pracował na ranczu sporadycznie, pozostawiając
codzienne obowiązki zarządcy.

- A może chodzi o twoją sąsiadkę - rzekła z przekąsem. - Boże, jak
ona się niegustownie ubiera! Słyszałam, że pomieszkiwała u ciebie...

- Umarła jej babka - powiedział. - Ta dziewczyna przeżywa teraz
ciężkie chwile.

- Jest nieudacznicą, tak jak większość osób tutaj - rzuciła beztrąsko. -
Współczucie doprowadziło wielu ludzi do klęski. Nie pozwól, by tak stało
się z tobą.

Kiedy znaleźli się sami na frontowym ganku, przywarła do niego i
pocałowała go.

Poczuł podniecenie, lecz nie na tyle silne, by przyjąć jawne
zaproszenie kobiety, aby posiąść ją tutaj, na ganku.

Odsunął się od niej.

- Zadzwoń do ciebie.

- Lepiej tak zrób - wymruczała. - Bo inaczej ja cię odszukam!

Dobranoc.

- Dobranoc.

Wsiadł do samochodu, rozmyślając o tym, że nieśmiała reakcja
Grace na jego pocałunek była znacznie bardziej podniecająca niż
agresywna namiętność tej dzikiej kotki. Współczuł ciotce Jaqui. Była miłą,

serdeczną i skromną drobną kobietą, która ceniła sobie dobre stosunki z ludźmi. Skandaliczne prowadzenie się bratanicy niewątpliwie kosztowało ją utratę kilku przyjaciółek. Tego wieczoru żaden z członków miejscowych bogatych rodzin nie zjawił się w jej domu, co stanowiło niewątpliwym afront - choć Jaqui była zbyt gruboskórna, aby to zauważyć. Cóż, pomyślał, to nie moje zmartwienie.

W późny sobotni wieczór wprowadzał do komputera dane dotyczące trzody, gdy do jego gabinetu wpadła panna Turner.

- Nie będzie mnie przez kilka dni - oznajmiła.

- Mój ojciec, który mieszka w Austin, miał zawał i leży w szpitalu.

Muszę do niego pojechać.

- Naturalnie - odparł bez wahania. - Proszę wziąć forda.

- Naprawdę mogę? - upewniła się.

- Oczywiście. Wie pani, gdzie są kluczyki. Potrzebuje pani zaliczki na poczet wynagrodzenia?

- Nie, ale dziękuję za propozycję - odrzekła miło zaskoczona.

- Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

- Nie. Dziękuję panu - dodała. Twarz miała ściągniętą z niepokoju. -

Wrócę tak szybko, jak to możliwe.

- Jeśli będzie pani czegokolwiek potrzebowała, proszę do mnie zadzwonić - rzekł stanowczo.

- A co z pańskim śniadaniem? - jęknęła.

- Sam je przygotuję -zapewnił ją. -Niech pani już jedzie. I proszę prowadzić ostrożnie.

Zdobyła się na uśmiech.

- Dobrze.

- Gdy dojedzie pani na miejsce, proszę do mnie zadzwonić i powiedzieć, jak wygląda sytuacja - dodał.

- Naturalnie - obiecała, ujęta jego troskliwością.

Garon późno poszedł spać i obudziwszy się rano, był półprzytomny. Ubrał się i zszedł na dół. Bez panny Turner dom wydawał się bardziej pusty niż zwykle. Odsłuchiwał z automatycznej sekretarki wiadomość od niej. Dojechała bezpiecznie do Austin, a ojciec trzyma się nieźle.

Przygotował sobie dwie grzanki z masłem i dzbanek kawy. Weekend minął zadziwiająco szybko. Miał lekkie wyrzuty sumienia, że nie zadzwonił do Grace, aby spytać, jak sobie radzi. Prawdopodobnie czuła się urażona, że wysadził ją tylko przed domem i nie zadał sobie trudu, aby się dowiedzieć, co z jej skreconą kostką.

Poczucie winy sprawiło, że ogarnęło go zniecierpliwienie. Nie ma wobec niej żadnych zobowiązań. Niemniej w drodze do San Antonio przejechał obok domu Grace i spostrzegł ze zdziwieniem, że na podjeździe nie było samochodu. Ciekawe, dokąd mogła pojechać, skoro była dopiero szósta rano. Lecz wszystko wyglądało tak jak zwykle, więc dodał gazu i przestał się nad tym zastanawiać.

Gdy Grace weszła do domu, nie znalazła Wilbura. Domyśliła się jednak, że widocznie podczas jej pobytu na ranczu Garona zdołał wyslizgnąć się przez lekko uchylone okno i przecisnąć przez chroniącą je siatkę. Tego ranka nie miała czasu go szukać, gdyż była już spóźniona do pracy.

Kiedy wróciła z kwaciarni, gdzie głównie splatała wieńce, wzięła laskę pożyczoną od panny Turner i kuśtykając obeszła cały teren w poszukiwaniu kota.

Znalazła zwierzę martwe i okropnie poszarpane. Wyglądało na to, że kojot jednak w końcu dopadł biednego Wilbura. Ogarnęła ją wściekłość. Poprzysięgła, że odnajdzie drapieżcę i pomści ulubieńca, nawet gdyby miało to jej zająć resztę życia. Łzy ciekły jej po policzkach, gdy wyobraziła sobie ostatnie chwile nieszczęsnego starego kota. Lecz płacz nie przywróci mu życia. Nigdy nikomu nie przywrócił...

Przykryła kota starą poszewką na poduszkę i zawinęła w podarte prześcieradło, a potem włożyła go do pudełka i zawiozła do weterynarza, skąd zabrał go człowiek prowadzący cmentarz dla zwierząt domowych i oferujący ich kremację. Miał bogaty zestaw urn. Grace wybrała prostą i niedrogą; otrzymała zapewnienie, że po skremowaniu prochy Wilbura zostaną dostarczone do jej domu. Wypisała czek i zacisnęła usta, gdy zobaczyła, jak żałośnie mało pieniędzy zostało jej po spłaceniu rachunków. Będzie musiała postarać się o kilka dodatkowych godzin w drugiej pracy, aby choć trochę powiększyć sumę na koncie.

W pracy usłyszała, że Garon był na przyjęciu u Jaqui Jones. Zraniło ją to, że spędzał czas z piękną brunetką. Popatrzyła w lustro na swoją twarz i poczuła się beznadziejnie pospolita. Jediną porządną suknię - czarną, w której była na pogrzebie - odziedziczyła po babci. Jej garderoba składała się głównie z dżinsów, sportowych bluz oraz T-shirtów z nadrukami. Nie miała prawie żadnych kosmetyków i nigdy nie poświęciła dużo czasu swojej fryzurze.

Pod wpływem nagłego impulsu rozpuściła włosy i przejechała po nich szczotką. Zdumiała ją zmiana w wyglądzie, gdy spłynęły gęstą, jedwabistą falą na ramiona. Musnęła usta bladą różową szminką, a potem

zdjęła sportową bluzę i włożyła czarny podkoszulek z długimi rękawami i nadrukowanym japońskim napisem.

Pomyślała, że istotnie ma zgrabną figurę, choć nie pasuje do niej niezbyt urodziwa twarz. Za szerokie usta, zbyt wysokie kości policzkowe i nieco krzywy nos. Żałowała, że nie jest ładniejsza. Pierwszy raz w życiu pragnęła spodobać się mężczyźnie, a tymczasem, na nieszczęście, zauroczyła go ta Mata Hari!

Odłożyła szczotkę i wyszła na ganek. Nie skończyła jeszcze przycinać róż i z przyjemnością zeszła po schodkach do ogrodu skąpanego w blasku słońca.

Ledwie zaczęła pracę, gdy usłyszała na podjeździe warkot auta. Ku swojemu zaskoczeniu spostrzegła, że przyjechał Garon. Wyprostowała się z sekatorem w rękę, podczas gdy Garon wysiadł z samochodu i podszedł do schodków.

Przystanął na chwilę. Jego spojrzenie prześliznęło się z dziwną intensywnością po jej twarzy i ramionach w dół ciała, czarne oczy zabłyśły.

Otworzyła usta, żeby zapytać, co się stało. Jednak zanim zdążyła wypowiedzieć choć słowo, Garon porwał ją w ramiona i zaczął całować z żarliwym zapamiętaniem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Garon nie mógł się powstrzymać. Widok szczupłej, zgrabnej postaci Grace w obcisłych dzinsach i koszulce oraz jej długich jasnych włosów, spadających kaskadą na plecy, odebrał mu rozsądek. Poczł nagłe, palące podniecenie, którego nie potrafił opanować. Trzymał Grace w ramionach, przyciskając ją do swego mocnego ciała, a bliskość dziewczyny oszołamiała go niczym silny narkotyk.

- Rozchyl usta, Grace - powiedział tuż przy jej zaciśniętych wargach. Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej. - Śmiało, małeńka - wyszeptał uwodzicielsko. - Rozchyl je, Grace...

Próbowała coś powiedzieć, lecz zrobiła dokładnie to, o co prosił, porwana nagłym przyływem uczuć. Garon wzbudzał w niej pożądanie. Aż do tej chwili nigdy jeszcze nie pragnęła należeć do mężczyzny. Czowała żar i moc muskularnego ciała, słyszała bicie jego serca i chrapliwy, urywany oddech. A może to było walenie jej serca?

Gdy żarliwa namiętność mężczyzny stawała się coraz gwałtowniejsza, opadły ją dawniejsze, przerażające wspomnienia. Odepchnęła Garona, a on cofnął się. Wyglądał na równie poruszonego jak ona i usiłował uspokoić oddech.

- Wiem - powiedziała, unosząc rękę i zmuszając nabrzmiałe wargi do uśmiechu. - To była reakcja, nad którą nie zdołałeś zapanować i której nie potrafisz wyjaśnić. Ale ja potrafię. Kazałam pannie Lettie, mieszkającej na końcu drogi, żeby sporządziła twoją figurkę, i potarłam ją moją fotografią, więc dlatego teraz nie możesz mi się oprzeć.

Wybuchnął śmiechem i rzucił:

- Do diabła!

- Zwykle nie muszę się uciekać do takich środków- dodała z fałszywą skromnością. - Zazwyczaj moja nieodparta uroda pozwala mi zdobyć każdego mężczyznę, którego zapragnę.

Garon głęboko wciągnął powietrze. Grace znowu użyła owego osobliwego sposobu rozładowywania niebezpiecznych dla niej sytuacji. Nie pojmował własnego zachowania. Lecz nie rozgniewała się na niego pomimo swych wcześniejszych bolesnych doświadczeń. Musiał pamiętać o jej tragicznej przeszłości, żeby jej nie przerazić. Jak na kobietę w swoim wieku była tak zadziwiająco niewinna. Mimo lęków i zahamowań zdawała się czuć dobrze w jego ramionach. Ta myśl go podekscytowała.

- A zatem pryskają moje złudzenia, że jestem jedynym mężczyzną w twoim życiu - rzekł żartobliwie.

- Twoje złudzenia istotnie rozsypały się w proch - przyznała. - Możesz mi powiedzieć, dlaczego tutaj przyszedłeś?

Zamrugnął bezradnie.

- Nie wiem.

Rzuciła mu kpiące spojrzenie.

- Krótkotrwałe utraty, pamięci z pewnością nie pomagają ci w pracy...

- Do diabła, podczas pracy wiem, co robię!

- Chwała Bogu!

- Muszę pojechać do Palo Verde, żeby przesłuchać pewnego człowieka - oznajmił.

Marquez odnalazł byłego policjanta z Palo Verde, który pamiętał sprawę zamordowania dziewczynki sprzed dwóch lat. Zdaniem owego

policjanta, sąsiad ofiary twierdził, że wcześniej w dniu zabójstwa widział ją w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Według relacji Marqueza świadek został uznany przez policję za wiarygodnego, ale kiedy oficerowie śledczy wrócili, aby z nim porozmawiać, nie było go w mieście. Najwidoczniej stracono go z oczu w zamieszaniu, które powstało, gdy sprawa nabrała rozgłosu, i pojawiło się mnóstwo tropów i wskazówek, które należało zbadać. Garon chciał się spotkać z tym świadkiem, o ile nadal mieszkał on w Palo Verde. Jego zeznania mogły okazać się decydujące i umożliwić im schwytanie zabójcy dwóch dziewczynek. Garon, podobnie jak Marquez, był bowiem przekonany, że mają do czynienia z seryjnym mordercą. Obydwie sprawy zbyt wiele łączyło, by mógł to być zwykły zbieg okoliczności.

- Idziesz dzisiaj do pracy? - zapytał dziewczynę.

- Pracowałam tylko rano. W soboty kończę w południe - wyjaśniła.

- Szkoda, że ja nie - westchnął. - Chcesz pojechać ze mną?

Usłyszawszy tę propozycję, Grace rozpromieniła się z radości. Skoro zabiera ją ze sobą na cały dzień, to znaczy, że nie zadurzył się w Jaqui!

- Tylko przebiorę się w coś odpowiedniejszego - powiedziała, martwiąc się, że nie ma zbyt wielu ubrań do wyboru.

- A co jest złego w stroju, który masz na sobie? - zapytał. - Jak może zauważyłaś, ja też nie jestem w garniturze.

Istotnie, zauważyła. Garon był ubrany w jasno-brązowe spodnie, podkreślające silne mięśnie jego długich nóg, bladocytrynową modną koszulę, która uwydatniała muskulaturę klatki piersiowej i ramion, oraz w lekką kurtkę.

- Nie nosisz garnituru?

- Tylko wtedy, gdy planuję dokonać aresztowania kogoś znanego i mogą pojawić się przedstawiciele mediów - odparł żartobliwie. - FBI chce, żebyśmy w takich wypadkach wyglądali elegancko i profesjonalnie.

- No, no!

- Ale ponieważ nie zamierzam aresztować tego człowieka, mogłem ubrać się niezobowiązująco.

- Wezmę tylko torebkę i sweter.

Zaczekał na nią przy samochodzie, rozglądając się z zaciekawieniem.

- Gdzie jest kot? - zapytał, kiedy wróciła. Przygryzła wargę.

- Podczas mojej nieobecności wymknął się z domu. Znalazłam go i...

- przełknęła nerwowo -... pogrzebałam.

- Przykro mi - powiedział i naprawdę tak było. Wiedział, że lubiła tego starego kota. - Nasza biała kotka ma małe. Mieszka w stodole, gdzie tępi szczury. Kiedy kocięta trochę podrosną, możesz przyjść i wybrać sobie jedno.

Zamrugła, żeby powstrzymać łzy.

- Będzie mi bardzo miło.

- Nam też. Ubędzie nam jeden pyszczek do wykarmienia.

- A co u panny Turner?

- Musiała pojechać do Austin do ojca, który miał zawał.

- Biedactwo. Ojciec to jedyna żyjąca osoba z jej rodziny. Czy zatelefonowała do ciebie i powiedziała, jak on się czuje?

- Jeszcze nie, ale na pewno to zrobi.

- Czego chcesz się dowiedzieć od tego świadka? - spytała, zmieniając temat.

- Sądzymy, że mógł widzieć sprawcę pewnego porwania i zabójstwa sprzed kilku lat. Jeżeli istotnie tak było i zdoła przypomnieć sobie cokolwiek, mogłoby to pomóc nam odnaleźć podejrzanego w sprawie, którą się obecnie zajmujemy. Jeśli nie, będziemy musieli oprzeć się tylko na materiale dowodowym uzyskanym z sekcji zwłok.

- Ta dawna sprawa dotyczy zamordowania małej dziewczynki, prawda?

- Tak - mruknął.

- Palo Verde to mała miejscowość i rzadko trafia na łamy gazet, chyba że zdarzy się coś szokującego - powiedziała Grace. - Kiedy wspomniałeś o tej najnowszej sprawie, od razu pomyślałam, że jest bardzo podobna do zabójstwa tamtej dziewczynki w Palo Verde.

- Marquez też uważa, że istnieje między nimi związek.

- Powiedziałeś, że liczyacie na dowody z autopsji. Znaleźliście jakieś?
- spytała celowo niedbałym tonem.

- Mnóstwo - odparł spokojnie. - W tym także DNA sprawcy. Jeśli znajdziemy mężczyznę, który to zrobił, będziemy mogli sprawić, że go powieszą. Jestem pewien, że w końcu dopisze nam szczęście. - Zerknął na Grace. - Słyszałaś kiedyś o regule porównania, sformułowanej przez Locarda?

Zmarszczyła brwi.

- Nie.

- To teoria zbierania dowodów, tworząca podstawy nowoczesnej kryminalistyki - wyjaśnił.

- Doktor Edmond Locard był francuskim policjantem, który zauważył, że przestępcy pozostawiają ślady na miejscu zbrodni, natomiast

usuwają je z wszystkich miejsc, które odwiedzają. Chodzi o włókna, włosy i inne materiały. Dzięki analizie i porównaniu tych śladów można zlokalizować sprawcę przestępstwa nawet bez żadnych innych dowodów winy.

- Uwielbiam oglądać w telewizji te programy dotyczące dawno popełnionych zbrodni - oświadczyła. - Fascynujące jest obserwowanie, jak najdrobniejszy szczegół może pomóc w rozwikłaniu kryminalnej zagadki.

- Ja też je oglądam - powiedział z uśmiechem.

- Jednak lwia część naszej pracy składa się z nudnych, rutynowych zadań: inwigilacji podejrzanych oraz przesłuchiwanie świadków i członków rodzin ofiar.

- Dla kogoś, kto zarabia na życie dorywczą pracą, to wcale nie brzmi nudno - stwierdziła i zerknęła na niego. - Od jak dawna jesteś agentem FBI?

- Od dwudziestego trzeciego roku życia.

- A teraz masz osiemdziesiąt - rzuciła kpiąco.

- Trzydzieści sześć.

- Czy zawsze zajmowałeś się sprawami zabójstw?

Potrząsnął głową.

- Tylko raz przydzielono mnie do sprawy seryjnych morderstw, dokonywanych na wschodzie kraju. Ale przez większość czasu zajmowałem się przypadkami brutalnych przestępstw. Przez sześć lat pracowałem w zespole ratowania zakładników, a przez następne cztery byłem w Waszyngtonie członkiem SWAT-u - brygady antyterrorystycznej FBI. Później pracowałem w Austin, a obecnie w biurze terenowym w San Antonio dowodzę oddziałem, który tropi sprawców brutalnych zbrodni.

- Te dwa pierwsze zajęcia są niebezpieczne. Widziałam na filmach, jak działają takie zespoły.

Zacisnął dłonie na kierownicy.

- Tak, bardzo niebezpieczne. Grace zmarszczyła brwi.

- Sam wybrałeś ten rodzaj pracy. Tobie także przydarzyło się kiedyś coś okropnego - powiedziała domyślnie.

Garon zacisnął szczęki.

- Coś - rzucił i popatrzył na nią. - Nie chcę o tym mówić.

- Nie zamierzałam być wścibska - rzekła, obracając torebkę na kolanach. - Ale pytałeś mnie, czy rozmawiałam z kimkolwiek o tym, co mnie spotkało.

- Ty również mnie o to spytałaś.

- Więc uważam, że jesteśmy kwita.

Nie odpowiedział. Milczał przez długą chwilę, pogrążony w przeszłości, w cierpieniu tamtych strasznych lat. Czuł nieznośny ból.

Grace uświadomiła sobie, że wkroczyła na grząski teren i starała się znaleźć jakiś sposób rozładowania napięcia.

- Czy wierzysz w wilkołaki? - spytała. Samochód skręcił lekko.

- Słucham? - rzucił Garon ze zdumieniem.

- Oglądałam film o nich, bardzo realistyczny - wyjaśniła. - I jestem pewna, że znam przynajmniej jedną osobę, której nie widuje się podczas pełni księżyca. Wiesz, żeby je zabić, trzeba je zastrzelić srebrną kulą. Zwykle ołowiane ich nie uśmiercą.

- Niestety nie mam srebrnej kuli - oświadczył.

- Zatem będziemy mieli kłopot, jeżeli natkniemy się na któregoś z nich - rzekła drwiąco.

- Posłuchaj, jeśli spostrzeżesz wilkołaka, powiedz mi o tym, a ja od razu pobiegnę do domu, stopię parę srebrnych sztućców i zacznę odlewać srebrne kule.

- Zgoda! - odrzekła z uśmiechem. Garonowi zrobiło się lżej na sercu. Jak na wstydliwą i zakompleksioną pannę Grace była świetnym kompanem. Sprawiała, że zapominał o mrocznej przeszłości. Czuł się dobrze w jej towarzystwie.

Grace myślała podobnie, zwłaszcza po tym jak ją pocałował, niecierpliwie i namiętnie. Poczwała w całym ciele rozkoszne mrowienie na wspomnienie tamtego pocałunku. Pomyślała, że może Garon ma złe doświadczenia ze związków z kobietami i dlatego nie jest żonaty.

Zatrzymali się przed wydziałem policji Palo Verde, aby porozmawiać z jego szefem Gilem Mendosą. Wyglądał na zmieszanego i zakłopotanego, gdy Garon opowiedział mu o prowadzonym aktualnie dochodzeniu dotyczącym morderstwa, o daremnych staraniach Marqueza, aby wydobyć od niego informacje na temat dawniejszej sprawy prowadzonej przez tutejszy wydział policji, oraz o wysyłanych do niego e-mailach, na które nie odpowiadał.

- Dostawaliśmy e-maile, które wprawiały w zażenowanie pannę Tibbs - wyjaśnił Mendosa. - Ona ma siedemdziesiąt lat i obsługuje u nas telefony oraz pocztę elektroniczną. Dlatego jeśli w nagłówku wiadomości nie ma wzmianki o konkretnym wypadku, ona zgodnie z naszym poleceniem nie otwiera jej, tylko po prostu ją kasuje. Niech pan przeprosi ode mnie Marqueza.

- Dobrze. Chcemy wiedzieć, czy zataił pan jakiś fakt związany z zabójstwem tej dziewczynki - coś, co chciał pan utrzymać w tajemnicy przed mediami.

Komendant zerknął niepewnie na Grace.

- Ona nikomu nie piśnie ani słowa - uspokoił go Garon. - Może pan śmiało mówić.

- A więc dobrze. Tak, była taka rzecz. Sprawca udusił dziewczynkę wstążką zawiązaną na szyi. Czerwoną wstążką.

- Usiądź, na litość boską! - wykrzyknął Garon.

Złapał Grace, gdy już osuwała się na ziemię. - Co się dzieje?

Oddychała z trudem. Nie mogę się przed nim zdradzić, pomyślała.

Nie mogę!

- To ten wirus grypy żołądkowej, która teraz panuje - powiedziała ze słabym uśmiechem.

- Złapałam go wczoraj i zwałił mnie z nóg. To dość drastyczny sposób na odchudzanie, prawda?

- Chciałaby się pani czegoś napić? - zaproponował uprzejmie Mendosa.

- Może trochę martini, wstrząśniętego, ale nie wymieszanego - powiedziała z błyskiem w szarych oczach.

- Możesz dostać dietetyczną colę - odparł Garon, podchodząc do automatu z napojami. - O ile znajdę odpowiednią monetę.

- Niech pan nie wrzuca banknotu dolarowego - ostrzegł go Mendosa.

- Ten automat je pożera. Grace zmierzyła go ciężkim spojrzeniem.

- Jest pan policjantem i pozwala, żeby ta maszyna okradała klientów w pańskim gabinecie?!

- Człowiek, którego aresztowaliśmy w zeszłym miesiącu, chwycił rewolwer i strzelił do ostatniego dystrybutora napojów, jaki tu mieliśmy. Dwa miesiące wcześniej jeden z naszych policjantów przypadkowo uderzył poprzedni automat kijem baseballowym. Niech się pani głośno nie dziwi - poradził, widząc, że dziewczyna chce zapytać, jak można przypadkiem rozwalić dystrybutor kijem.

- Tak więc sama pani widzi, że nie możemy poprosić ludzi z tej firmy, żeby przysłali nam trzeci automat. Nie potrafiliby pojąć, co stało się z dwoma poprzednimi.

- Rozumiem, co pan ma na myśli - zgodziła się Grace.

Garon podał jej lodowato zimny napój. Piła łąpczywie. - Och, jest pyszny - westchnęła. - Dziękuję.

- Mogłaś mi powiedzieć, że źle się czujesz - upomniał ją. Uśmiechnęła się do niego.

- Wówczas nie zabrałbyś mnie ze sobą.

Jego czarne oczy zabłysły. Grace oblała się rumieńcem.

Zmusił się, żeby odwrócić się do Mendosy, i opowiedział mu o świadku, którego Marquez odnalazł w San Antonio.

- Nazywa się Sheldon - powiedział. - Mieszkał nieopodal domu zamordowanej dziewczynki. Rozmawiał z nim kilku oficerów śledczych tamtejszego wydziału zabójstw. Potem odwiedziłem go z Marquezem i wtedy przypomniał sobie, że widział podejrzanego.

Szef policji skrzywił się.

- My mieliśmy rzekomego naocznego świadka, niejakiego Homera Richa. Ale nasz ówczesny szef twierdził, że gość jest zbzikowany, i nie

chciał nam pozwolić, żebyśmy go przesłuchali. Ten świadek też był sąsiadem ofiary. - Mendosa się nachmurzył.

- Ale już tu nie mieszka. Niedługo po tym zabójstwie wyprowadził się z miasta.

Garon zmarszczył brwi.

- Podejrzewaliście go?

- Nie - odparł Mendosa. - Facet był przystojny i dobrze zarabiał, chociaż nigdy nie udało mi się ustalić w jaki sposób. Miał gdzieś narzeczoną. Nikt z miejscowych nigdy jej nie widział. Nie był w kręgu podejrzanych. W istocie, kiedy rodzina dziewczynki stwierdziła jej zaginięcie, przyłączył się do poszukiwań. Wydrukował nawet na swój koszt kilka ulotek.

Garon robił notatki i nie skomentował tych słów. Wiedział jednak doskonale, że czasem mordercy biorą udział w poszukiwaniach swoich ofiar, a nawet rozmawiają z policjantami o postępach śledztwa. Jednak nie zamierzał tego mówić Mendosie, aby nie wprawić go w zakłopotanie. Szef tutejszej policji i tak już ledwo sobie radził z nawałem obowiązków.

- Wie pan, dokąd ten Rich się przeniósł? - spytał Garon.

Mendosa potrząsnął głową.

- Nie wiem, czy komukolwiek to zdradził. Mógłby pan zapytać Eda Reemsa, który wynajmował mu dom. - Podyktował Garonowi adres. - On uwielbia gadać z ludźmi. Jeżeli coś wie, powie panu.

- Dziękuję - rzekł z wdzięcznością Grier.

- Bardzo proszę. Jeśli będzie pan potrzebował mojej pomocy, proszę dać mi znać. Gdy w grę wchodzi morderstwo, jesteśmy w jednej drużynie.

Z radością odgrzebałbym i rozwiązał tę umorzona sprawę. Ona wciąż nie daje mi spokoju. Zajmuję się tutaj wszystkim, mając pod ręką tylko jednego policjanta na niepełnym etacie. Kiedy zdarza się coś poważnego, muszę wzywać do pomocy ludzi z wydziału szeryfa okręgowego. Po prostu brakuje nam środków do przeprowadzenia przyzwoitego śledztwa. Mam nadzieję, że złapie pan tego drania.

- Też na to liczę, podobnie jak połowa FBI - odparł Garon. - Zabójcy dzieci nie budzą niczyjej sympatii, nawet wśród więźniów.

- Amen. W razie czego niech pan do mnie dzwoni.

- Będę pamiętał. Dzięki - rzekł z uśmiechem Garon.

Grace dopiła colę w momencie, gdy podjechali do niewielkiego domku, stojącego przy cichej uliczce tuż poza granicami Palo Verde.

- Zostań tu - polecił jej Garon. - Niedługo wrócę.

Wysiadł z samochodu i wszedł po schodkach na ganek. Drzwi się otworzyły. Pokazał swoją legitymację i po chwili wszedł do środka.

Grace zastanawiała się, czego Garon się tam dowie. Wzmianka o czerwonej wstążce wstrząsnęła nią. Z pewnością zaczął coś podejrzewać. Nie chciała, żeby się dowiedział, dlaczego tak ją to zdenerwowało. Jest na to jeszcze za wcześnie. O wiele za wcześnie.

Po niespełna pięciu minutach wrócił nachmurzony i wszedł do samochodu.

- Nie zastałeś go?

Wziął głęboki oddech.

- Zostałem - odparł, wpatrując się w dom.

- Powiedział, że Rich nie podał mu adresu do korespondencji. Co więcej, zostawił meble oraz zakupione przez siebie urządzenia. Musiało mu być diabelnie spieszo, żeby wynieść się z miasta.

Grace przygryzła wargę, po czym wypowiedziała to, o czym oboje myśleli:

- A jeśli on nie był tylko świadkiem? Jeśli sam popełnił to morderstwo?

- Dokładnie to samo przychodzi mi do głowy.

- Uruchomił silnik i wrzucił bieg. - Zostawię cię w biurze szefa policji. Muszę popytać ludzi w sąsiedztwie.

- Czy nie mogłabym ci pomóc? Uśmiechnął się łagodnie.

- Nie masz odpowiednich kwalifikacji - odparł.

- Poproszę o pomoc Mendosę. Może dopisze nam szczęście i uda nam się czegoś dowiedzieć.

Jednak przez cztery godziny nie znaleźli ani jednego świadka, który wiedziałby o czymkolwiek związanym z tą zbrodnią.

- Posłuchaj - zwrócił się Garon do Mendosy.

- Wiem, że zapewne to niewiele da, ale chciałbym przysłać tu zespół kryminologów, żeby przeczesał dom, w którym mieszkał Rich. Może przy odrobinie szczęścia na coś natrafimy. Moglibyśmy znaleźć ślady krwi, nawet gdyby cały dom został wcześniej wmyty do czysta środkami dezynfekującymi.

- Powiadomię właściciela domu i lokatorów - obiecał Mendosa. - Może umówmy się na poniedziałek rano.

- Doskonale - rzekł Garon, ściskając mu dłoń na pożegnanie. - Dziękuję za pomoc.

- Ja tobie również - odparł z uśmiechem Mendosa. - Żaden policjant nie lubi, kiedy morderca mu się wymyka.

- Właśnie.

Grace była zafascynowana, gdy usłyszała, że mordercy nie są w stanie całkowicie wytrzeć plam krwi swoich ofiar.

Przez całą drogę powrotną do Jacobsville wypytywała Garona o wykrywanie plam krwi, o sposoby zabezpieczania miejsc zbrodni oraz o to, co laboratorium FBI potrafi wywnioskować z analizy pojedynczego ludzkiego włosa.

- To całkiem jak w serialu „Star Trek”! - zawołała.

Garon zachichotał.

- Owszem. Nasze najnowocześniejsze urządzenia ogromnie nam pomagają w tropieniu przestępstw.

- Gdyby nie wiązały się z tym tak drastyczne i krwawe okoliczności, myślę, że polubiłabym pracę w organach ścigania - oznajmiła.

Nie potrafił wyobrazić sobie Grace na miejscu zbrodni. Jednak z drugiej strony, przecież przepędziła kojota ze swojego podwórza za pomocą zwykłej gałęzi. Miała silny charakter. Podziwiał odważne, zdecydowane kobiety. Ale wiedział, że Grace coś przed nim ukrywa, i zastanawiał się co takiego.

- Dziękuję, że wzięłaś mnie ze sobą - powiedziała, gdy zatrzymał się przed jej domem. - Spędziłam naprawdę miły dzień.

- Ja również - przyznał. Odprowadził ją na ganek. - Jesteś świetnym kompanem.

- Ponieważ panna Turner wyjechała, będziesz musiał sam zrobić sobie kolację - powiedziała nagle i popatrzyła na niego. - Mógłbyś zjeść u mnie. Mogę usmażyć befsztyk z ziemniakami.

Zawahał się. Był głodny, a nie miał ochoty na gotowanie.

- Na pewno jesteś zmęczona... - zaczął z poczuciem winy.

Potrząsnęła głową.

- Lubię gotować.

- A więc dobrze - zgodził się z uśmiechem. - O której?

- O siódmej?

- Świetnie, przyjdę.

Odjechał, a Grace wbiegła do domu i od razu skierowała się do kuchni. Czowała się jak uszczęśliwione dziecko w sklepie z zabawkami. Nigdy dotąd towarzystwo mężczyzny nie sprawiało jej takiej przyjemności. A to dopiero początek.

Po zjedzeniu kolacji długo jeszcze siedzieli w kuchni, rozmawiając o rozmaitych sprawach. Zgadzała się ze sobą co do wielu kwestii. Mieli podobne poglądy na politykę i religię, czyli dwie dziedziny uważane powszechnie za budzące najwięcej kontrowersji.

- Przyrządzasz doskonałą kawę - zauważył Garon, dopijając drugą filiżankę.

- To bezkofeinowa - wyznała. - Źle znoszę kofeinę.

- Mimo to jest bardzo dobra. Spojrzał na zegarek.

- Chętnie jeszcze bym został, ale jutro wcześnie rano muszę odebrać z lotniska agenta, który przylatuje do nas na wizytację. Zabawi w naszym biurze przez parę dni, żeby przeprowadzić inspekcję.

- Inspekcję? Uśmiechnął się.

- Aby się upewnić, że działamy skutecznie.

- Mogłabym wystawić ci pochlebne zaświadczenie - rzuciła beztrasko.

- Obawiam się, że będzie potrzebne coś więcej. - Wyszedł na frontowy ganek, a potem na podwórze, i spojrział w niebo. - Księżyc ma aureolę. Myślę, że jutro spadnie deszcz.

- Skąd taki miastowy facet jak ty może to wiedzieć? - spytała z podziwem.

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Dorastałem na ranczo w zachodnim Teksasie - odparł. - Mieliliśmy tam starego kowboja - wyglądał na osiemdziesiąt lat - który niegdyś był członkiem oddziału teksaskich komandosów. Potrafił wyczuć deszcz na kilometr, trafnie przepowiedzieć pogodę, opatrzyć ranę. Godzinami się działem i słuchałem jego opowieści o tym, jak łapał rabusiów napadających na banki. Przypuszczam, że właśnie dlatego zostałem stróżem prawa. Mówił o tej profesji jak o czymś świętym. I myślę, że w pewnym sensie ona taka jest. Występujemy w imieniu ofiar, które same nie mogą już przemówić.

- Sądzisz, że złapiesz tego zabójcę? - spytała.

- Mam nadzieję - odrzekł, przysuwając się do niej. - Ten człowiek to nie żaden amator. Jest sprytny. Ale jednak zostawia ślady, które go obciążą, jeżeli kiedykolwiek dopisze nam szczęście i zdołamy go wsadzić za kratki.

- Mój dziadek zwykł mawiać, że większość przestępców to głupcy - przypomniała sobie.

- Mówił, że pewien mężczyzna, którego aresztował, zabił człowieka, a potem zostawił w jego kieszeni swoją wizytówkę. Opowiadał też o złodzieju, który obrabował bank i wyszedł niewłaściwymi drzwiami, potknął się o czyjś psa, który tam warował, po czym upadł, uderzył głową o krawężnik i stracił przytomność.

Garon zachichotał.

- My też znamy podobne przypadki - zapewnił ją. - Ale niektórych przestępców nie tak łatwo schwytać.

- Dopadniesz go - rzekła z niewzruszoną pewnością, uśmiechając się do Garona.

Przysunął się i delikatnie wziął ją w ramiona.

- Dodajesz mi wiary w siebie - szepnął cicho. - Ale nie wiem, czy jestem ciębie godny.

Odnalazła palcami guzik jego marynarki, nie patrząc na niego.

- Masz na myśli, że nie chcesz wiązać się z nikim na stałe. To mi nie przeszkadza. Ja również tego nie chcę.

- Pewnego dnia zapragniesz mieć dzieci... - zaczął.

Wzięła długi drżący oddech.

- Ja... nie mogę mieć dzieci.

- Co takiego?

To wyznanie sprawiło jej ból, ale byli już niemal przyjaciółmi i Garon powinien się o tym dowiedzieć - mogłoby się zdarzyć, że nawiążą bliższe stosunki. Zmusiła się, żeby spojrzeć na niego w świetle padającym z okna.

- W wieku dwunastu lat miałam... wypadek. Okropny wypadek. Pocięto mnie, zwłaszcza brzuch. Dlatego nie mogę mieć dzieci.

Ogarnął go żal i współczucie dla niej. Wiedział bez zadawania pytań, że gdyby wyszła za męża, chciałyby mieć dzieci. Na tę myśl poczuł w sobie dziwną pustkę, choć nie potrafił określić dlaczego.

- Przykro mi - powiedział.

- Mnie również - odparła posepnie. - Uwielbiam dzieci. - Poszukała jego spojrzenia i dodała: - Ale ty będziesz mógł je mieć, jeśli kiedyś się ożenisz.

Jego twarz stężała.

- Nie chcę się żenić.

Powiedział to tak zdecydowanie, że Grace domyśliła się, że niegdyś przeżył coś okropnego, o czym nigdy nie rozmawiał. Wiedziała, że podobnie jak ona, Garon również ma swoje mroczne sekrety. Lecz jej ponura przeszłość niewątpliwie bardziej zrujnowała jej życie, niż to było w jego wypadku.

- Będę o tym pamiętać - przyrzekła i w jej oczach pojawił się błysk. - Ale jesteś bardzo daleko na mojej liście potencjalnych kandydatów na męża. Niemal na samym końcu!

Uniósł wysoko brwi.

- No, to mi się podoba!

- Mogę mieć każdego mężczyznę, którego zapragnę - oznajmiła. - Dowiedziałam się o tym z telewizji. Nowe perfumy powodują, że mężczyźni wyskakują do kobiety z samolotów, na spadochronach, z bukietami róż i pierścionkami zaręczynowymi z wielkimi diamentami. Wystarczy, że skropię się odrobiną tych perfum.

- A co będzie, jeśli złowisz niewłaściwego mężczyznę?

- To się nie może zdarzyć. Facet w reklamie był oszałamiający.

- Nie dostanie ci się facet z reklamy - zauważył.

- Skąd wiesz? Mogą ogłosić jakiś konkurs i przeznaczyć go na nagrodę - zachichotała. - Nie jesteś rozczarowany?

Potrząsnął głową.

- Nie zależy mi na mężczyźnie z różami i diamentami.

Grace się roześmiała.

- Chodziło mi o to, czy nie jesteś rozczarowany tym, że nie znajdujesz się na szczycie mojej listy!

- Kochanie, gdybym chciał dostać się na szczyt twojej listy - powiedział cicho głębokim, zmysłowym głosem - nie potrzebowałbym do tego róż.

- Przyciągnął jej głowę, tak że jej usta znalazły się tuż przy jego wargach. - Wystarczyłoby tylko to - wyszeptał i zmiażdżył jej usta namiętym pocałunkiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Grace z cichym westchnieniem wtuliła się w twarde, muskularne ciało Garona. Zaczynała przyzwyczajać się do tego, że czuje go przy sobie i smakuje jego pocałunki. Dzięki temu wcale jej nie przerażał. Już nie. Całym sercem pragnęła być blisko niego.

To było oczywiste, lecz zarazem kazało mu być ostrożnym. Ona nie była tak światowa i zblazowana jak on. Mógłby wziąć ją, a potem odejść, nawet się nie odwracając. Mnóstwo kobiet traktowało to podobnie. Żadnych zobowiązań, żadnych komplikacji. Ale Grace będzie oczekiwała, że ją poślubi.

To słowo miało gorzki smak. Garon uniósł głowę.

Ona promieniała szczęściem. Radość lśniła w jej oczach, a na nabrzmiątych wargach widniał uśmiech. Poczul się jak ostatni łajdak. Nie powinien był jej w ogóle tknąć. Ale w swojej niewinności była bardziej pociągająca niż wszystkie te doświadczone kobiety.

Czubkami palców dotknął jej policzka.

- W poniedziałek ten inspektor postawi wszystkich na baczność, więc wezmę sobie wolne popołudnie i pojedę odebrać dostawę paszy dla mojego bydła. Chcesz pojechać ze mną?

- Tak!

Zaśmiał się, ubawiony jej entuzjazmem. Do diabła z obiekcjami! Dobrze mu w jej towarzystwie. Nie musi zaraz martwić się o przyszłość. Będzie, co będzie.

Pochylił się i znów ją pocałował, tym razem bardzo delikatnie.

- A zatem do zobaczenia w poniedziałek. Dobranoc.

- Dobranoc. Spędziłam z tobą naprawdę miły dzień.

Uśmiechnął się.

- Ja z tobą również.

Weszła do domu. Czowała się jak w siódmym niebie. Życie wydało jej się raptem cudowne.

W poniedziałek wczesnym rankiem pojechała do miasta, żeby kupić kilka ubrań, które byłyby młodsze od niej. Po uiszczeniu wszystkich opłat zostało jej trochę gotówki na rachunku bieżącym. Chciała znaleźć coś ładnego, w czym spodobałaby się Garonowi. Zatrzymała się przed restauracją Barbary, żeby poprosić ją o radę.

Barbara skierowała ją do wąskiego pasażu handlowego, gdzie mieścił się sklep z używaną markową odzieżą. Grace znalazła tam kilka ładnych ubrań wyglądających jak nowe i niedrogich. Wyszła ze sklepu z dwoma pełnymi torbami oraz przewieszonym przez ramię kaszmirowym płaszczem z futrzanym kołnierzem. Miała ochotę wzlecieć w powietrze z radości.

- Grace - rzekła do niej łagodnie Barbara. -Wiesz, że cieszę się z twojego szczęścia. Ale proszę, nie wiąż się w zaślepieniu z tym mężczyzną. On nie jest z rodzaju tych skorych do ożenku. I na dodatek nie pasuje też do naszego małego miasteczka.

- To samo mówiono o jego bracie - przypomniała uśmiechnięta Grace - a spójrz teraz na niego!

Barbara nie odwzajemniła uśmiechu.

- Po prostu... trochę zwolnij, dobrze?

- Niepotrzebnie się o mnie zamartwiasz - powiedziała Grace i objęła przyjaciółkę. - Jestem taka szczęśliwa! Nigdy w życiu nie byłam szczęśliwsza - dodała szeptem.

Barbara uścisnęła Grace i powiedziała ze stanowczą miną:

- A więc bądź szczęśliwa. Ale jeśli on cię skrzywdzi, sprawię, że tego pożałuje. Przysięgam, że tak zrobię.

- Przestań. Jestem dorosłą kobietą.

- Wiem - przyznała Barbara bez uśmiechu. Garon Grier to człowiek dojrzały, obyty w świecie, natomiast Grace jest kompletnie niedoświadczona i naiwna. Byłoby bardzo źle, gdyby Garon rozdrapał jej stare rany. Lecz Barbara wiedziała, że nie zdoła odwieść przyjaciółki od tego fatalnego związku. Będzie mogła jedynie próbować wesprzeć Grace, gdy wydarzy się katastrofa.

Grace kupiła wyszywane džinsy, pasującą do nich białą koszulę z długimi rękawami oraz džinsową kurtkę. Długie włosy rozpuściła na ramiona, ponieważ to się podobało Garonowi. Przyjrzała się sobie uważnie w lustrze i poczuła się usatysfakcjonowana swoim wyglądem.

Ogarnęła ją błogość na wspomnienie tego, jak czuły i delikatny potrafił być Garon. Była pewna, że zakochała się w nim. A takie głębokie i cudowne uczucie niewątpliwie musi zostać odwzajemnione.

Grier wjechał na jej podjazd punktualnie o pierwszej. Grace, promieniejąc z radości, wybiegła z domu, aby go powitać. Przyjechał jednym z aut używanych na ranchu - czarną furgonetką z chromowanym wykończeniem.

Wysiadł i nawet nie próbował powstrzymać przemożnego impulsu, by wziąć Grace w ramiona. Ta dziewczyna sprawiła, że znów czuł się

młody, pełen optymizmu i nadziei. Dzięki niej stał się ponownie człowiekiem, jakim był, zanim przeżyta tragedia zasnuła jego świat czarnym woalem smutku.

Grace objęła go, czując, że nigdy dotąd nikt nie był jej tak bliski jak on. Było prawdziwym cudem, że mogła odczuwać radość, pozwalając, by mężczyzna dotykał jej, obejmował ją i całował. Zwróciła ku niemu twarz, by mu o tym powiedzieć, lecz wargi Griera natychmiast przywarły do jej ust. Rozchyliła je. Wtuliła się w niego mocno. Miała wrażenie, że szybuje w przestworzach. Przepelniała ją radość, jakby na zamarzniętej rzece jej emocji nagle puściły lody.

Po chwili Garon zmusił się, by odsunąć Grace od siebie. Niemal drżał z pragnienia, aby wnieść ją do domu. Jednak wiedział, że nie może tego zrobić. Jeszcze na to za wcześnie.

- Jesteś gotowa do wyjścia? - spytał z uśmiechem.

- Tylko zamknę drzwi na klucz - odparła bez tchu, a jej szare oczy błyszczały ze szczęścia.

Przyglądał się, jak wchodziła po schodkach. Dziwne, zbiegła po nich pędem, natomiast teraz wyglądało na to, że wchodzi z wysiłkiem. Zastanowił się nad przyczyną.

Odczytała to pytanie z jego twarzy. Czowała przeszywający ból serca, lecz nie mogła pozwolić, żeby Garon to zauważył. Zmusiła się więc do uśmiechu.

- Widzisz, co ze mną robisz? - rzuciła szelmowskim tonem. - Ze szczęścia brak mi tchu.

Wyraz podejrzliwości na twarzy Garona zastąpiła duma. Uśmiechnął się z satysfakcją.

Uśmiechnięta i szczęśliwa weszła za nim do sklepu z nasionami i paszami, jednego z dwóch w Jacobsville. Właściciel, stary Jack Hadley, który miał go od czasu, gdy dziadek Grace był jeszcze młodzieńcem, uśmiechnął się do niej dobrotliwie.

- Miło panią widzieć, panno Grace. Widzę, że doszła już pani do siebie - powiedział. - I że jest pani w miłym towarzystwie - dodał i mrugnął porozumiewawczo do Garona.

Grier poruszył się niespokojnie, najwyraźniej zmieszany dwuznacznym spojrzeniem starca.

- Mam tutaj listę rzeczy, które chcę kupić - rzekł, podając ją Hadleyowi.

Właściciel sklepu spojrział na kartkę.

- No cóż, te nasiona sprowadzam na specjalne zamówienie. Mogę je dostarczyć w przyszłym tygodniu.

- Zgoda - odparł Garon.

- Resztę rzeczy mam na składzie. Jake! - wrzasnął i jego nastoletni pomocnik przybiegł z zaplecza sklepu. - Przynieś paszę dla pana Giera i załaduj ją na jego ciężarówkę, dobrze?

- Już się robi - odparł chłopak i uśmiechnął się do Grace. - Ładnie pani dzisiaj wygląda - powiedział i zaczerwienił się.

- Dziękuję, Jake - rzekła i odpowiedziała zdawkowym uśmiechem.

Garon podszedł do niej i rzucił gniewne spojrzenie chłopcu, który błyskawicznie się ulotnił.

Grace była skonfundowana wyrazem twarzy Garona. Gdy to spostrzegł, jego czarne oczy zapłonęły osobliwym namiętym blaskiem.

Wpatrzył się w nią tak intensywnie, że w końcu zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

Ujął jej drobną rękę w swoją dużą dłoń i ścisnął mocno, jak gdyby podkreślając to, co mówiło jego spojrzenie. Przeniknął ją radosny dreszcz, który niemal odebrał jej oddech. Odwzajemniła uścisk dłoni Garona i poczuła, że jego palce powoli, zmysłowo splatają się z jej palcami.

- Nie zapomnij o nawozie sztucznym, Jake! - zawołał pan Hadley za chłopcem.

Jego głos rozwiął czar i Grace cofnęła się o krok, śmiejąc się nerwowo z napięcia, które nadal nie opuściło ich obojga.

Garon się nie odezwał, lecz nie potrafił ukryć swoich uczuć. Był zazdrosny o licealistę! Zastanawiał się, co u diabła, się z nim dzieje!

W ciągu następnych kilku dni Garon wpadł kilka razy do Grace - najpierw na okazjonalny posiłek, a później by obejrzeć wieczorem filmy, które wypożyczył. Stan zdrowia ojca panny Turner się poprawił i gospodyni miała wrócić najpóźniej za tydzień.

Garon i Grace siedzieli razem na sofie i oglądali kryminał z wypożyczalni; Garon nie potrafił skupić się na filmie. Wciąż zerkał na skromny półokrągły dekolt niebieskiej bluzki Grace. Tym razem dla odmiany włożyła długą dzinsową spódnicę. Jej spadające na ramiona włosy pachniały delikatnie różami.

- Stracisz wątek - ostrzegła go, spoglądając nań z uśmiechem.

Odwrócił się do niej i wymownie ścisnął jej ramię. Pojęła, o co mu chodzi, i przysunęła się bliżej. Miał na sobie batystową koszulę i dzinsy. Jego buty leżały na podłodze obok pantofli Grace. Posadził ją sobie na kolanach, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

- Relacje między dwojgiem ludzi nie stoją w miejscu, Grace - powiedział cicho, zaglądając w jej wielkie szare oczy. - Albo pójdziemy naprzód, albo przestańmy się spotykać. Jestem za stary, żeby zadowolić się platonicznym związkiem.

Gwałtownie poderwała głowę. A więc miała rację. Garona interesuje długotrwały związek. Pragnie zatrzymać ją przy sobie!

Powiodła wolno palcami po jego zaciśniętych wargach.

- Nie chcę przestać się z tobą spotykać - wyszeptała, aby rozwiać jego wątpliwości.

Obawiała się, o co Garon może ją poprosić. Kochała go. Była zafascynowana uczuciami, jakie w niej wzbudzał, gdy ją całował i tulił. Chciała poznać je wszystkie. Pragnęła wymazać z pamięci koszmarne wspomnienia i zastąpić je miłosnymi pieściami mężczyzny, któremu mogła powierzyć swoją niewinność. Uśmiechnęła się do niego.

Głęboko wciągnął powietrze.

- Nareszcie - wyszeptał, pochylając się nad nią. - Myślałem już, że oszaleję, zanim do tego dojdziemy!

Chciała zapytać, co ma na myśli, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Teraz nie całował jej ostrożnie i delikatnie, jak poprzednio. Był spragniony i gwałtowny. Z początku jego żarliwa namiętność przestraszyła ją tak, że zeszywniała.

Cofnął się natychmiast i zajrzał jej w oczy.

- Nie skrzywdzę cię - zapewnił ją. - Nie bój się. Znowu nieco się odprężyła.

- Wiem. To tylko...

Garon pamiętał o jej okropnym przeżyciu z dzieciństwa. Uśmiechnął się łagodnie i powiódł opuszką palca po jej ustach.

- Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi. Dam ci tyle rozkoszy, ile zdołasz przyjąć.

Mówiąc to, znowu pochylił się nad nią. Tym razem jego pocałunek był dłuższy, zmysłowy, celowo podniecający. Przesuwał dłonie wzdłuż jej boków. Grace poczuła, że dzieje się z nią coś nieoczekiwanego i niepojętego. Miała wrażenie, że traci panowanie nad swym ciałem, które płonęło, jakby Garon rozniecił w niej ogień. Pragnęła tego mężczyzny, jego dotyku i czułych pieszczot...

Ujął jej twarz w dłonie i długo wpatrywał się w szare oczy. Jej widok przenikał bolesnym zmysłowym dreszczem całe jego ciało. Zastanowił się, czy ona o tym wie, i doszedł do wniosku, że chyba nie. Jej traumatyczne przeżycia z przeszłości sprawiły, że seksualny pociąg do mężczyzny jest dla niej czymś w rodzaju udreki. Oczy zabłysły mu gniewnie, gdy pomyślał o tym, że faceci mogą kiedyś wykorzystać jej zainteresowanie, osiąść ją i skrzywdzić, ponieważ nie pojmą, jak strasznych rzeczy doznała. Nie mógł znieść myśli, że jakiś nieokrzesany mężczyzna wykorzysta Grace, by zaspokoić swe pożądanie, a potem porzuci ją, jeszcze bardziej zrozpaczoną i zranioną.

- O czym myślisz? - spytała go z ciekawością.

- O tym, jaka jesteś śliczna - odparł. Roześmiała się z zażenowaniem.

- Ja?

- Tak - rzekł z powagą.

- Ty.

Nachylił się i pocałował jej uśmiech - bardzo powoli, jak jeszcze nigdy w trakcie ich krótkiej znajomości. Delikatnie przyciągnął Grace do siebie i całował jej usta, a ona rozchyliła je. Ten nieśmiały gest wywołał w nim dreszcz czystego pożądania i wystawił na próbę jego opanowanie. Lecz Garon zdołał powściągnąć gwałtowną namiętność, nie chcąc przestraszyć Grace.

Gdy ich pocałunek trwał i stawał się coraz gorętszy, Garon poczuł, że Grace znowu zeszywniała, a potem rozluźniła się powoli i przywarła do niego. Jego dłonie przesunęły się w dół jej pleców. Przycisnął ją do siebie i poczuła przy swoim brzuchu dowód jego podniecenia.

Uniósł głowę i spojrzał w jej oczy, w których migotało pragnienie.
- Nie boisz się? - spytał cicho.

Nie mogła wydobyć głosu, ale pokręciła przecząco głową. Brakło jej sił, a w całym ciele czuła ból i gorące pulsowanie.

Garon odgadywał jej reakcję. Nie protestowała. Przeciwnie, przylgnęła do niego mocniej.

To jak spadanie w ogień, pomyślał, odszukując ponownie jej rozchylone usta i opanowując je najpierw wargami, a potem językiem. Zareagowała na to delikatne, lecz zmysłowe wtargnięcie, obejmując go tak mocno, że jej krótkie paznokcie wbiły mu się w ciało nawet przez koszulę.

Jeśli nawet rozważał wycofanie się, w jednej chwili porzucił te myśli. Od dawna nie miał kobiety. Nie potrafił się zatrzymać.

Wstał i nie przerywając pocałunku, schylił się i podniósł Grace z sofy. Poniósł ją korytarzem, szukając jakiegoś oświetlonego pokoju z podwójnym łóżkiem. W końcu znalazł, wszedł, kopnięciem zatrzaskał za

sobą drzwi i położył Grace na łóżku. W jego czarnych oczach płonęło pożądanie, gdy spoglądał na nią z wahaniem.

Grace była równie podniecona jak on i rozkoszowała się doznaniem i uczuciami, które w niej budził. W wieku prawie dwudziestu pięciu lat nigdy jeszcze nie miała kochanka. Pragnęła Garona. Pragnęła stać się w pełni kobietą dzięki temu mężczyźnie, którego kochała całym sercem. I powtarzała sobie, że jemu nie chodzi jedynie o seks, lecz o prawdziwy związek. A to niewątpliwie oznacza małżeństwo. Objęła go mocno.

Krew w jego żyłach była niczym żywy ogień.

Usiadł obok niej, lecz ona położyła dłoń na jego piersi i powstrzymała go delikatnie.

- Światło - wyszeptała. Garon zmarszczył brwi.

- Grace, nie przeszkadzają mi blizny - powiedział spokojnie. - Sam mam ich kilka.

Nie wiedziała, jak mu to wyjaśnić.

- Proszę cię... - rzekła błagalnie. Westchnął, ale bez gniewu. Pragnął ją widzieć, lecz zdawał sobie sprawę, że jej niewinność będzie dla niego największym problemem. Uśmiechnął się tylko, zgasił lampę, po czym nachylił się i przyciągnął Grace do siebie.

Pomyślała, że przeżywa dzięki niemu prawdziwą orgię zmysłów. Dotąd nie miała pojęcia, że jej ciało posiada aż tyle wrażliwych obszarów, które męskie usta i dłonie mogą doprowadzić do ekstazy. Jęknęła bezradnie, gdy Garon pocałował jej piersi. Rozsunęła nogi, a on położył się na niej. Zdumiała ją, jak łatwo ich ciała dopasowały się do siebie, gdy nie przeszkadzały im już ubrania, które z siebie zrzucili. Leżeli na świeżych, czystych prześcieradłach. Czują twarde, rozpalone namiętnością

ciało Garona i drżała coraz mocniej od narastającej dręczącej rozkoszy jego dotyku.

Kiedy zaczął ją pieścić ze śmiałą intymnością, zawahała się, przypomniawszy sobie przeżytą niegdyś grozę i cierpienie. Garon natychmiast znieruchomiał.

- Czy sprawiłem ci ból? - zapytał cicho.

Grace siłą woli wyparła z umysłu przykre wspomnienia.

- Nie - szepnęła, powracając do obecnej chwili. - Oczywiście, że nie sprawiłeś mi bólu. Nie przestawaj !

Zaśmiał się cicho i położył się przy niej.

- I nie sprawię - wyszeptał z wargami przy jej szyi. - Poruszaj się razem ze mną... Właśnie tak. Mocniej... !

Westchnęła i wygięła się w łuk, ogarnięta falą rozkoszy tak przemożnej, że pomyślała, że zemdleje. Krzyknęła i drżąc, przyciągnęła go do siebie.

- Podoba ci się to, prawda? - wyszeptał przy jej ustach. - Spróbujmy teraz tego...

Przenikały ją dreszcze narastającej rozkoszy.

- Och, tak, proszę - wydyszała.

Delikatnie kąsał jej wargi, a jego biodra zaczęły poruszać się w górę i w dół w szybkim, mocnym rytmie.

- Tak?

- Tak!

Zanurzył rękę we włosach Grace i mocno trzymał jej głowę, podczas gdy jego wargi miażdżyły w namiętym pocałunku jej rozchylone usta.

Drugą rękę podłożył pod jej biodra.

- Ja... umrę! - wyszeptała.

- Z rozkoszy... może... Och, tak! Grace! Grace! W górę! - Zadrżał, jęcząc z obłędnej ekstazy, gdy rytm stał się jeszcze gwałtowniejszy. - Teraz, kochana... Tak, tak... !

Poruszała się wraz z nim, obejmując go mocno i drżąc bezsilnie, gdy narosła w niej rozkosz tak potężna, że sądziła, iż straci przytomność. A potem, kiedy ekstaza stała się gorąca i słodka, wydawało się jej, że cudowniej już być nie może, ale nadeszła fala rozkoszy jeszcze wyższa i gorętsza. Rytm przyspieszył szaleńczo; Grace już nic nie widziała, nie słyszała, nie myślała. Wszeptała coś, sama nie wiedziała co. Jej ciało wznosiło się na wulkaniczny szczyt, a gdy go osiągnęło, wygięła się, wydając krótki, cichy krzyk najwyższej rozkoszy.

W tej samej chwili Garon uniósł jej biodra, również doznając szczytu ekstazy.

- Grace... - jęknął i pchnął mocno po raz ostatni, czując, jak zalewa go fala niewysłowionej rozkoszy.

Leżeli w ciemności, przytuleni i złani potem, w pełni zaspokojeni. Drżeli oboje, niezdolni wymówić nawet słowa.

Wieczność później Garon odsunął się ostrożnie od niej i przesunął dłoń od jej karku przez pełne piersi aż do płaskiego brzucha. Jego palce natrafiły na drobne szramy na jej gładkiej skórze.

- Mam bardzo wiele blizn - szepnęła.

- Ja także. To bez znaczenia. - Delikatnie musnął wargami jej usta. - Z nikim dotąd nie było mi tak dobrze - wyszeptał i objął ją mocno. - Grace, byłaś dziewicą, prawda? - zapytał po chwili.

Przestała oddychać. Zawahała się.

- No, tak - wydusiła w końcu. Formalnie rzecz biorąc, była to prawda.

- Przepraszam. Nie powinienem był tak stracić panowania nad sobą.

- Ja również straciłam panowanie - odparła.

- To nie to samo. Ja jestem bardziej doświadczony. - Odsunął się od niej z westchnieniem i rzucił: - Do diabła!

- Nie było ci... ze mną dobrze? - spytała z niepokojem.

Odwrócił się do niej i popatrzył na nią w mroku.

- Nie to miałem na myśli, Grace - powiedział.

- Chodzi o to, że cię wykorzystałem.

- Ależ skąd!

Położył delikatnie dłoń na jej brzuchu.

- Jesteś pewna, że nie możesz zajść w ciążę? - spytał zaniepokojony.

- Całkowicie pewna - rzekła. Wszyscy lekarze byli co do tego zgodni.

Garon umilkł. A więc nie musi się martwić o komplikacje związane z dzieckiem. Jednak nadal czuł się winny.

- Cieszę się, że to było z tobą - odezwała się, gdy jego milczenie zaczęło napawać ją lękiem.

Te słowa wcale nie poprawiły mu nastroju. Przynajmniej jej nie skrzywdziłem, pocieszył się. Choć z drugiej strony, zabrał jej coś, co być może chciała zachować dla ślubnego małżonka. Wiedział, że jest bardzo konserwatywna.

- Czy to dlatego, że myślałeś o niej? - spytała z nagłą zgrozą.

Przez moment sądził, że mówiła o jego przeszłości. Lecz zaraz uświadomił sobie, że przecież ona nic o niej wie.

- O Jaqui?! - wykrzyknął. - Ależ skąd!

Grace się odprężyła.

- To dobrze. Odetchnął głęboko.

- Muszę już iść.

- Już? - rzuciła przestraszona. Pochylił się i czule pocałował ją w czoło.

- Jak mi stale przypominasz, to jest mała miejscowość. Nie chcę, żeby ludzie zobaczyli mój samochód stojący na twoim podjeździe przez całą noc i zaczęli o nas plotkować.

- Miło, że o tym pomyślałeś - rzekła z uśmiechem wdzięczności.

Garon nic nie odpowiedział. Ubrał się w ciemnościach, czując się jak łajdak. Grace jest szlachetna, serdeczna i kochająca. Jej rozkosz, w którą runęła z nim na oślep, tylko pogłębiła w nim poczucie winy. Nie miał tej kobiecie nic do zaoferowania.

- Grace, czy rozumiesz, że ja nie szukam żony? - spytał cicho.

Przeszył ją ból. Była zaszokowana, lecz usiłowała tego nie okazać.

- Tak - odrzekła po chwili milczenia i jej opanowany głos niczego nie zdradził. Jej świat się walił, lecz musiała zachować pozorny spokój.

- Rozumiem.

Garon się skrzywił. Uświadomił sobie, że jeszcze wszystko pogorszył.

- Przyjdę do ciebie jutro po pracy - obiecał.

- Pomówimy o tym.

- Dobrze.

- A więc dobranoc.

- Dobranoc.

W jej głosie zabrzmiała rezygnacja.

Garon pragnął zostać, porozmawiać z nią, wyjaśnić. Lecz nie zdobył się na to. Obawiał się wszelkich związków. Nie powinien w ogóle tego zaczynać!

Wyszedł bez słowa. Jednak przez cały dzień dręczyło go wspomnienie ich wspólnej rozkoszy. Wiedział, że rozpoczął coś, czego nie może dokończyć. W pracy rozmyślał o Grace. Jej obraz migotał mu w umyśle jak błędny ognik, nie pozwalając zająć się papierkową robotą. Każda myśl o Grace przeszywała go bólem.

Gdy Garon wyszedł, wtuliła twarz w poduszkę i wybuchnęła płaczem. Jakaż była głupia! On wcale nie chce się z nią ożenić. Po prostu potrzebował seksu, a ona znalazła się pod ręką, żarliwie pragnąc bliskości. Oddała mu wszystko, co miała, lecz to nie wystarczyło, by zechciał ją za żonę.

Czuła się jak idiotka. Garon był przyzwyczajony do kobiet, które coś dają, a potem znikają - a nie do nieśmiałych dziewczyc, takich jak ona. Był wprawnym i doświadczonym kochankiem i przez wiele lat mieszkał w dużych miastach, gdzie łatwo o przygodny seks. Ona zaś z powodu swej tragicznej przeszłości wiodła życie na uboczu i nie wiedziała niemal nic o intymnych stosunkach. Naturalnie, że Garon nie chce jej za żonę! Dlaczego miałby się ożenić z kobietą, która ochoczo dała mu wszystko bez ślubu? Grace przeklinała swą słabość do Garona. Gdyby nie oddała mu się tak łatwo, gdyby zmusiła go, żeby trochę poczekał, być może on też by się w niej zakochał, tak jak ona w nim. Lecz teraz wszystko przepadło. Garon myśli, że jest taka sama jak wszystkie inne kobiety, które porzucał. Że jest

taka, jak ta Jaqui, która naśmiewała się z niej i powiedziała, że Garon nigdy się nią nie zainteresuje.

Zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki, aby zmyć z siebie zapach Garona. Jediną pozytywną stroną tego doświadczenia było to, że przekonała się, że potrafi być w pełni kobietą, a jej mroczna przeszłość nie zniszczyła jej doszczętnie. Być może jeśli spojrzy na to w ten spokojny, dojrzały sposób, zdoła zapomnieć, że mężczyzna, którego kocha całym sercem, szukał jedynie chwilowego zaspokojenia. Być może.

Garon wjechał na jej podwórze tuż po siódmej wieczorem. Grace wbrew postanowieniu, by więcej z nim nie rozmawiać, pobiegła otworzyć mu drzwi. Wyglądała, jakby przez całą noc nie spała. Garon pojmował, jak ona się czuje, gdyż sam również w nocy nie zmrużył oka i w ciągu dnia był otumaniony ze zmęczenia.

Otworzyła szeroko drzwi. Garon wszedł, zamknął je, po czym nie czekając ani chwili dłużej, wziął ją w ramiona i pocałował tak niecierpliwie i namiętnie, jakby nie widział jej od roku. Grace uległa mu bezwolnie. Podniósł ją i zaniósł do sypialni.

Tym razem było im ze sobą jeszcze lepiej - pełniej i bardziej intensywnie. Garon pokrywał pocałunkami całe jej ciało, od powiek do łydek, szepcząc przez cały czas zmysłowe, podniecające słowa, a ona słysząc je, oblewała się rumieńcem.

Kiedy podniecenie sięgnęło zenitu, pchnął ją na szczyt rozkoszy i upadł wraz z nią we wzbierające fale pulsującego, oślepiającego żaru namiętności. Krzyczała, gdy te fale przeszywały ją, a potem odpłynęły, pozostawiając ją drżącą, bezsilną i zaspokojoną, podczas gdy Garon tulił ją do siebie, usiłując odzyskać oddech.

- Zamierzałem zaprosić cię na kolację do restauracji - rzekł ze zdyszonym śmiechem.

Grace uśmiechnęła się i pocałowała go w muskularne ramię. Czowała ból w sercu, lecz miała nadzieję, że Garon nic nie zauważy.

- Jest nam razem coraz lepiej - szepnęła. Przyciągnął ją bliżej.

- Nie mogłem dziś pracować, bo przez cały czas myślałem o naszej poprzedniej nocy - wyznał po chwili. - Nie sądziłem, że może nam znów być równie dobrze - ale było.

Uniósł się na łokciu i popatrzył namiętnie na jej pełne piersi.

Delikatnie dotknął różowych sutków, świadomy okalających je niewielkich szram. Potem przesunął rękę w dół do jej płaskiego brzucha i zmarszczył brwi. Tam blizny były dziwnie regularne. Widywał ofiary wypadków i wiedział, jak strzaskane szkło może okaleczyć ludzkie ciało. Jednak te blizny wyglądały inaczej.

- Wiem, że są okropne - zaczęła Grace, błędnie pojmując jego badawcze spojrzenie.

Zaszokowany Garon zwrócił wzrok z powrotem na jej twarz.

- Są całkiem inne, niż sądziłem - powiedział. - Czy leżałaś długo w szpitalu?

Skinęła głową.

- Dwa tygodnie.

Przyciągnął jej rękę do swej piersi w okolicy mostka, gdzie miał grubą szramę.

- Czujesz? - spytał z uśmiechem. - To ślad po ciosie maczetą, który otrzymałem kilka lat temu, gdy odbijaliśmy zakładników. To się zdarzyło

poza granicami Stanów - dodał, widząc wyraz twarzy Grace. - Ja również leżałem przez kilka dni w szpitalu. Jak widzisz, oboje mamy blizny.

Odpowiedziała mu uśmiechem już znacznie mniej nieśmiałym. Dotknęła jego twarzy i powiodła po niej dłonią pieścizotliwym gestem. Miała wrażenie, że znalazła się poza czasem - w miejscu, gdzie może kochać i być kochana, może być normalną kobietą. Znow poczuła przypływ nadziei. Pociąga Garona, który nie potrafi się jej oprzeć. To musi coś znaczyć.

Poczuł spojrzenie Grace. Wiedział, że nie powinien ośmielać jej, by obdarzała go uczuciem. To się skończy katastrofą. Lecz rozkoszą napępiał go sposób, w jaki na niego patrzyła, oraz jej wstydlive pieścizoty. Uwielbiał jej żarliwą namiętność, gdy leżeli spleceni w miłosnym uścisku. Jak na kobietę z tak bolesnymi przeżyciami z przeszłości, dość łatwo pozbyła się zahamowań. Chciał wierzyć, że stało się to dzięki jego umiejętnościom. Z jej uśmiechu wyczytał, że potrafił dać rozkosz.

- A może jutro pójdziemy zjeść coś na mieście? - zaproponował.

- Masz na myśli lunch? - upewniła się. Garon skinął głową i dorzucił:

- Wstąpię potem do paru sklepów. Ten inspektor doskonale ocenił naszą pracę, więc szef powiedział, że w nagrodę mogę sobie wziąć wolny dzień.

- Bardzo się cieszę - rzekła z uśmiechem.

- Ja również. - Nachylił się i pocałował ją, a potem wstał, żeby się ubrać.

Grace przyglądała się z podziwem jego twardym mięśniom, a potem zaczęła się ubierać.

- Chciałbyś, żebym coś dla nas ugotowała? Garon z uśmiechem potrząsnął głową.

- Muszę jeszcze załatwić kilka telefonów i przejrzeć raporty. Zadzwoń do ciebie jutro rano.

Garon trzymał Grace za rękę, gdy weszli na lunch do restauracji Barbary. Inni goście uśmiechali się życzliwie do dziewczyny i przypatrywali mężczyźnie, z którym ją ostatnio widywano. Mówili między sobą, że skoro jest bratem tutejszego szefa policji, musi być porządny. Garon spostrzegł ich spojrzenia i poczuł się zakłopotany, lecz już posadzono ich oboje przy stoliku i po chwili gapie znaleźli sobie inne tematy do rozmowy.

Grace wprost promieniała z radości. Garon z przyjemnością skonstatował, że jest urocza, gdy się do niego uśmiecha.

Była dumna ze swych nowych strojów, które dzięki pomocy Barbary kupiła w sklepie z używaną odzieżą. Dziś miała na sobie zgrabną jasnyniebieską wełnianą sukienkę, która świetnie na niej leżała i podkreślała błękitne refleksy w szarych oczach. Wiele starań poświęciła też rano włosom, które ułożyła w twarzową fryzurę. Garon zauważył to i pochwalił jej dobry gust.

Po lunchu w drodze do sklepu z artykułami biurowymi znowu wzięli się za rękę. Uszczęśliwiona Grace uśmiechała się do mijanych znajomych. Ich baczne spojrzenia nadal wprawiały Garona w zakłopotanie. Zaczynał coraz bardziej żałować, że wpadł na pomysł tej eskapady - zwłaszcza gdy weszli do sklepu i kierownik zaczął przekomarzać się z Grace na temat jej towarzysza. Były to tylko niewinne żarciki, jednak nie spodobały się Garonowi. Toteż gdy wyszli ze sklepu, nie ujął już Grace za rękę.

Zirytowały go te spojrzenia i żartobliwe uwagi mieszkańców Jacobsville. Było mu z Grace cudownie w łóżku, lecz nie zamierzał z tego powodu się z nią żenić.

Pod koniec dnia z ciężkim sercem powziął więc decyzję, że nie będzie się już więcej spotykał z Grace sam na sam. Widziała w nim obiecującego kandydata na męża, ale on nie chciał się wiązać. I tak już popełnił wielki błąd, widując się z nią, choć wiedział, co ona do niego czuje. Nie miał jej nic do zaoferowania. Nie może się z nią ożenić. Jednak kiedy odprowadziwszy ją do domu, ujrzał uszczęśliwiony wyraz jej twarzy, nie zdobył się na to, aby powiedzieć, że z nią zrywa. Powiedział jedynie, że przez następne dwa tygodnie będzie bardzo zajęty, ale zadzwoni. W ten sposób po raz pierwszy jej skłamał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez następne dwa tygodnie Grace regularnie chodziła do swoich obydwu prac. Nie zadzwoniła do Garona ani on do niej. Jednak wciąż wspominała z upojeniem fizyczną rozkosz, którą ją obdarzał. Nocami tęskniła do niego. Gorąca namiętność Griera nauczyła ją, że w seksie jest coś więcej niż tylko ból i strach. Uwielbiała pieszczoty Garona. Był kochankiem doświadczonym i delikatnym. Za każdym razem, gdy powracała myślami do ich żarliwego miłosnego zbliżenia, niemal jęczała głośno z pragnienia, by doświadczyć go ponownie.

Doszły ją słuchy, że oddział, którym dowodził, wysłano w nagłym trybie poza granice stanu i długo nie było go w miasteczku. Jadąc do pracy, jedynie z rzadka widywała samochód Garona stojący przed jego domem. I wciąż nie dzwonił.

Panna Turner najwyraźniej już dawno wróciła z Austin, lecz również ani razu nie zatelefonowała. Grace nie miała pojęcia, że Garon polecił gospodyni, aby do niej nie dzwoniła. Powiedział jej, że zerwał znajomość z panną Carver i że nie powinna się z nią kontaktować, dopóki czas nie uleczy ran. Gdyby Grace o tym wiedziała, umarłaby z rozpaczy.

Lecz jeszcze gorsze niż nieobecność Garona były dobrotliwe plotki na jej temat, krążące po mieście. Ludzie byli zachwyceni, widząc, że Grace wreszcie znalazła mężczyznę, z którym spaceruje, promieniejąc ze szczęścia. Niektórzy starsi mieszkańcy Jacobsville pamiętali, co przytrafiło się jej w przeszłości. Oczywiście nie rozmawiali o tym, ale tym mocniej życzyli dziewczynie udanego związku z Garonem.

Tylko że Grace nie przebywała w towarzystwie Garona i w ogóle go nie widywała. Ilekroć ktoś pytał ją, dlaczego nie pokazują się publicznie razem, musiała uciekać się do wykrętu, że Garon ciężko pracuje nad pewną sprawą. Być może tak było, lecz w istocie nic o tym nie wiedziała.

Garon rzeczywiście pracował nad sprawą. Była to nadal ta sama sprawa zabójstwa dziewczynki. Odkąd przestał się spotykać z Grace, był poirytowany i zniecierpliwiony, gdyż wiedział, że poczuje się boleśnie zraniona, kiedy pojmie, że zakończył ich krótki związek. Dziwiło go, że jeszcze sobie tego nie uświadomiła. Od Casha dowiedział się, że Grace opowiada o jego ciężkiej pracy i tym tłumaczy fakt, że nie widuje się ich razem na mieście.

Zdał sobie sprawę, że nie zrozumiała przyczyn jego zachowania. Aby tak się stało, będzie musiał zrobić jakiś drastyczny krok, który sprawi jej ból.

Dlaczego nie pojęła jego wyraźnych intencji i nie zrezygnowała z mrzonek o ich wspólnym życiu. Skrzywił się w duchu na myśl, że dał jej mnóstwo powodów, by sądziła, że chce się z nią związać na zawsze. Była niewinna, a on ją uwiódł. Widywanie się z nią sprawiało mu przyjemność. Nawet teraz wspomnienie Grace w jego objęciach było nadal przemożne i nie dawało mu spokoju.

Jednak jeszcze potężniejsza od pożądania Grace była pamięć o tym, czym jest utrata ukochanej kobiety. Choć od tamtego czasu minęło już dziesięć lat, ból wciąż tkwił w nim mocno. Wiedział, że nie zniósłby go ponownie. Lepiej żyć wspomnieniami szczęśliwej przeszłości, niż po raz drugi wystawiać swoje serce na ryzyko cierpienia. Grace jest urocza i lubił ją, ale nie jest w typie, w którym zazwyczaj gustował. Pociągały go

kobiety agresywne, silne i pewne siebie, takie jak Jaqui. Cicha, uległa dziewczyna, niedorównująca mu intelektualnie, nie pasowała do jego świata.

Pozwolił sobie na przelotny romans z Grace, lecz teraz musi położyć kres fantazjom i uświadomić jej, że w jego życiu nie ma dla niej miejsca. Za nic nie chciałby jej zranić, ale powinna zrozumieć, że nie interesuje go małżeństwo. Ma trzydzieści sześć lat i jest samotny. Z pewnością Grace zdaje sobie sprawę, że nieżonaci mężczyźni w tym wieku są zaprzysięgłymi kawalerami.

- Czy coś ci się stało? - zapytał go w pracy jeden z kolegów.

Garon zmusił się do uśmiechu.

- Nie. Po prostu rozmyślałem nad naszym śledztwem.

- Czy powiodło ci się w Palo Verde?

To przypomniało Garonowi, że był tam z Grace, i to wspomnienie go zabolalo.

- Nie bardzo - odparł. - Ale tamtejszy szef policji przesłuchuje w związku z tą sprawą kilka osób i może odnajdzie tego świadka.

- Oby tak się stało.

Garon znów zajął się pracą, przyrzekając sobie w duchu, że w ten weekend rozmówi się szczerze z Grace i da jej poznać raz na zawsze, że nie jest nią zainteresowany.

Grace zdawała sobie sprawę, że Garon jej unika. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Jeszcze niedawno wydawał się równie zaangażowany jak ona. Lecz potem zniknął i nie raczył nawet zadzwonić. Żaden człowiek nie może być aż tak zajęty. Nie, Garon nie jest zavalony pracą, tylko usiłuje się jej pozbyć, nie mówiąc tego prosto w oczy.

Powinna była zrozumieć, że mężczyzna jego pokroju nie zaangażuje się na serio w związek z małomiasteczkową panną, która nawet nie skończyła college'u. Gdyby chciał związać się z nią na stałe, nie poszedłby na przyjęcie u ciotki Jaqui. Ta kobieta niewątpliwie go pociągała. Była podobnie jak on obyta w świecie i przebojowa - i z pewnością niezainteresowana małżeństwem. Prawdopodobnie nawet nie chce mieć dzieci...

Dzieci! Grace położyła dłoń na swym płaskim brzuchu i poczuła bezbrzeżny smutek. Powiedziała Garonowi, że nie może mieć dzieci. Czy to dlatego przestał się z nią spotykać? Wcześniej był nią wyraźnie zainteresowany.

Przygryzła wargę, a w oczach zapiekły ją łzy. To wszystko wyjaśniało. Garon czuł, że czas upływa, i rozmyślał o założeniu rodziny. Lecz w swych planach nie brał jej pod uwagę, gdyż ona nie może dać mu dziecka. Właśnie dlatego jej unika. Nie chce jej zranić, ale wie, że jest bezpłodna. Tak, orzekła Grace, to na pewno jest powód, że nawet do niej nie zadzwonił.

Usiadła w głębokim fotelu. Z oczu popłynęły jej gorzkie łzy. Życie całkowicie ją zawiodło i oszukało. Miała koszmarne dzieciństwo, a teraz musi znosić upokorzenie bycia nie w pełni wartościową kobietą. Powinna zacząć przywykać do samotności, gdyż nic innego jej już nie czeka. Żaden mężczyzna nie pojmie za żonę kogoś, kto nie może mieć dzieci. Powinna była dawno to zrozumieć!

W końcu wstała, otarła łzy i poszła do kuchni, by zaparzyć dzbanek kawy. Jej krawiecki projekt był już niemal gotowy. Musi skupić się na nim i przestać budować zamki na piasku. Zapomni o Garonie i o swoich

mrzonkach. Już wcześniej dowiodła, że potrafi przetrwać najokropniejszą tragedię. Musi tylko dojść do równowagi i przestać płakać nad rozlanym mlekiem.

W dzienniku z San Antonio Grace znalazła artykuł o niedawno zamordowanej małej dziewczynce i przeczytała go z bolesnym skurczem serca. Ofiara była w wieku zaledwie dziesięciu lat, miała długie jasne włosy i błękitne oczy. W dzieciństwie Grace też miała długie włosy i jasnoniebieskie oczy. Przeniknął ją zimny dreszcz. Usłyszała od kogoś, że dziewczynka zabita w Palo Verde także była blondynką.

Według organów ścigania ten sam morderca uderzył trzykrotnie na obszarze Teksasu: w Palo Verde, w Del Rio i teraz na przedmieściach San Antonio. Starannie wybierał ofiary, działał metodycznie, inteligentnie, nie zostawiając na miejscu zbrodni żadnych śladów. W artykule wspomniano, że wysłał do lokalnej gazety napisany na komputerze list, w którym przyznawał się do dwunastu zabójstw na terenie trzech stanów i zachęcał policję, by go schwytała. Stwierdził w nim również, iż wie, że do śledztwa zaangażowano specjalistów behawioralnych z FBI, aby sporządzili psychologiczny profil zabójcy, lecz to im w niczym nie pomoże, gdyż jest od nich bystrzejszy. Obiecał też, że będą kolejne ofiary.

Grace odłożyła gazetę i powzięła trudną decyzję. Nie była pewna, czy Garon zdaje sobie sprawę, że ten seryjny morderca wybiera bardzo określony typ ofiar. Ona jedna mogła dostarczyć informacji, o której nie wiedział nikt inny. I pamiętała wypadek znany jedynie garstce mieszkańców Jacobsville. To, co miała do powiedzenia, mogłoby pomóc Grierowi w schwytaniu zabójcy. Już i tak nazbyt długo ukrywała się w cieniu. Nie może pozwolić, by następne niewinne dziecko straciło życie.

Zatelefonowała do Garona, lecz usłyszała tylko automatyczną sekretarkę, więc pojechała do niego. Dochodziła dopiero siódma wieczorem; samochód stał na podjeździe, toteż Garon niewątpliwie był w domu.

Weszła powoli po schodkach i nacisnęła guzik dzwonka.

Przez chwilę panowała cisza. Potem usłyszała kroki, stłumione przekleństwo i drzwi się otwały.

Ujrzała Garona - lecz nie tego, który jeszcze tak niedawno pałał do niej żarliwą namiętnością. Teraz stał przed nią zimny i obojętny mężczyzna. Zmierzył ją gniewnym wzrokiem, w którym wyczytała nienawiść.

- Przepraszam za najście - zaczęła - ale muszę koniecznie z tobą porozmawiać.

- Nie pojmujesz wyraźnych aluzji, co, Grace? - rzucił oziębło. - Staralem się dać ci to do zrozumienia możliwie delikatnie, lecz ty jesteś uparta i nachalna. Powiem więc wprost: nie chcę się z tobą widywać i nie chcę żadnych kontaktów. Nie dzwoń do mnie i nie przychodź tu więcej.

Zamrugła bezradnie. Jego ostre słowa były niczym ciosy sztyletu.

- Słucham... słucham? - wyjąkała wstrząśnięta.

- Szukasz stałego związku. Ja nie. Nie chcę wiązać się na dłużej z nikim, a zwłaszcza z kimś takim jak ty.

- Co masz na myśli... ?

- Jesteś małomiasteczkową panną, pospolitą i niewykształconą - rzekł twardo, zmuszając się do wypowiedzenia tych słów i jednocześnie nienawidząc siebie za to. - Nic nas nie łączy oprócz fizycznego pożądania,

które szybko mija. Potrzebujesz jakiegoś kowboja, który chce wziąć za żonę kurę domową, żeby prowadziła mu gospodarstwo.

Grace oblała się rumieńcem.

- Rozumiem.

Garon czuł się jak ostatni łajdak, więc zachowywał się jeszcze bardziej wrogo niż zwykle.

- Potrzebowałeś pomocy, a ja zrobiłem dla ciebie tyle, ile byłem w stanie. Ale zrobiłbym to dla każdego. Oczekiwałaś więcej, niż mogłem ci dać. Zmęczyły mnie plotki na nasz temat. Z nami już koniec. Nie chcę cię, Grace. Wracaj do domu.

Dziewczyna nie potrafiła się nawet zdobyć na żadną ripostę. Czowała, że serce jej pęka, i wiedziała, że zbladła. Odwróciła się bez słowa, zeszła po schodkach, wsiadła do samochodu i odjechała.

Garon przeklinał, aż zabrakło mu tchu. Zmusił Grace do odejścia, a teraz będzie musiał jakoś żyć z poczuciem winy z powodu tego, jak podle ją potraktował.

Grace przeżyła następny tydzień jak w otepieniu. Pracowała w dwóch miejscach i dziękowała losowi, że Garon nie bywa w żadnym z nich. Nie chciała go więcej widzieć.

Jednak nagle zaczęła go spotykać. W następny piątek poszła do banku i natknęła się tam na niego, gdy stał w sąsiedniej kolejce. Spojrzał na nią i gniewnie zmarszczył brwi, jakby sądził, że przyszła tu za nim. Zignorowała go.

Nazajutrz otwarto miejscowy staw rybny, gdzie klienci mogli wypożyczać sprzęt wędkarski i łowić do woli okonie i leszcze, płacąc w zależności od ich wagi.

Grace była podekscytowana, gdyż zazwyczaj brała udział w lokalnych zawodach wędkarskich. Wzięła więc z domu swoją wędkę, przynęty oraz błystki i pojechała nad staw. Zastała tam tłum ludzi, co nie było niczym niezwykłym o tej porze roku. Zbliżała się wiosna, a dzień był wyjątkowo ciepły i pogodny. Grace włożyła dżinsy, obszerną szarą flanelową koszulę w szkocką kratę i bezrękawnik. W dzieciństwie często wybierała się z dziadkiem na ryby. Był zapalonym wędkarzem i wtajemniczył ją w arкана tego sportu.

Wspomnienie ostatnich słów Garona wciąż tkwiło w niej jak bolesna zadra, lecz miała nadzieję, że uda jej się od tego oderwać. Jednak gdy dotarła nad staw, zamarła. Garon stał na brzegu, ubrany w dżinsy i koszulę, trzymając w ręku wędkę z kołowrotkiem.

Odwrócił się, spostrzegł za sobą Grace i jego oczy błysnęły ze złości. Cisnął wędkę na ziemię i ruszył ku dziewczynie. Mimowolnie cofnęła się o krok, przestraszona wyrazem jego twarzy.

- Grace, powiedziałem ci, że mnie nie interesujesz - wycedził przez zęby. - Łażenie za mną nic ci nie da! Czy nie rozumiesz, że cię nie chcę?!

Mówił donośnym głosem. Jeden z wędkarzy - stały klient restauracji Barbary - obrzucił go zdziwionym spojrzeniem, a potem popatrzył ze współczuciem na czerwoną ze wstydu Grace.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z powrotem przez bramę. Serce dziko waliło jej w piersi. Co za brutal! Jak mógł wprawić ją w takie zakłopotanie? Czy on sobie myśli, że jest na tyle pozbawiona dumy, aby włączyć się za nim jak odpędzany pies? Kłęła cicho, wracając do samochodu. Rzuciła sprzęt wędkarski na tylne siedzenie, uruchomiła silnik i pojechała do domu.

Był koniec tygodnia, więc nie musiała iść do pracy. Zamiast tego ukończyła swój mały krawiecki projekt i wysłała paczkę, zawierającą wszystkie jej nadzieje na lepszą przyszłość. Skończyła przycinać róże i zasadziła dwa nowe krzaki, które zamówiła pocztą, a potem wysprzątała cały dom.

Te zajęcia zmęczyły ją, toteż w nocy spała mocno. Jednak śnił jej się Garon i te sny szydziły z niej wizjami życia, jakiego nigdy nie będzie z nim wiodła.

W poniedziałek rano wróciła do pracy w kwiaciarni Judy i spędziła dzień, układając wieńce na pogrzeby dwóch mieszkańców Jacobsville. Dzięki temu miała szansę zapomnieć o Garonie przynajmniej na kilka minut. Gdyby tylko potrafiła wyrzucić go z pamięci na zawsze!

Garon już dawno temu zwrócił się do centrali FBI z prośbą o sporządzenie dla Marqueza profilu psychologicznego zabójcy dziewczynek, co pomogłoby zawęzić krąg podejrzanych. Każdy, kto kiedykolwiek odsiedział wyrok za przestępstwo przeciwko dzieciom, automatycznie trafiał na listę. Oficerowie śledczy ponownie odwiedzili wszystkich sąsiadów ofiary, pytając, czy nie zauważyli czegoś podejrzanego w okresie bezpośrednio poprzedzającym zabójstwo. Garon nie pracował w biurze FBI w San Antonio na tyle długo, by utworzyć własną siatkę informatorów. Posiadał ją jednak jeden z jego kolegów. Wysłał swych zwiadowców na ulice, aby zebrali wszelkie wzmianki o mordercy dzieci.

DNA żadnego z podejrzanych nie odpowiadało uzyskanemu ze skrawków skóry znalezionych pod paznokciami ofiary. Śledczy sprawdzali długą listę sprawców brutalnych przestępstw seksualnych, przebywających

na wolności za kaucją lub na zwolnieniu warunkowym, lecz jak dotąd bez powodzenia. Również wypytywanie sąsiadów zamordowanej dziewczynki nie przyniosło żadnych znaczących rezultatów.

- W tamtej okolicy domy stoją tak blisko siebie, że któryś z mieszkańców powinien był zauważyć nieznanego mężczyznę, skradającego się po nocy - powiedział z irytacją Marquez do Garona.

- Sheldon kogoś zauważył - przypomniał mu Garon. - Tyle tylko, że nie potrafił nam go dokładnie opisać. Starszy, łysy, utykający mężczyzna. Widziałem dziś na mieście sześciu przechodniów pasujących do tego opisu.

Marquez przysiadł na skraju biurka Garona.

- Poleciałem policjantowi z patrolu, żeby pogadał z paroma informatorami - oznajmił. - Jeden z nich odsiadywał kiedyś wyrok za zgwałcenie dziecka. Możliwe, że nasz sprawca chełpił się przed nim którąś ze swoich zbrodni.

Czarne oczy Garona błysnęły.

- Chcę go schwycić - rzucił.

- Ja również - przytaknął Marquez. - Ale on działa już od dwunastu lat, jeśli wierzyć temu, co napisał w liście do gazety.

- Co rok morduje jedną dziewczynkę - powiedział głośno Garon. - I nie mamy żadnego świadka, który mógłby nam dostarczyć wiarygodny opis zabójcy. W tym jednym, ostatnim przypadku znaleźliśmy obce DNA, lecz kiedy wpuściliśmy je do systemu, okazało się, że do nikogo nie pasuje. A dowody rzeczowe z zabójstwa w Del Rio prawdopodobnie zostały skradzione.

- Może nasz morderca nigdy nie trafił za kratki - rzekł w zadumie młodszy mężczyzna. - Jest sprytny i zdaje sobie z tego sprawę. Chce, żebyśmy wyszli na głupców.

- A może figuruje w raporcie jakichś innych organów ochrony porządku publicznego, który nigdy nie dostał się do bazy danych - podsunął Grier.

- Potrzebujemy więcej informacji o tej zabitej dziewczynce - dodał po chwili. - Musimy się dowiedzieć, w jaki sposób mogła zareagować na pojawienie się intruza.

- Chodzi ci o to, żeby ustalić, czy w takiej sytuacji krzyczałaby i broniła się, czy też była uległa i posłuszna i robiła wszystko, co jej kazano?

- Właśnie. Trzeba też zbadać wszystkie podobne sprawy i zebrać informacje o dziewczynkach, które zgwałcono i zamordowano. Musimy zrozumieć, czym kierował się sprawca, wybierając swoje ofiary. Oddział specjalny działa na pełnych obrotach, ale każdy z nas ma oprócz tego swoje zwykłe obowiązki służbowe i pracuje po godzinach. Potrzebujemy więcej danych.

Marquez zmarszczył brwi.

- Wiemy, że wszystkie nieletnie ofiary były płci żeńskiej - rzekł nagle. - I żadna nie miała więcej niż dwanaście lat.

- Świetnie - odparł Garon. - Sprawca miał też możliwość przyjrzenia się dziewczynkom, zanim na nie napadł. To oznacza, że prawdopodobnie w taki czy inny sposób miał do nich dostęp. Może pracuje z dziećmi.

- Być może jest nauczycielem lub instruktorem szkolnego kółka zainteresowań.

- Albo parafialnego - dorzucił z wahaniem Garon.

Marquez skinął głową.

- Albo robi zdjęcia do szkolnych roczników pamiątkowych.

- Zabija planowo. Zabiera ze sobą narzędzie zbrodni, czyli w tym wypadku czerwoną wstążkę. Pilnuje się, żeby nie zostawić na miejscu przestępstwa niczego, co mogłoby na niego wskazać.

- Z wyjątkiem tych skrawków skóry za paznokciami ostatniej ofiary.

- Widocznie to przeoczył.

- Przypuszczalnie po tylu latach nabrał takiej pewności siebie, że zaczyna się robić niedbały - powiedział Garon. - Uważa nas za durniów. Sądzi, że nie potrafimy go złapać, i dlatego pozwala sobie na osłabienie koncentracji. Szkoda, że nie mamy żadnych żyjących świadków - dodał.

- Uzyskalibyśmy przewagę w tej rozgrywce, gdybyśmy cokolwiek o nim wiedzieli.

- Zazwyczaj dysponujemy większą wiedzą na temat sprawców - przyznał Marquez. - Chociaż jego list do gazety coś nam powiedział. Teraz wiemy, że zamordował dwanaścioro dzieci. - Zawahał się. - Mogę cię o coś spytać?

- Jasne, wal - odparł Garon.

Marquez przyjrzał mu się bacznie.

- Nie widzisz się już z Grace?

W oczach Garona zamigotał gniewny błysk.

- To moja prywatna sprawa.

- Owszem - zgodził się jego towarzysz. - Ale Grace jest dla mnie jak młodsza siostra. I nie miała łatwego życia.

- Grace pragnie zdobyć męża, a ja nie szukam żony - rzekł Garon lodowatym tonem. - W tej sytuacji dalsze spotkanie się z nią byłoby z mojej strony głupotą i okrucieństwem.

Marquez kiwnął głową.

- Rozumiem. - Odwrócił się. - Spróbuję dowiedzieć się jeszcze czegoś o ofiarach.

- Największy problem z systemem VICAP polega na tym - rzekł Garon cicho - że wydziały policji często nie mają czasu, żeby wysłać informacje o nierozwiązanych sprawach zabójstw dokonanych na ich terenie. Mogło zdarzyć się wiele innych podobnych zabójstw, których ofiary były w takim samym wieku i miały ten sam kolor włosów, a narzędziem zbrodni była czerwona wstążka, lecz nigdy się o nich nie dowiemy, gdyż nie występują w bazie danych.

Marquez milczał przez chwilę.

- Większość tych zabójstw miała miejsce w Teksasie i Oklahomie. Tylko dwóch dokonano w Luizjanie. W każdym stanie istnieją organizacje skupiające emerytowanych policjantów. Z reguły posiadają one własne strony internetowe. Zamieścimy na nich wyniki naszego śledztwa i zobaczymy, czy nadejdzie jakaś odpowiedź. Może któryś ze stróżów prawa na emeryturze przypomni sobie przypadek morderstwa dokonanego przy użyciu czerwonej wstążki.

- Niezły pomysł. W każdym razie warto spróbować.

Marquez skinął głową.

- Wezmę się do pracy.

- A ja dołączę ten pomysł do programu zadań i powiadomię o nim pocztą elektroniczną pozostałych członków oddziału specjalnego - oświadczył Garon.

Ciekawiło go, czy Grace wyplakała się na piersi Marqueza. Znała go od dzieciństwa. Może Marquez żywi wobec niej także inne uczucia, do których nie chce się przyznać. Wspominał z rozdrażnieniem niedawne „przypadkowe” spotkania z Grace w mieście i miał nadzieję, że nie natknie się na nią ponownie nad stawem wędkarskim.

Nazajutrz w sali koncertowej liceum w Jacobsville miała wystąpić Orkiestra Symfoniczna z San Antonio. Garon zaprosił na ten koncert Jaqui. Przyszła ubrana w kusą elegancką czarną sukienkę, podkreślającą jej bujne kształty, i natychmiast zmysłowo uwiesiła się jego ramienia. Garon w gruncie rzeczy nie był nią zainteresowany, ale nie chciał pokazywać się sam publicznie - zwłaszcza w Jacobsville.

Gdy wchodzili na salę, zjawiła się Grace - sama, ubrana w niebieską wełnianą sukienkę, którą miała na sobie, gdy po raz ostatni była w mieście z Garonem.

Spostrzegła go i znieruchomiała z zaskoczoną miną.

Jednak Garon był pewien, że w rzeczywistości jego widok wcale jej nie zaskoczył, gdyż celowo przyszła tu za nim. Odwrócił się do niej ze złością.

- To znowu ty? - rzucił opryskliwie. - Do diabła, czy nie możesz wreszcie przestać za mną łązić? Co mam zrobić, żeby cię przekonać, że mnie nie interesujesz?!

Grace z wysiłkiem przełknęła ślinę. Czuła, że ludzie gapią się na nią. Przez ostatnie tygodnie odmawiała sobie wszystkiego i oszczędzała, żeby

móc kupić bilet na ten koncert, a teraz cały wieczór był zepsuty.

Zaczerwieniła się i cofnęła pod naporem gniewu Garona. Kiedy tak się zachowywał, budził w niej lęk.

- Grace, na wypadek gdybyś o tym nie wiedziała, informuję cię, że nękanie ludzi jest przestępstwem - dorzucił. - Mógłbym pozwać cię do sądu.

Była zbyt zawstydzona, aby móc zostać. Odwróciła się i wyszła z sali, a serce waliło jej jak szalone. Kiedy znalazła się na zewnątrz, musiała na chwilę przystanąć, aby odzyskać oddech. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że cała się trzęsie.

Zapłakana poszła pośpiesznie do samochodu i pojechała do domu. Nawet nie zmrużyła oka tej nocy, która wydawała się jej najdłuższa w życiu.

Grace wcale nie ścigała Garona. Pragnęła jedynie, by ją zrozumiał i przestał obrzucać bezpodstawnymi oskarżeniami. Nie wiedziała jednak, jak ma to osiągnąć. Naturalnie nie mogła do niego zatelefonować ani napisać, gdyż to istotnie wyglądałoby na sprzeczne z prawem nękanie. Doszła do wniosku, że nie uda się jej go przekonać, i to była ostatnia kropla, która przepełniła czarę goryczy.

Dziewczyna stawała się coraz bledsza i chudsza. Napięcie, wywołane odrzuceniem przez Garona, przyprawiło ją o bezsenność i spowodowało jeszcze inne problemy zdrowotne, o których nikomu nie wspominała. Nie mogła jednak przestać chodzić do pracy z obawy, że może natknąć się na Garona, który znowu przysporzy jej kłopotów.

W następny poniedziałek rano weszła do kuchni restauracji Barbary, posprzątała i zaczęła przygotowywać potrawy z aktualnego menu.

Uwielbiała gotować. Była to jedna z kilku rzeczy, które potrafiła robić naprawdę dobrze, więc to zajęcie spadło jej jak z nieba. Chociaż pracowała u Barbary w niepełnym wymiarze godzin, zarabiała na tyle nieźle, by móc zapłacić większość rachunków. Razem z pensją z kwiaciar- ni wystarczało jej na skromne życie.

- Otwieram drzwi restauracji! - zawołała do niej Barbara. - Jesteś gotowa?

- Jestem! - odkrzyknęła uśmiechnięta Grace.

Miała pracowity dzień. Jacobsville było stolicą powiatu i siedzibą sądu okręgowego, gdzie odbywało się wiele rozpraw, toteż do miasta zjechało mnóstwo ludzi, którzy musieli zjeść tutaj lunch. Podczas sesji sądowych w restauracji Barbary zawsze panował ożywiony ruch.

Właścicielka przyjmowała zamówienia i przekazywała je Grace, która przyrządzała potrawy i wносиła je z kuchni. Zazwyczaj pracowała tu jeszcze jedna dziewczyna, lecz tego dnia nie przyszła z powodu choroby.

Grace dostała między innymi zamówienie na wynos kanapek i chipsów bez nazwiska. Przygotowała je, zapakowała do torby i wyszła za kontuar, gdzie Barbara podliczała rachunki.

- Nie ma tu nazwiska... - zaczęła.

- Och, to dla Garona Griera - odparła Barbara.

Zaskoczona Grace poczuła, że serce jej zamarło.

Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, do restauracji wszedł już Garon z Jaqui uwieszoną ostentacyjnie u jego ramienia.

Grace podeszła do niego.

W jego czarnych oczach błysnęła furia.

- To znowu ty?! - zawołał z wściekłością. - Czy masz jakiś radar? Gdziekolwiek pójde, zawsze się tam zjawiasz! Skąd wiedziałaś, że tu przyjde? Czy wynajęłaś kogoś, żeby mnie śledził, i wykorzystujesz każdą okazję, aby zepsuć mi dzień?

- Nie rozumiesz... - zaczęła wolno, próbując zachować spokój i przekonać Garona pomimo lęku, jaki w niej wzbudzał.

- Nie, to ty nie rozumiesz! - warknął, ruszając ku niej. - Nie chcę cię w moim życiu! Ile razy mam ci to powtarzać, żebyś wreszcie pojęła?!

Grace cofnęła się szybko ze stęszalą twarzą, ściskając w drżących rękach papierową torbę. Przestraszyła się tego brutalnego mężczyzny. Gwałtowność zawsze ją przerażała.

Nagle tuż obok znalazła się Barbara i objęła ją ramieniem.

- Uspokój się, kochanie - powiedziała łagodnie. - Ja sobie z tym poradzę, a ty idź na zaplecze, dobrze?

- Dobrze - wydusiła Grace.

Podąła Barbarze torbę i odwróciła się ku drzwiom do kuchni.

- Oto twoje zamówienie - rzekła Barbara ostro do Garona, podczas gdy wszyscy goście restauracji wpatrywali się w nią. - Grace przyniosła je, ponieważ to należy do jej obowiązków. Ona tutaj pracuje! Jest kucharką!

Zmieszany Garon miał wrażenie, że ziemia się pod nim rozstąpiła. Nie miał pojęcia, że Grace pracuje u Barbary, nigdy mu o tym nie wspomniała.

Barbara wcisnęła mu w rękę torbę i spiorunowała go wzrokiem.

- Masz. To na koszt firmy. Wszyscy w mieście wiedzą, że dajesz się Grace we znaki za to tylko, że na ciebie patrzy. Nie pozwolę, żebyś znęcał się nad nią w mojej restauracji! Mam prawo odmówić obsłużenia klienta i

teraz z niego skorzystam. Od tej chwili nie ma pan tutaj wstępu, panie Grier. Proszę stąd wyjść - i to natychmiast!

Goście zaczęli entuzjastycznie bić brawo. Garon rozejrzał się i zobaczył ich surowe, nieprzyjazne twarze. A więc zrobił sobie wrogów z wszystkich mieszkańców Jacobsville!

Wiedział, że dowodzenie swoich racji nic tu nie pomoże. Wzruszył ramionami, położył torbę z kanapkami na stole, ujął Jaqui za ramię i oboje ruszyli do wyjścia.

- Nie ma czego żałować, tutejsze jedzenie i tak jest do niczego - rzuciła na odchodnym Jaqui.

- Z pewnością nie tylko jedzenie - odparowała jej Barbara z wymownym, triumfalnym uśmiechem.

Jaqui odwróciła się i zaczęła coś mówić, lecz Barbara zatrzęsnęła jej drzwi przed nosem. Klienci restauracji zareagowali wiwatami, a właścicielka uśmiechnęła się i wróciła do kuchni, aby pocieszyć Grace.

- No, kochanie, uspokój się - rzekła łagodnie, ocierając jej łzy chusteczką higieniczną. - On już wyszedł. Jesteś bezpieczna, nikt cię tutaj nie skrzywdzi.

Grace łkała z głową na jej ramieniu. Od wielu lat Barbara zastępowała jej matkę. Dzisiaj, niczym tygrysica broniąca swego potomstwa, wyrzuciła wroga za drzwi przy akompaniamencie owacji zgromadzonych gości. Ta scena była dramatyczna, lecz zarazem zabawna. Grace, która zawsze dostrzegała we wszystkim aspekt humorystyczny, mimo woli zaczęła się śmiać.

- Widzisz? - powiedziała pogodnie Barbara.

- Nie jest wcale tak tragicznie. Musisz się tylko nie dawać. Nie możesz pozwolić, żeby ludzie tobą pomiatali - zwłaszcza tacy, jak ten arogancki agent FBI. Spędzisz resztę życia we łzach, jeżeli nie będziesz bardziej stanowcza i pewna siebie.

Grace oddała kawałek papierowego ręcznika i otarła oczy.

- Pewnie masz rację. Zwykle tak się nie rozklejam, ale ostatnio jestem znużona i nie czuję się dobrze. - Dotknęła dłonią brzucha i skrzywiła się.

- Ostatnie tygodnie były dla mnie trudne.

- Potrzebujesz jedynie trochę odpoczynku. Wiem, że masz niewiele oszczędności. Jeśli zechcesz, mogę wesprzeć cię finansowo - dodała Barbara z powagą. - Pojedź na kilka dni do swojego kuzyna. Przez jakiś czas damy sobie radę bez ciebie.

- Ucieczka przed wrogiem to tchórzostwo - prychnęła Grace.

- Nie wtedy, gdy ten wróg bezustannie cię prześladowuje i obrzuca bezpodstawnymi oskarżeniami - zaproponowała Barbara i stanowczo pokiwała głową, widząc zaszokowaną minę przyjaciółki.

- W Jacobsville nic się przed nikim nie ukryje. Wiemy, że Garon dręczy cię już od wielu tygodni. Teraz przestanie, choć jeszcze o tym nie wie - dodała z chłodnym błyskiem w oczach. - Pożałuje, że w ogóle się tu sprowadził.

- Ma całkiem sympatycznego brata.

- Tak, ale ten brat cię nie prześladowuje - przypomniała jej Barbara. - Powiem Rickowi, żeby wpadł cię odwiedzić.

Grace się uśmiechnęła.

- Rick jest bardzo miły.

- To moje ukochane dziecko, chociaż go nie urodziłam. I lubi cię.
Grace milczała. Wiedziała, że Marquez ją lubi. Ona również go
lubiła, ale nie kochała.

- Może pewnego dnia... - zaczęła z zadumą Barbara. - Ale na razie
idź do domu i spakuj się, dobrze?

- Dobrze - odparła Grace i objęła ją mocno.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Grace spakowała ubrania na tydzień. Zatelefonowała do swojego starego kuzyna jeszcze tego samego popołudnia, kiedy zdarzył się przykry incydent z Garonem. Musiała w duchu przyznać, że sprawi jej ulgę oddalenie się na pewien czas od brutalnego sąsiada. Nie mogła znieść nawet widoku jego domu, mijając go w drodze do miasta. Podłe zachowanie Garona złamało jej serce. Wcześniej dał jej wszelkie powody do nadziei, że odwzajemnia jej uczucia. Wiedział, że jest niewinna, lecz mimo to ją uwiódł, a potem sprawiał wrażenie, jakby spotkali się jedynie na kilku przypadkowych randkach. Najwidoczniej seks był dla niego tylko rozrywką. A Grace traktowała to nadzwyczaj poważnie.

Skręciła na szosę wiodącą do Wiktorii. Dzięki mechanikowi Garona jej samochód sprawował się doskonale. Mogła to uznać za jedną z niewielu korzyści ich związku. Liczyła na to, że wyjazd uleczy jej zranione serce. Nigdy nie obdarzyła żadnego innego mężczyzny takim uczuciem jak Garona Grier. Powinna być rozsądniejsza i nie ufać mu.

Garon spostrzegł z werandy, że samochód Grace wyjechał z podjazdu i skręcił na szosę. Wciąż jeszcze z przykrością rozpamiętywał scysję z Barbarą, która stanęła w obronie swej pracownicy. Skąd, u diabła, miał wiedzieć, że Grace pracuje w tej restauracji? Nigdy nie rozmawiała z nim o tym, czym się zajmuje. Jaqui rozsierdził fakt, że w istocie zostali wyrzuceni z lokalu Barbary. Oświadczyła z wściekłością, że nie cierpi prowincjonalnych miasteczek i ich prostackich mieszkańców o ciasnych umysłach. Wystarczy, że na kogoś spojrzysz, a oni już oczekują weselnych

dzwonów. Jaqui piekliła się tak przez całą dziesięciominutową drogę do domu.

Garon pomyślał, że najwyraźniej nikt z mieszkańców Jacobsville nie zdaje sobie sprawy, że Grace go prześladowuje. To on jest ofiarą, a nie ta ich ulubienica, na którą tak chuchają. Mimo to czuł się podle, wspominając, jak Grace cofała się przed jego zimną furią. Ranienie kobiet nie było w jego zwyczaju. Nigdy dotąd nie potraktował żadnej w ten sposób i był pewien, że nigdy tego nie zrobi. Ale teraz...

Wysłał do sklepu z paszą jednego ze swych pracowników, żeby odebrał dla niego dostawę, lecz powiedziano mu, że nie sprowadzają już odmiany, jaką zamówił. Zasugerowano, aby zaopatrywał się w paszę i sprzęt rolniczy w San Antonio. Nie dość na tym. Gdy skontaktował się z Ballengerami w sprawie wykarmienia części swego stada, odpowiedzieli, że mają już komplet zamówień, i polecieli magazyn w innym powiecie. Kiedy wysłał jednego ze swoich ludzi, by poświadczył notarialnie kilka dokumentów handlowych, nikt w biurze adwokackim Blake'a Kempa nie chciał nawet na nie spojrzeć.

- Może mi pani powiedzieć, dlaczego, u diabła, stałem się nagle dla wszystkich w mieście kimś w rodzaju trędowatego? - spytał kwaśnym tonem pannę Turner.

Obrzuciła go niezyczliwym spojrzeniem.

- Naprawdę pan nie wie?

- Widocznie Grace ma liczne grono zwolenników, którzy uznali mnie za Wroga Numer Jeden, ponieważ nie chcę zaciągnąć jej do ołtarza - odrzekł z chłodnym sarkazmem.

Gospodyni zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

- Nie pochodzi pan stąd, więc zapewne nie wie, jak wyglądało dzieciństwo Grace. My wszyscy byliśmy świadkami jej dorastania. Ta dziewczyna na każdym przyjęciu czy zabawie kończącej rok szkolny zawsze siedziała pod ścianą i nigdy nie tańczyła. Podczas uroczystego zakończenia nauki w liceum była zupełnie sama. Jej matka nie raczyła przybyć na tę ceremonię, a kuzyn Bob w tym czasie leżał w szpitalu. Grace nigdy nie umówiła się na randkę... a nawet nie była z żadnym chłopakiem w kawiarni - dodała panna Turner, widząc grymas niedowierzania na twarzy Garona. - I oto teraz pokazała się na mieście pod rękę z kawalerem wyglądającym, jakby mu na niej zależało. Naturalnie ludzie to zauważyli i znając smutną przeszłość Grace, cieszyli się z jej szczęścia.

- Wiem, że jako dziecko przeżyła nieprzyjemne doświadczenie z jakimś mężczyzną - rzucił niecierpliwie Garon. - Opowiedziała mi o tym.

- Nieprzyjemne doświadczenie? - powtórzyła z wahaniem gospodyni.

- Tak. Przypuszczam, że ten mężczyzna próbował ją erotycznie wykorzystać? Prowadzę obecnie dochodzenie w sprawie zgwałcenia i zamordowania małej dziewczynki - dodał Garon twardym tonem. - To o wiele drastyczniejszy wypadek. Pojmuję, że tamten incydent mógł negatywnie oddziaływać na Grace, ale wyszła z niego bez szwanku w porównaniu z dzieckiem, które zarżnięto nożem, a następnie wyrzucono niczym śmieć.

Panna Turner przez kilka sekund patrzyła na niego w milczeniu, jakby był obłąkany.

- Myślę, że musiałby pan tu mieszkać, żeby to zrozumieć - rzekła wreszcie. - Ale niech się pan nie martwi. Już nikt nie będzie pana swatał z Grace. - Powiedziawszy to, odwróciła się i sztywno wyprostowana ruszyła z powrotem do kuchni.

Następny szok Garon przeżył podczas zebrania oddziału specjalnego. Marquez usiadł kilka krzeseł od niego i nie przywitał się z nim ani nawet nie spojrzał w jego stronę, gdy członkowie zespołu przeglądali zebrane materiały i omawiali dalsze kierunki śledztwa. Marquez zaproponował, aby powiadomić o tej sprawie media, poprosić społeczeństwo o pomoc i podać numer telefonu, pod który ludzie mogliby dzwonić z istotnymi informacjami i wskazówkami. Uznano ten pomysł za dobry i go zaaprobowano.

Po zakończeniu zebrania Marquez ruszył bez słowa do drzwi. Garon wyszedł za nim na parking.

- Czy coś się stało? - zapytał.

Detektyw odwrócił się do niego z lodowatym błyskiem w czarnych oczach.

- Nie - odparł. - Oprócz tego dochodzenia mam jeszcze kilka innych. Skontaktuję się z tobą, jeśli zdobędę jakiś nowy materiał dowodowy.

Garon przymknął oczy. Naturalnie, Marquez jest przybranym synem Barbary. Lubi Grace i niewątpliwie dowiedział się o zajściu w restauracji.

- Nie rozumiesz... - zaczął.

Marquez podszedł blisko. Choć niemal dorównywał Garonowi wzrostem, był osiem lat młodszy i bardziej porywczy.

- Po tym wszystkim, przez co Grace przeszła, nie zasłużyła na to, żebyś ją zadreczęła - rzekł zimno.

- To ona mnie prześladowuje - odparł Garon.

- Akurat! - rzucił Marquez gniewnie. - Ona jest najmniej natrętną osobą, jaką znam, i stanowi całkowite przeciwieństwo tej aroganckiej ulicznicy, z którą się teraz prowadzasz - dodał, mając na myśli Jaqui. - Czy wiesz, że w konsekwencji tej sceny w restauracji Grace wyjechała z miasta?

- Jak to?

- Była tak zdenerwowana, że w poniedziałek moja mama musiała odwiedzić ją do domu - ciągnął Marquez tym samym opanowanym tonem. - Cała się trzęsła i czuła się okropnie. Nie powinieneś być publicznie tak jej upokorzyć. Mogłeś przynajmniej okazać jej swą pogardę na osobności, zamiast sprawiać, że znowu stała się tematem plotek.

Garon zmarszczył brwi.

- Zjawiała się wszędzie, dokądkolwiek poszedłem, mimo że oznajmiłem jej wyraźnie, że nie chcę się z nią więcej spotykać.

Marquez obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- W miasteczku liczącym zaledwie dwa tysiące dusz wszyscy stale na siebie wpadają. Chociaż przypuszczam, że odtąd większość mieszkańców Jacobsville będzie cię unikać. Ja w każdym razie na pewno.

- Kochasz ją - powiedział Garon, wypowiadając na głos myśl, która właśnie przyszła mu do głowy.

Detektyw skinął głową.

- Przez połowę mojego życia - przyznał. - Poślubiłbym ją w jednej chwili, gdyby tylko mnie zechciała. Jest miła, troskliwa i uprzejma. Posiada rodzaj empatii, który sprawia, że nawet całkiem obcy ludzie darzą ją zaufaniem i powierzają jej swoje troski. Zawsze pierwsza przychodzi z

pociechą do rodziny, w której ktoś umarł, przynosi jedzenie i dzieli się swoimi skromnymi środkami. - Zamilkł i zacisnął usta. - Dlaczego, u diabła, w ogóle ci o tym mówię? Grace miała szczęście, że zniknęła z jej życia, zanim było za późno. Ona zasługuje na kogoś o wiele lepszego niż ty!

Odwrócił się i bez słowa pożegnania poszedł do samochodu.

Grace bardzo lubiła swego kuzyna Boba. Podczas odwiedzin dotrzymywała mu towarzystwa i stale piekla dla niego ciasta, wyrażając w tym gospodynię. Sadziła kwiaty w jego ogródku, czytała mu na głos i cieszyła się ze spokojnego pobytu, pozwalającego jej oderwać się od zmartwień.

Rozmyślała o zabójstwach dziewczynek. Nie była w stanie opowiedzieć Garonowi o swoich spostrzeżeniach dotyczących podobieństw ofiar, jednak musiała podzielić się wiedzą z jakimś stróżem prawa. Była świadoma, że ta informacja może ocalić czyjeś życie, toteż zadzwoniła do Marqueza.

Zjawił się pewnego wieczoru, ubrany w dżinsy i sportową bluzę. Był ponury i spięty, lecz zarazem zadowolony z zaproszenia.

- Siądźmy na werandzie i pogadajmy - zaproponowała, gdy zjedli już kanapki i wypili kawę, a kuzyn udał się na spoczynek.

Usiedli oboje na starej huśtanej ławeczce, wsłuchując się w cykanie świerszczy i odległe szczekanie psów. Wieczór był chłodny, ale przyjemny, a na niebie cudownie lśniły gwiazdy.

- Uwielbiam wiosenne noce - rzekła z zadumą Grace. - Taki tutaj spokój.

- Przykro mi, że nie masz go u siebie - odparł.

Zerknęła na Marqueza, wyczuwając jego troskę i oburzenie.

- A więc Barbara ci o tym opowiedziała.

- Tak - przyznał. - Miałem ochotę mu przyłożyć.

- Ja również, ale to by się na nic nie zdało - powiedziała z rezygnacją. - On należy do tych, którzy nikogo nie potrzebują. Powinnam była to zrozumieć, a nie zadurzać się w nim.

- Nie obwiniaj się o to - zaprotestował Marquez. - Ja też początkowo miałem o nim lepsze zdanie.

Grace dotknęła zimnego żelaznego łańcucha, na którym wisiała ławeczka.

- Nie wiem, dlaczego Garon odniósł wrażenie, że wszędzie za nim chodzę. Nie zdołałam mu wytłumaczyć, że po prostu spotykam go podczas moich codziennych zajęć.

- To już przeszłość. Powiedz lepiej, dlaczego chciałaś, żebym przyjechał? - spytał, po czym dodał z uśmiechem: - Czyżbyś w końcu odkryła w sobie szaloną namiętność do mnie i pragniesz, abym ofiarował ci zaręczynowy pierścionek z diamentem?

Wpatrzyła się w niego zaskoczona, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Przynajmniej próbowałem. A więc powiedz, w czym rzecz. Nie mogę zostać długo. Czeka na mnie sprawa pewnego handlarza narkotyków, którego wkrótce muszę aresztować.

Grace uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, że w szkole Marquez był kimś w rodzaju młodocianego przestępcy i stale popadał w kłopoty. Zazwyczaj nie było to nic poważnego, ale wówczas nie potrafił się ustatkować. Po chwili spoważniała.

- Chodzi o tę zamordowaną dziewczynkę.

- Tak? - rzucił spokojnym tonem.

- Coś sobie przypomniałam - rzekła. - Zamierzałam powiedzieć o tym Garonowi, ale on uznał, że go nachodzę.

- Słyszałem o tym.

Grace wciągnęła w płuca chłodne powietrze.

- Wszystkie ofiary miały długie jasne włosy.

Marquez zmarszczył brwi.

- No... owszem, tak.

- I niebieskie oczy. Skinął głową.

- Oraz czerwone... wstążki - dodała.

Detektyw milczał. Grace spuściła wzrok na swoje dłonie, leżące na kolanach.

- Rick, nie było cię w mieście, kiedy to się stało - rzekła. - Ale jestem pewna, że Barbara lub ktoś inny opowiedział ci...

- Bardzo pobieżnie - odparł. - Wiem jedynie, że przeżyłaś szok wskutek napastowania seksualnego. - Urwał i zawahał się. - Krępowiałem się wypytywać cię o to.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego z łagodnym uśmiechem.

- Dziękuję ci.

Wzruszył ramionami.

- Sam jestem skryty, dlatego cię rozumiem.

- Tylko kilka osób poznało prawdę. Całą sprawę zatuszowano. Moja babka wpadła w histerię. Mama dowiedziała się o wszystkim od niej i tej samej nocy popełniła samobójstwo.

- Twoja matka?! - wykrzyknął. - Ale dlaczego?

- Nie wiadomo. Babcia twierdziła, że mama czuła się odpowiedzialna za to, co się stało, ponieważ zostawiła mnie na łasce zgorzkniałej starej kobiety, stale nadużywającej alkoholu.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że stara pani Collier w ogóle brała do ust jakiegokolwiek mocniejsze trunki - przyznał zaskoczony Marquez.

- Trzeźwiała, kiedy musiała odwiedzić mnie w szpitalu. Byłam... byłam wtedy w strasznym stanie - wyrzuciła z siebie Grace i poruszyła się niespokojnie na ławeczce. - Jeżeli widziałeś zwłoki ostatniej zamordowanej dziewczynki, możesz sobie wyobrazić, jak wówczas wyglądałam.

- Dobry Boże! - zawołał wstrząśnięty.

- I tak miałam szczęście - ciągnęła. Dobrze było wreszcie wyrzucić to z siebie po tylu latach zapiekłego milczenia. - Zabójca wpadł w panikę. Nie potrafił poradzić sobie z tą czerwoną wstążką i zadusić mnie na śmierć. A potem rozległo się wycie policyjnych syren. Zaczął dźgać mnie scyzorykiem. Czułam potworny ból, ale chociaż miałam zaledwie dwanaście lat, wiedziałam, że jeśli nie udam martwej, to naprawdę zginę. Wstrzymałam więc oddech i modliłam się. A on uciekł. Ktoś spostrzegł w blasku księżyca, jak niósł mnie przez pole, i zawiadomił policję. Nigdy się nie dowiedziałam, kto to zrobił, ale ten ktoś ocalił mi życie. - Spojrzała na Marqueza, świadoma jego gniewnego wzburzenia. - Widocznie nie tak łatwo jest kogoś udusić, nawet dziecko.

- Tak, niełatwo - potwierdził. - To wymaga kilku minut nieprzerwanego ucisku. Łatwiej zrobić to pętlą niż gołymi rękami, lecz nadal potrzeba około dwóch minut, aby w ten sposób zabić człowieka.

- Najbardziej pamiętam właśnie jego ręce - rzekła Grace z napięciem w głosie. - Były blade, kościste i wyglądały na słabe. Widziałam je przez chwilę spod przymkniętych powiek. Na jednej były chyba głębokie blizny. Te dłonie w niczym nie przypominały rąk mojego dziadka, który był zastępcą szeryfa i pracował przy koniach. Dziadek miał silne, opalone dłonie. Dobre, uczciwe ręce.

- Potem zapewne zabrano cię do lekarza - podsunął Marquez, gdy Grace umilkła.

Odetchnęła głęboko, aby się uspokoić.

- Doktor Coltrain dopiero od niedawna miał dyplom. Byłam jedną z jego pierwszych pacjentek - rzekła z uśmiechem. - Kiedy mnie badał, nauczyłam się od niego kilku nowych przekleństw. Nie potrafił trzymać języka za zębami.

- Nadal taki jest - potwierdził Marquez.

- W każdym razie trzeba było wykonać niewielką operację chirurgiczną i założyć mnóstwo szwów. Wycięto mi jajnik i śledzionę, a nawet wyrostek robaczkowy - dodała. - Powiedzieli, że tylko cud mógłby sprawić, abym kiedykolwiek mogła urodzić dziecko. Lecz po tym, co się stało, i tak nigdy nie zechcę wyjść za mąż i nie poddam się władzy żadnego mężczyzny - rzekła ze smutkiem.

Usiłowała zapomnieć o tym, jak spokojnie i bezpiecznie czuła się w ramionach Garona. Porzucił ją, gdy tylko się dowiedział, że nie może mieć dzieci. Zresztą po tym, jak ją potraktował, była niemal zadowolona z tego, że jest bezpłodna.

- Pewien reporter podsłuchał coś na częstotliwości policji - mówiła dalej. - Nie na tyle dużo, aby poznać prawdę, lecz dość, by wzbudziło to

jego ciekawość. Przyjechał do Jacobsville i zaczął węszyć. Wówczas babka zadzwoniła do naszego szefa policji Cheta Blake'a. Chet powiedział mi, że zostałam zaatakowana przez jakiegoś szaleńca i wskutek tego doznałam zaniku pamięci, tak że nie potrafię niczego sobie przypomnieć z tej napaści. Reporter wydawał się usatysfakcjonowany, ponieważ wyjechał i nikt go więcej nie widział. Jednak wówczas babka zaczęła się obawiać, że jeśli prawda zostanie ujawniona, napastnik może wrócić i dokończy dzieła. Chociaż przez cały czas miałam zawiązane oczy, mógłby uznać, że zdołam go zidentyfikować. Tak więc Chet Blake ukrył akta tej sprawy i porozmawiał z przedstawicielami lokalnych mediów. Powiedział im, że zostałam lekko zraniona przez pacjenta szpitala psychiatrycznego, doznałam częściowej amnezji i w ogóle nie pamiętam całego zajścia. Wszyscy wtajemniczeni potwierdzili relację Blake'a. Miejskowa gazeta wydrukowała artykuł o tym, że młoda dziewczyna została zraniona przez chorego psychicznie, zbiegłego ze szpitala, i nie potrafi niczego sobie przypomnieć. Napisano, że pacjenta odnaleziono i zabrano z powrotem do zakładu, z którego uciekł, a mnie nic się nie stało. W tej wersji historia była zbyt blaha, by mogła zainteresować wielkomięjskie dzienniki, więc na tym sprawa się zakończyła. Jeżeli napastnik zapoznał się z moimi zeznaniami dla policji i przeczytał ten artykuł w gazecie, poczuł się bezpieczny. - Zerknęła na Marqueza. - Bardzo się martwiłam, że on zrobi to ponownie jakiemuś innemu dziecku. I tak się stało, prawda, Rick? Wciąż jest na wolności, ale teraz już zabija swoje ofiary. Nie zamierzałam być chroniona kosztem czyjegoś życia, ale nikt nie chciał mnie wysłuchać. Byłam tylko dzieckiem i odtąd musiałam żyć z brzemieniem tego, co się stało.

- Do diabła! - zaklął Marquez.

Grace westchnęła ciężko. Te wspomnienia były przytłaczające i przerażające.

- Czuję się winna, ponieważ nie odważyłam się wystąpić i opowiedzieć prawdy.

- Byłaś dzieckiem, Grace. Nie miałaś żadnego wpływu na to, co zaszło.

- Ale teraz już nie jestem - rzekła z powagą. - Nie potrafiłabym rozpoznać go z wyglądu, lecz zapamiętałam jego głos. Mógłbyś przynajmniej przejrzeć akta i zobaczyć, jakie dowody zachowano. Wiem, że zrobili wymazy i zabrali moją bieliznę - wydusiła i nerwowo przełknęła ślinę. Nie chciała przywoływać z pamięci reszty. - Może tam być coś jeszcze, co pomogłoby w śledztwie.

- Owszem, Grace, ale skoro Blake ukrył akta, to w jaki sposób je znajdziemy?

- Jestem pewna, że zdołasz je odszukać. Chcę, żebyś pojechał do El Paso i porozmawiał z Chetem. Powiedz mu, że musimy przekazać te informacje oddziałowi specjalnemu. Ja postaram się przypomnieć sobie, o czym mówił napastnik, i wszystko, co mogłoby pomóc go zidentyfikować. Byłam w jego kryjówce przez trzy dni.

Marquez milczał kilka sekund.

- Grace - rzekł wreszcie. - Co nam da ponowne przejrzanie akt dwanaście lat po przestępstwie? Po ostatnim zabójstwie mamy DNA mordercy oraz inne ślady. Jeżeli wydobędziemy tamte akta, informacje niewątpliwie wydostaną się na zewnątrz. Jakakolwiek pogłoska na temat

tej sprawy postawi cię w niebezpiecznej sytuacji. Napastnik może wówczas wrócić i uciszyć cię na zawsze.

- Wiem, ale od tamtego czasu zamordował wiele małych dziewczynek - powiedziała ze smutkiem. - Może uratowałabym niektóre z nich, gdybym...

- Przestań - rzekł stanowczo i ujął w dłoń jej chłodne palce. - Jest wielu zabójców dzieci. Nie mogłabyś zapobiec porwaniu, choćbyś mieszkała w tym samym mieście, co on! Prasa obszernie relacjonowała te morderstwa. Rodzice wiedzą, że powinni pilnować dzieci, lecz ten facet jest sprytny. Nawet jeśli ostrzeżemy ludzi, to go nie powstrzyma.

Grace poruszyła się niespokojnie.

- Może masz rację. W istocie sędzę, że mogłam być jego pierwszą ofiarą. Ostatniego dnia, kiedy mnie u siebie przetrzymywał, był bardzo zdenerwowany. Pociął mnie scyzorykiem, ale tamtego roku znacznie przybrałam na wadze. Miałam otłuszczony brzuch i to ocaliło mi życie. On wpadł w panikę, zostawił mnie, żebym wykrwawiła się na śmierć, i uciekł. Zdołałam krzyknąć. Ktoś usłyszał i w porę mnie znaleziono. - Wpatrzyła się w mrok. - Porwał mnie w środku nocy prosto z mojego łóżka, choć babcia spała w sąsiednim pokoju. Gdyby tyle nie wypila, mogłaby usłyszeć hałas. Nienawidziła mnie potem do końca życia, ponieważ wszyscy wiedzieli, że nie zaryglowała porządnie drzwi, bo była pijana. Przez długi czas odgrywała moralną opokę, a potem mnie napadnięto i prawda o niej wyszła na jaw.

- Powinna zostać oskarżona o karalne zaniedbanie - rzucił ostro Marquez.

- Ona już nie żyje, Rick. Z mojej rodziny zmarli wszyscy oprócz mnie - rzekła Grace ze smutkiem. - To już nie ma znaczenia. Liczy się tylko schwytanie tego szaleńca. Musisz wydobyć z Blake'a, gdzie ukrył akta. Może być w nich jakaś wskazówka, która doprowadzi cię do zabójcy, zwłaszcza jeśli rzeczywiście byłam jego pierwszą ofiarą. Był wówczas niedoświadczony i mógł popełnić jakiś błąd, którego później już nie powtórzył. A ten jeden błąd może pomóc nam go złapać.

- Jesteś wspaniałą dziewczyną - rzekł z łagodnym uśmiechem.

Grace oparła się na jego ramieniu. Po raz pierwszy z własnej woli dotknęła Marqueza. Był uroczym mężczyzną.

- Rick, żałuję, że nie mogę być dla ciebie taka, jakiej pragniesz - powiedziała szczerze. - Jesteś najmilszym człowiekiem, jakiego znam.

Marquez poczuł ból w sercu. Grace tak wzruszająco ufnie przytuliła się do niego. Zapragnął przygarnąć ją do siebie, całować ją i zmusić, by się z nim kochała. Wiedział jednak, że tak się nie stanie. Kochał Grace, lecz ona nie odwzajemniała jego uczucia. Darzyła go jedynie przyjaźnią, choć nawet to było lepsze niż nic.

Z wahaniem przesunął rękę i położył ją niewinnie na jej ramieniu. Nie zaprotestowała. Serce waliło mu w piersi jak młotem. Przytulił Grace pocieszającym gestem.

- Ty jesteś najmilszą kobietą, jaką znam - odparł.

Usłyszał jej ciche westchnienie, gdy rozluźniona oparła się o jego ramię. Ta przelotna chwila była urocza i słodka. Przynajmniej wiedział, że Grace go lubi i ufa mu. Kto wie, może pewnego dnia ujrzy w nim dobrego kandydata na męża. Musi tylko być cierpliwy i jej nie ponaglać.

Zakołysał ławeczką, na której siedzieli. Noc wokół nich była cicha i spokojna.

Przez następne dni Garon pracował i usiłował nie myśleć o Grace. Razem z wszystkimi innymi zajmował się sprawą nowego napadu na bank, którego dokonała ta sama grupa uzbrojona w broń automatyczną. Tym razem ranili strażnika oraz jednego z klientów. Wygłosił do swoich ludzi mowę mającą ich zdopingować i wyznaczył czterech z nich do stałej obserwacji banków. Jednocześnie koordynował działania oddziału specjalnego, który tropił seryjnego zabójcę dziewczynek, organizował pracę i wyznaczał zadania członkom zespołu, towarzyszył w objazdach miasta dygnitarzom przybywającym na wizytację oraz nadrabiał zaległości w papierkowej robocie. Lecz jego myśli wciąż boleśnie krążyły wokół Grace.

Wiedział, że potraktował ją zbyt okrutnie. Pod wieloma względami przypominała dziecko i nie przywykła do tego, by ludzie celowo ją ranili. Być może Marquez miał rację i Grace istotnie zupełnie przypadkowo natykała się na niego.

Pewnego popołudnia, dwa tygodnie po wyjeździe Grace, zadzwonił jego brat Cash i poprosił go o przybycie na komisariat.

- Dlaczego chciałeś spotkać się ze mną tutaj, a nie w domu? - spytał Casha z uśmiechem, wchodząc do jego gabinetu.

Brat nie odwzajemnił uśmiechu. Był bardzo poważny. Zamknął drzwi gabinetu i usiadł za biurkiem.

- Marquez poleciał do El Paso, by porozmawiać z naszym kuzynem Chetem Blakiem - powiedział, trzymając w dłoniach szarą kopertę. - Dwanaście lat temu w Jacobsville usiłowano zabić małą dziewczynkę. Ten wypadek jest taki sam jak sprawa, nad którą pracujesz razem z

Marquezem. Chet zapieczętował i ukrył akta, bo obawiał się, że jeśli sprawca się dowie, że ofiara przeżyła, może wrócić, aby ją zabić.

Garon zmarszczył brwi.

- Ta dziewczynka przeżyła? To znaczy, że mamy świadka?

- Tak. To tragiczna historia. Napastnik porwał ją z jej sypialni, zaniósł do opuszczonego domku letniskowego na peryferiach miasta i przetrzymywał tam przez trzy dni - wycedził Cash przez zaciśnięte zęby. - Nie wiadomo, co jej wtedy zrobił. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiała. Odnaleziono ją z obrażeniami zagrażającymi życiu. Spędziła wiele dni w szpitalu. Wszczęto poszukiwania, lecz nie znaleziono sprawcy. Po prostu zniknął.

- A więc to też była dziewczynka?

- Tak. Podobnie jak następne ofiary, miała dwanaście lat, długie jasne włosy i błękitne oczy.

- Na Boga, dlaczego policja nie podzieliła się tymi informacjami z FBI?! - wykrzyknął Garon. - One mogły uratować życie kolejnym ofiarom. Zwłaszcza że był świadek, który potrafiłby zidentyfikować mordercę!

- Przez cały czas miała zawiązane oczy. Słyszała tylko jego głos.

- Ale żeby ukrywać prawdę... !

- Jacobsville to małe miasteczko, a jej rodzina miała tu wielkie wpływy - wyjaśnił Cash. - Poza tym znasz przecież Cheta. On unika problemów i zawsze robi to, co mu się poleci. Powiedziałbym, że często nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Garon westchnął ciężko.

- No dobrze, więc co jest w tych aktach? Jakaś wzmianka o czerwonej wstążce?

- Tak - odparł Cash, po czym pchnął przez biurko kartonową teczkę w kierunku Garona i obserwował go z osobliwym wyrazem twarzy.

Garon pojął dziwną minę brata dopiero wtedy, gdy otworzył teczkę i ujrzał pierwsze ze zdjęć miejsca zbrodni i uratowanego dziecka.

Dziewczynka - pulchna, jak niekiedy bywają dzieci wkraczające w wiek dojrzewania - była cała pokryta krwią, która zlepiła też jej długie jasne włosy. Jej bluzka i bawełniane szorty były podarte. Nogi i gołe stopy miała pobrudzone ziemią. Następne zdjęcia zrobiono jej bez ubrania w szpitalu. Na brzuchu widniały liczne klute rany. Miała posiniaczone ramiona i nogi, podbite oko i zakrwawione usta. Plamy krwi widać też było wokół drobnych różowych pąków jej piersi.

Obrażenia przypominały te, które Garon widział podczas sekcji zwłok ostatniej zamordowanej ofiary - tyle że ta nieszczęsna dziewczynka przeżyła. Obejrzał uważnie fotografie, a potem wziął do ręki raport policyjny, w którym wymieniono jej nazwisko.

W ciszy gabinetu gwałtowne westchnienie Garona rozbrzmiało głośno niczym eksplozja. Miał wrażenie, że serce przestało mu bić. Ta dziewczynka nazywała się Grace. Grace Carver.

Przez głowę błyskawicznie przemknęły mu niedawne wspomnienia. Grace zawstydzona i zalekniona. Grace z szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami, pozwala, by ją podniósł. Grace przywierająca do niego. Grace w łóżku w jego ramionach, w miłosnym uścisku. Grace trzyma go za rękę, promieniejąc z radości. Grace kuli się ze strachu przed nim w restauracji Barbary!

Wszystkie elementy łamigłówki ułożyły się nagle w spójny obraz. Grace zachowała niewinność, ponieważ w dzieciństwie została napadnięta, porwana i niemal uśmiercona przez morderczego szaleńca. A on, Garon, zlekceważył jej dramatyczne doświadczenia. Co gorsza, uwiódł ją, a potem odepchnął i wyrzucił ze swego życia jak brudny ręcznik.

Ukrył twarz w dłoniach. Tak bardzo skrzywdził tę biedną, znękaną duszę, powodowany własnym lękiem przed nawiązaniem z Grace zbyt bliskiego związku. Boże, pomyślał wstrząśnięty, co ja zrobiłem!

Cash nie był ślepy ani głuchy. Dotarły do niego pogłoski na temat Garona i Grace, zwłaszcza w ciągu ostatnich paru tygodni, kiedy dziewczyna musiała wyjechać z miasta, żeby położyć kres plotkom. Nie utrzymywał z Garonem bliskich stosunków, więc nie zadawał mu żadnych pytań. Lecz w tej chwili jego brat wyglądał na zmieszanego i zagubionego.

Garon odchylił się do tyłu w fotelu. Spoglądał przed siebie pustym wzrokiem, a jego szczupła twarz zbladła. Niewątpliwie był w szoku.

Próbował jakoś uporać się z tym, co zrobił. Nic dziwnego, że po tym, jak postąpił z Grace, ludzie z miasteczka traktowali go niczym wyrzutka. Oni znali prawdę o tym, co spotkało ją w dzieciństwie, i byli zadowoleni, widząc, że znalazła kogoś, kto może uleczyć jej emocjonalne rany i ofiarować jej odrobinę szczęścia. To nie były złośliwe plotki na temat ich obojga ani natrętne próby wyswatania go z Grace, tylko wyraz radości mieszkańców Jacobsville z tego, że dziewczyna mimo wszystko przetrwała cierpienia i być może czeka ją dobra przyszłość, w której miłość kochającego mężczyzny ukoi ból przeszłości.

Zamiast tego los w osobie Garona znowu wymierzył jej kopniaka.

Garon odetchnął powoli i głęboko.

- Kiedy Marquez zapoznał się z aktami tej sprawy, chciał ci o tym powiedzieć - rzekł Cash po chwili. - Ale wolałem sam to zrobić.

Garon popatrzył na brata pustym wzrokiem.

- Więc on nie wiedział?

Cash potrząsnął głową.

- Nie. Grace nikomu nie powiedziała. Chet razem z aktami przekazał mu niektóre szczegóły. Jednak do dziś nikt nie wie, co ten bydlak jej zrobił w ciągu trzech dni, gdy więził ją w swojej kryjówce.

Garon przypomniał sobie straszliwie zmasakrowane zwłoki zamordowanej dziewczynki. To samo mogło spotkać Grace. Mogła umrzeć, a nie tylko zostać emocjonalnie i seksualnie okaleczona i porzucona, by wykrwawiła się na śmierć. To było niczym senny koszmar. Garon nigdy dotąd nie myślał o sobie jak o potworze. Dopiero teraz...

- Znalaziono wtedy jakieś ślady? - zapytał, zmuszając swój otepiały umysł do działania.

- Owszem. Dam głowę, że DNA sprawcy będzie odpowiadać temu znalezionemu przy ostatniej ofierze.

- DNA - rzekł Garon, wpatrując się w Casha, podczas gdy potworna prawda wwiercała się w jego serce. - DNA - powtórzył i mocno zacisnął szczęki. A więc ten zwyrodnialec zgwałcił Grace... !

Poderwał się gwałtownie z fotela, niemal drżąc z wściekłości i nienawiści do samego siebie. Ruszył do drzwi, ale Cash zagroził mu drogę i rzucił:

- Siadaj.

- Akurat!

- Powiedziałem: siadaj - powtórzył Cash. Pchnął Garona z powrotem na fotel i stanął nad nim, stanowczy i niewzruszony. - Pamiętaj, kim jesteś - rzekł z mocą, wbijając w brata nieruchome spojrzenie czarnych oczu. - Nie możesz wybiec stąd w furii jak wściekły pies, ścigając wiatr w polu. Co zamierzasz zrobić? Pobrać wymazy z błon śluzowych jamy ustnej wszystkich mężczyzn zamieszkujących okręgi Jacobs i Tarrant?

Słowa, powiedziane w ten sposób, zabrzmiały absurdalnie. Lecz Garon nie myślał logicznie. Roznosiła go wściekłość i chciał ją na kimś wyładować. Pragnął odnaleźć tego zbrojnika i zadusić go powoli gołymi rękami. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej odczuwał taką ślepią furie - przynajmniej odkąd dawno temu utracił swą ukochaną...

Jednak już nazbyt długo żył przeszłością. Wykorzystywał ją jako pretekst, aby unikać wszelkich uczuciowych więzi, aby strzec się przed nawiązaniem następnego związku. Był samotnikiem z wyboru. Lecz Grace zapłaciła wysoką cenę za jego chęć ucieczki. Zranił ją, aby ocalić siebie. Ona nigdy mu tego nie wybaczy...

Podniósł wzrok na Casha. Zaczynał uświadamiać sobie okropną prawdę. Grace wydobyła się z mrocznego koszmaru, jakim było jej życie, i sięgnęła ku niemu z nadzieją i żarliwym oddaniem. A on odepchnął ją z powrotem w ciemność, zranił ją słowami i zachowaniem. Wtedy w restauracji przeraził ją tak bardzo, że cofnęła się przed nim, drżąc i zalekniona. Straszliwie ją skrzywdził, choć jej jedyną winą była miłość do niego.

Przeszył go ból tak przejmujący, że aż zacisnął powieki. Grace wysłała Marqueza do El Paso, żeby odgrzebał najpotworniejszy fragment jej życia. Zrobiła to nie dla siebie, lecz po to, aby ocalić jakieś inne

dziecko przed tym, co sama przecierpiała. Świadomie podjęła ryzyko, że wznowienie śledztwa w jej sprawie może skłonić zabójcę, by wrócił i ją zabił.

Garon nagle pojął to, co umykało mu od chwili, gdy Cash dał mu akta. Grace jest jedyną żyjącą osobą, która mogłaby zidentyfikować mordercę. A dzieląc się swą wiedzą z policją, może sprowadzić na siebie śmierć.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jazda do Wiktorii trwała długo. Wczesną wiosną w soboty na autostrady wyjeżdżają wszyscy weekendowicze. Zazwyczaj Garona nie irytowały korki na szosach, lecz teraz pragnął jak najszybciej dotrzeć do celu. Chciał nakłonić Grace, by wróciła do domu, choć nie był pewien, w jaki sposób zdoła tego dokonać.

Po drodze usiłował bezskutecznie dodzwonić się z komórki do Marqueza. Prawdopodobnie młody detektyw wciąż jeszcze był na niego wściekły i nie chciał z nim rozmawiać. Garon nie mógł go za to winić. Marquez kochał Grace i nie mógł darować Garonowi, że przyczynił jej tylu cierpień.

Garon włożył lekką kurtkę, choć przypuszczał, że nawet ona okaże się niepotrzebna w ten ciepły, słoneczny dzień. Do bagażnika na dachu jadącego przed nim suwa był przymocowany kajak, a z tylnego okna sterczały wędki. Wędkowanie... Skrzywił się, przypomniawszy sobie, jak przesadnie zareagował, gdy nad stawem rybnym natknął się na Grace.

Jej kuzyn mieszkał w pewnej odległości od szosy. Droga gruntowa prowadziła do jego domu, stojącego pośród kępy drzew hikorowych. Był to stary parterowy budynek z prostych białych desek, mający dwa kominy oraz długą frontową werandę z pomalowanymi na zielono bujanymi fotelami, sofą oraz huśtaną ławeczką. Obok domu znajdował się wielki staw z pomostem. Garon zerknął nań i zamrugał. Spozrzegł Grace, ubraną w dzinsy obcięte do kolan i czerwony podkoszulek. Pochylała się nad czymś, co wyglądało na wiaderko z błyskami.

Garon wysiadł i ruszył w dół w kierunku stawu. Okulary przeciwsłoneczne kryły wyraz niepewności w jego oczach. Obecnie używał ich z własnego wyboru, ale kiedy należał do elitarnego zespołu ratującego zakładników, wszyscy członkowie nosili ciemne okulary, naśladując w tym swego dowódcę. To były dobre czasy, pomyślał. Brawurowe akcje, wykonywane wraz z grupą doświadczonych funkcjonariuszy. Jego obecna praca, nawet ta polegająca na kierowaniu oddziałem prowadzącym dochodzenia w sprawach kryminalnych, była mniej ekscytująca. A także przyczyniająca mniej stresów. Może pewnego dnia uzna to za jej zaletę.

Grace dostrzegła nadchodzącego Garona, wyprostowała się i wysoko zadarła głowę. Była boso i nie miała żadnego makijażu. Długie jasne włosy splotła w warkocz sięgający do połowy pleców. Nie nosiła okularów przeciwsłonecznych i nie uśmiechała się. W rękę trzymała długie bambusowe wędzisko ze szałwikiem, ciężarkiem i haczykiem na lince.

Grace wciąż miał żywo w pamięci ich ostatnie spotkanie w restauracji Barbary, kiedy tak upokorzył ją wobec tłumu gości.

- No, no, czyż to nie Książę Ciemności - rzuciła chłodno, a w jej szarych oczach widniały ból, uraza i oburzenie z minionych kilku tygodni.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób mógłbyś jeszcze bardziej mi dopiec. A więc, czy przyszedłeś po moją duszę?

Garon przystanął tuż przed nią. Jeśli żywił nadzieję na zawarcie rozejmu, spotkał go zawód. Wsadził ręce do kieszeni i przyjrzał się zwykłej staroświeckiej wędce.

- Jeśli zamierzasz cokolwiek złowić, lepiej użyj kołowrotka - poradził.

Grace podeszła na skraj pomostu, schyliła się i wyciągnęła z wody cztery okonie na lince. Każdy z nich ważył około trzech kilogramów. Na twarzy Garona odbiło się niekłamane zdziwienie.

Trzymając u boku linkę z rybami, spojrzała na niego gniewnym wzrokiem.

- Przez dwa lata z kolei wygrywałam w Jacobsville zawody w łowieniu okoni - oznajmiła. - Właśnie dlatego spędzam nad stawem rybnym Jake'a każdą wolną chwilę i ćwiczę. Szkoda, że musiałam z tego zrezygnować, odkąd uznałeś, że cię prześladowuję!

Garon poczuł, że się czerwieni. Oskarżył Grace, że przyszła za nim nad staw rybny, podczas gdy w rzeczywistości wcale go nie śledziła. A przynajmniej nie wtedy.

- Po co tu przyjechałeś? - spytała, stojąc nieruchomo.

Miał nadzieję, że nie widać po nim zakłopotania, jakie w istocie odczuwał.

Jednak Grace je dostrzegła. Przechyliła głowę i przez chwilę przyglądała mu się uważnie.

- Och, rozumiem. Ktoś opowiedział ci o mojej przeszłości, tak? - rzuciła z lodowatym spokojem.

Garon zacisnął szczęki, aż mięśnie zadrgały mu na policzkach.

- Coś w tym rodzaju.

Odwróciła wzrok i podeszła do pojemnika z lodem, który przyniosła, żeby schować w nim złowione ryby. Otworzyła go i ułożyła okonie na

warstwie lodu; zamknęła pojemnik, ani przez chwilę nie patrząc na Garona.

- Wysłałaś Marqueza do El Paso - rzekł bez żadnego wstępu.

Wreszcie spojrzała na niego.

- Wiem o tym zabójcy rzeczy, których wy nie wiecie. Próbowałam ci o nich powiedzieć, ale zanim zdążyłam się odezwać, uznałeś, że przyszłam do ciebie... powiedzmy... z innego powodu.

Garon mocno zacisnął usta.

- Posłuchaj... - zaczął.

- Nie, to ty mnie posłuchaj - przerwała mu z ostrym błyskiem w oczach i twarzą wykrzywioną grymasem gniewu. - Przez całe dorosłe życie unikałam mężczyzn. Nigdy za nikim nie chodziłam, a już zwłaszcza nie za tobą. Czy naprawdę uważasz, że mam tak mało dumy i szacunku dla samej siebie, by uganiać się za człowiekiem, który chwilę wcześniej powiedział mi wprost, że nie chce mnie więcej widzieć?

Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że ona ma rację. Lecz było już za późno, by to mogło mu w czymkolwiek pomóc. Grace wpadła w furję, a on został zepchnięty do defensywy, co wcale mu się nie podobało.

Sapnął z irytacją, wcisnął ręce głębiej w kieszenie i obrzucił Grace gniewnym spojrzeniem.

- Co takiego wiesz o zabójcy, czego my nie wiemy? - zapytał.

- Po pierwsze, on lubi małe dziewczynki z długimi jasnymi włosami i błękitnymi oczami - odparła, usiłując nie okazać tonem głosu swego wzburzenia. - Poza tym oznajmił, że obserwował mnie w szkole. Wiedział, że mieszkam u babki, która przed snem zawsze się upija. Sprawilo mu

satysfakcję, że porwał mnie w środku nocy przez okno prosto z jej domu. Powiedział, że marzył o zebraniu kolekcji dziewczynek w moim wieku z długimi blond włosami i że zwiąże nas wszystkie czerwoną wstążką, tak aby każdy wiedział, że należymy do niego. Myślę, że właśnie to twoja organizacja nazywa znakiem rozpoznawczym mordercy?

- Zrobiłem dyplom z prawa kryminalnego - odparł Garon. - Nie sporządzam profilów osobowości przestępców. To należy do zadań Zespołu Behawioralnego w Quantico.

Grace popatrzyła na niego bystrym wzrokiem.

- Jeżeli znaleziono zwłoki dziewczynki w San Antonio, a wcześniej tego roku w identyczny sposób zamordowano podobnie wyglądające ofiary w Del Rio i Palo Verde, to znaczy, że szukacie seryjnego zabójcy.

- Może powinnaś spisać to i wysłać do tego porucznika, który jest zwierzchnikiem Marqueza - zasugerował Garon. - On nadal nie uważa tych zbrodni za dzieło jednego mordercy.

- Albo po prostu nie lubi FBI - odparła słodkim tonem - i nie chce, żebyście przejęli jego śledztwo.

- Kryminalne sprawy nie są niczyją własnością i nikt nie może uważać ich za swoje.

Grace podniosła pojemnik ze złowionymi rybami i wędkę.

- Skoro tak twierdzisz - rzekła, chcąc odejść.

- Widziałem akta - rzucił Garon. - I zdjęcia. Zesztywniała, lecz nie odwróciła się.

Garon podszedł do niej i zajrzał w jej bladą, napiętą twarz.

- Powiedziałaś mi, że te blizny masz po wypadku samochodowym.

- Tak kazała mi mówić babka - odrzekła z prostotą, unikając jego wzroku. - Uważałam, że jest staroświecka i przesadza z ostrożnością. Lecz potem, kiedy miałam szesnaście lat, jeden z nowych uczniów w moim liceum zaprosił mnie na randkę i napomknęłam mu ogólnikowo o tym, co mnie niegdyś spotkało. - Nie patrzyła na Garona, skupiona na wydobywaniu wspomnień z pamięci. - Poszliśmy do jakiegoś baru. Zauważyłam, że chłopak dziwnie mi się przygląda. Spytałam go o powód. Okazało się, że chce się szczegółowo dowiedzieć, co porywacz mi zrobił, jak się wtedy czułam i czy sprawiało mi to przyjemność.

Wstrząśnięty Garon głośno wciągnął powietrze.

- Tak to było - ciągnęła. - Nie wszyscy zboczeńcy siedzą w więzieniach czy zakładach psychiatrycznych. Zemdliło mnie wtedy z obrzydzenia. Nie pozwoliłam mu nawet odprowadzić się do domu. Zatelefonowałam do Barbary, a ona przysłała Ricka, żeby mnie odwiózł. Kiedy się dowiedział, co zaszło, chciał pobić tego chłopaka, ale powstrzymałam go, gdyż bałam się, że zaszkodzi mu to w karierze policyjnej.

A więc to dlatego Marquez tak się o nią troszczy, przemknęło przez głowę Garonowi. Łączy ich przeszłość. Ta myśl wprawiła go w zakłopotanie.

- Po tym zdarzeniu - mówiła dalej Grace - przestałam w ogóle wychodzić z domu. Chyba że uznać za spotkania towarzyskie pomaganie jesienią Barbarze i Rickowi w wekowaniu owoców. Czego jeszcze chcesz się ode mnie dowiedzieć w tamtej sprawie? - spytała otwarcie.

- Wszystkiego, co zdołasz sobie przypomnieć - odparł, odwracając od niej twarz.

- Nie lubię tego wspominać - powiedziała szczerze i postawiła na ziemi pojemnik. - Wciąż jeszcze miewam w nocy koszmary.

Garon pomyślał o tym, który przyśnił się Grace w jego domu, i teraz, kiedy już znał prawdę, ogarnęło go jeszcze silniejsze poczucie winy.

- Cash powtórzył mi to, co usłyszał od Cheta, że porywacz więził cię przez trzy dni i że z nikim nie chciałeś o tym rozmawiać.

- To prawda. Nikomu o tym nie opowiedziałam, nawet Chetowi Blake'owi - rzekła z kamienną twarzą. - Jeżeli masz nadzieję, że zidentyfikuję sprawcę podczas konfrontacji albo na podstawie zdjęć policyjnych, to muszę cię rozczarować. Przez cały czas miałam zawiązane oczy.

- Ale rozmawiał z tobą.

Przełknęła z trudem ślinę, czując wzbierające mdłości.

- Tak - wydusiła.

- A więc rozpoznałabyś jego głos. Grace przygryzła wargę.

- Powiedział, że jestem podobna do jego macochy. Miał jej fotografię, gdy była małą dziewczynką.

- Co takiego?

- Twierdził, że w dzieciństwie moczył się w łóżku, a ona zmuszała go, żeby nosił sukienki i czerwoną wstążkę we włosach. Powiedział, że na początku roku szkolnego wyprawiła go tak ubranego do pierwszej klasy. Wszyscy się z niego śmiali, a nauczyciel odesłał go z powrotem do domu. Upiął mi wstążką włosy, ale później, tuż po tym, jak bezskutecznie usiłował mnie udusić, zawiązał mi ją wokół szyi. - Znowu przełknęła, żeby powstrzymać mdłości. To były bolesne wspomnienia.

- Wstążka okazała się za krótka. Miał bardzo białe i słabe dłonie i nie potrafił zacisnąć jej tak, aby mnie zabić. Powiedział, że to przez macochę ma niewprawne ręce. Wpadł w furję. Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i dźgał mnie raz za razem, bez końca...

- Już dobrze - rzekł Garon kojącym tonem.

- Nie zmuszaj się do tych wspomnień.

Grace drżała, lecz opanowała się wysiłkiem woli.

Garon spoglądał na nią zatroskanym wzrokiem, lecz nie odważył się jej dotknąć. Wiedział, że gdyby to zrobił, skojarzyłaby ten gest z tym, co uczynił jej porywacz. Pozwolił więc, by sama zwalczyła swe demony.

Wyjął notebook i zaczął pisać. Raptem przypomniał sobie, że w komisariacie w Palo Verde Grace omal nie zemdlała, gdy tamtejszy komendant policji wspomniał o czerwonej wstążce.

- Tę dziewczynkę w Palo Verde uduszono właśnie czerwoną wstążką - wymamrotał.

- Tak, wiem - odrzekła Grace po chwili. - Kiedy szef policji powiedział, że narzędziem zbrodni była czerwona wstążka, zaczęłam podejrzewać, że chodzi o tego samego sprawcę. - Z pobladłą twarzą spojrzała na Garona. - Po zabójstwach innych dziewczynek w gazetach nie było żadnej wzmianki o czerwonych wstążkach.

- Zawsze w takich wypadkach zatajamy jakiś szczegół - przypomniał jej. - Po to, aby mieć pewność, że schwytaliśmy prawdziwego mordercę, a nie jakiegoś wariata żadnego mrocznej sławy. Powiedziałaś, że on wspomniał o swojej macosze. Czy pamiętasz coś więcej?

- Nie - odparła, lecz po chwili dodała: - Chociaż jest jeszcze coś. Używał komputera. Słyszałam, jak stukał w klawiaturę, bardzo często.

Ta informacja mogła okazać się pomocna. Garon wpisał ją do notebooka. Jeżeli zabójca nadal posługuje się komputerami, być może dzięki temu udałoby się go namierzyć. Jeśli jest pedofilem, zapewne wchodzi na pornograficzne strony internetowe. W FBI są detektywi, którzy tropią ludzi interesujących się dziecięcą pornografią.

- Mówił, że kocha małe dziewczynki - rzekła Grace takim tonem, jakby to był jakiś wspaniały żart.

- Zamordował trzy w ciągu trzech lat - mruknął pod nosem Garon. - Może nawet jedenaste, jeżeli od porwania ciebie zabijał co roku jedną. Ale ty przeżyłaś. Dlaczego?

Grace wzruszyła ramionami.

- Policjanci zjawili się szybciej, niż się spodziewałam. Skrępował mi ręce i nogi taśmą izolacyjną, a potem wyniósł mnie gdzieś na pole i usiłował udusić. Nie zdołał tego zrobić ani gołymi rękami, ani wstążką. Miał chude, białe palce, zimne i słabe. Więc zakleił mi taśmą usta i nos, otworzył scyzoryk i zaczął mnie dźgać. Strasznie bolało i wszędzie było tyle krwi... Próbowałam krzyczeć, ale mogłam tylko coś cicho mamrotać. Zaczęłam wierzgać i kopać. To go przestraszyło i przestał zadawać mi ciosy nożem. Wiedziałam jednak, że zabije mnie, jeśli nadal będę się bronić. Wobec tego znieruchomiałam, wstrzymałam oddech i udawałam martwą. Syreny policyjne były coraz bliżej. Zawahał się przez chwilę, jakby chciał się upewnić, że naprawdę nie żyję, ale nie było już czasu. Rzucił się do ucieczki. Miałam usta i nos szczelnie zaklejone taśmą, więc udusiłabym się, gdyby policjanci w porę mnie nie znaleźli. Nigdy nie zapomnę ulgi, jaką poczułam, gdy oderwali taśmę i mogłam wreszcie

swobodnie odetchnąć. Lecz wtedy przeszył mnie ostry ból, jedno z pchnięć nożem przebiło mi płuco.

Garon słuchał, zmuszając się do skupienia na istotnych szczegółach relacji, a nie na grozie, jaką musiała przeżyć Grace.

- Taśma izolacyjna - rzekł w zamyśleniu. - Nie zdołał cię udusić, więc usiłował uśmiercić cię, zaklejając ci usta i nos taśmą. A zatem wcześniej nikogo nie zabił. Nie zdawał sobie sprawy, jak trudno jest udusić człowieka gołymi rękami.

- Też tak pomyślałam - odparła. - Moja babka nakłoniła komendanta Blake'a, żeby zatuszował tę sprawę, więc w gazetach nic o niej nie napisano. To znaczy napisano - poprawiła się - ale tylko tyle, że zostałam niegroźnie zraniona przez zbiegłego pacjenta szpitala psychiatrycznego i wskutek częściowej amnezji nie potrafię niczego sobie przypomnieć z tego zdarzenia. Zacytowano też opinię mojego lekarza, że nigdy nie odzyskam tych wspomnień. Jeżeli zabójca kiedykolwiek przeczytał tę notkę, niewątpliwie doszedł do wniosku, że nie stanowią dla niego zagrożenia. Bałam się jednak, że uderzy ponownie i zamorduje inną dziewczynkę. Babka w ogóle nie chciała rozmawiać ze mną na ten temat. Tak więc musiałam żyć z tym brzemieniem. Gdyby go złapano, nie byłoby kolejnych ofiar.

- Oddziałowi specjalnemu zajęło ponad dwadzieścia lat schwywanie mordercy z Green River w stanie Waszyngton - przypomniał jej. - Mieli ślady i przynajmniej jednego żyjącego świadka, a jednak niewiele im to pomogło. Również Ted Bundy przez wiele lat mordował uczennice college'ów i nie potrafiono go złapać. Nawet gdybyś opowiedziała policji o wszystkim, ten morderca prawdopodobnie nadal by bezkarnie zabijał.

Seryjni zabójcy, zwłaszcza ci działający planowo, są przebiegli i ostrożni. Trudno ich wytropić, nawet za pomocą wszystkich nowoczesnych środków.

- Może masz rację.
- Powinnaś wrócić do domu.

Dom w Jacobsville. Grace przypomniała sobie, jak bardzo Garon ją tam upokorzył. Spiorunowała go wzrokiem.

- Mój kuzyn Bob zaofiarował mi gościnę tak długo, jak zechcę.

Kiedy sąd zatwierdzi testament babki, wystawię dom na sprzedaż.

Garon nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Poczul się okropnie.

- Masz tam przyjaciół, którzy będą za tobą tęsknić.
- Wiktoria nie leży daleko od Jacobsville. Będą mogli przyjeżdżać tu do mnie w odwiedziny.

- Więc pozwól, że ujmę to inaczej - rzekł z posepnym uporem. -

Żaden morderca nigdy nie zapomina swojej pierwszej ofiary. On wie, kim jesteś, i potrafi cię odnaleźć. Jeśli z jakiegoś powodu twoje nazwisko pojawi się w mediach w związku z tymi zabójstwami i sprawca zacznie się niepokoić, że pamięć mogła ci wrócić, być może postanowi uciszyć cię na zawsze. Przy ostatniej ofierze znaleźliśmy jego DNA, ale nie podaliśmy tego do publicznej wiadomości. Według wiedzy mordercy jesteś jedyną osobą zdolną go zidentyfikować. Może zechce cię odnaleźć...

- Chcesz powiedzieć, że mógłby wysledzić mnie i zabić? - spytała z niezwykłym spokojem.

Garon zacisnął szczęki.

- Tak.
- To obiecująca perspektywa.

- Przestań tak mówić. Życie ma swoje dobre strony. Mogłabyś wyjść za mąż - dodał.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Jaki by to miało sens? - rzuciła. - Przecież nie mogę mieć dzieci.

Garon poczuł, jakby pchnęła go nożem w serce.

- Jest bardzo wiele udanych bezdzietnych małżeństw.

Zaśmiała się ironicznie.

- Czyżby? Początkowo cię pociągałam - przypomniała mu. - Lubieś ze mną przebywać, pokazywać się na mieście. Potem, gdy się dowiedziałeś, że nie mogę mieć dzieci, nagle zacząłeś traktować nasz związek jak przelotną przygodę bez perspektyw na przyszłość.

Zaszokował go jej pogląd na powody, dla których z nią zerwał.

- To nieprawda - wycedził przez zęby.

- Naturalnie - rzuciła z ironią. Odwróciła się i podniosła pojemnik z lodem. Czuła słabość i mdłości. Widocznie te bezsenne noce nadszarpane jej zdrowie. - Jeśli skończyłeś mnie wypytywać, czy mógłbyś już odejść? - rzekła łagodnym tonem. - Jestem zajęta. Kuzyn poprosił, żebym wyszczotkowała jego kota.

- Przynajmniej przemyśl to, co ci powiedziałem. - Wyteńczył umysł, zastanawiając się, co jeszcze mógłby dodać. - Twoje róże koło domu zaczynają puszczać pąki. Jeśli ich nie spryskasz, zjedzą je szkodniki, a bez nawozu nie wyrosną.

Zmierzyła go gniewnym wzrokiem.

- Mogę przesadzić je tutaj.

- Tutaj im się nie spodoba.

- Skąd wiesz? - rzuciła z oburzeniem. - Czy rozmawiasz z różami?

- Nie wtedy, gdy ktoś mógłby mnie podsłuchać - odparł z błyskiem rozbawienia w czarnych oczach. - Pracuję w FBI. Gdyby usłyszano, że przemawiam do róż, przeniesiono by mnie na Arktykę.

- FBI nie ma tam biura - zripostowała.

- Mają biura na całym świecie. Mogliby otworzyć jedno w jakimś odległym mroźnym rejonie, gdyby przyłapali mnie na gadaniu do krzaków.

Grace starła glinę z nogawki džinsów.

- Przeprowadza się na roślinach naukowe eksperymenty, emitując fale akustyczne, takie jak muzyka klasyczna i rockowa. Rośliny reagują korzystnie, co oznacza, że naprawdę doznają wrażeń. To nie powinno być żadnym zaskoczeniem, jeśli weźmie się pod uwagę budowę pojedynczego liścia - dodała z zadumą, trąc rudawą plamę błota na spodniach. - Są tam komórki obronne, które chronią go przed inwazją pasożytów...

Garon ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Myślałem, że zakończyłaś edukację na liceum - powiedział, zaskoczony jej wiedzą z botaniki. Popatrzyła na niego chłodno.

- A ja myślałam, że nie osądzasz ludzi po pozorach.

Zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem.

- Wróć do Jacobsville.

- Nie!

- Podaj mi choć jeden powód, dla którego nie chcesz tam wrócić.

- Ponieważ musiałabym sąsiadować z tobą - rzuciła jadowicie.

- Każę zbudować płot, żebyś mnie nie widziała - obiecał.

Omam nie parsknęła śmiechem.

- Twój kuzyn jest stary i niedołączny, prawda? - ciągnął.

- No, tak - odparła.

- Więc co będzie, jeśli ten potwór przyjdzie tu po ciebie?

Westchnęła.

- Nie wiem.

- Mam wielki rewolwer - rzekł Garon i rozchylił kurtkę, żeby go pokazać. - Jeśli ten zbrodniarz przyjdzie do twojego domu, zastrzelę go.

Grace pragnęła wrócić do Jacobsville, lecz bała się, że nie zdoła znieść widoku Garona w pobliżu. Będzie to dla niej zbyt bolesne. Jeszcze tak niedawno, ośmielona przez niego, marzyła ufnie o ich wspólnej przyszłości. A potem odepchnął ją od siebie w najokrutniejszy sposób. Ludzie znów będą się nad nią litować. Będzie musiała przekonywać wszystkich, że obojętność Garona nic jej nie obchodzi, i widywać go z tą Jaqui.

Garon dostrzegł na twarzy Grace lęk i cierpienie. Wiedział aż nazbyt dobrze, jak wielką krzywdę jej wyrządził. Wiedział, że nie zdoła od razu w pełni jej tego zadośćuczynić, ale chciał ją chronić i opiekować się nią. Naiwnością byłoby sądzić, że zabójca nie zainteresuje się swoją ofiarą, która przeżyła - zwłaszcza że w ciągu ostatnich trzech lat mordował dziewczynki w Teksasie. Grace znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie.

Grace zdawała sobie sprawę, że ryzykuje. Wystarczająco wielu mieszkańców Jacobsville znało jej tragiczną przeszłość, a nikt nie wiedział, kim jest zabójca. Mógłby po prostu przyjechać do miasta, zamówić kawę w lokalu Barbary i przysłuchiwać się rozmowom gości. Najwidoczniej potrafił świetnie się maskować. Przypomniała sobie jego głos - miły, typowy dla człowieka wykształconego, a nie jakiegoś prostaka

z zapadłej prowincji. Jego wypielegnowane dłonie również świadczyły o tym, że nie pracował fizycznie, choć były okaleczone. Niemal przez cały czas, gdy ją więził, nosił rękawiczki z cienkiej skórki.

- Jego dłonie... - wymamrotała - były całe w szramach...

Garon zapisał to w notebooku.

- Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale nawet te drobne szczegóły, które przywołujesz z pamięci, mogą nam pomóc w schwytaniu mordercy - rzekł po chwili. - Grace, jesteś jedynym naocznym świadkiem. Możesz ocalić wiele dzieci.

Z powagą skinęła głową.

- Pewnie masz rację.

- Panna Turner za tobą tęskni.

- Naprawdę?

- Jestem pewien, że ucieszyłaby się z twojego powrotu.

- Chyba tak.

- Jeżeli krzaki róż czują, prawdopodobnie już za tobą rozpaczają - dorzucił poważnym tonem. - Przypuszczam, że z żalu pękają im serca. Będą płakać, a jakiś przechodzień je usłyszy i natychmiast uda się do psychiatry w obawie, że zwariował.

Tym razem nie zdołała powstrzymać śmiechu, choć natychmiast go stłumiła.

- Pożyczę ci nawet ciężarówkę z kierowcą - dodał Garon z uśmiechem - żebyś mogła przywieźć nawóz sztuczny i pestycydy.

- Barbara ma furgonetkę - odrzuciła jego propozycję.

A Marquez byłby szczęśliwy, mogąc ją dla niej poprowadzić w wolny dzień, pomyślał Garon z nieznanym mu dotąd ukłuciem zazdrości.

- A więc wrócisz? - spytał z naciskiem.

Grace przestała wreszcie bezskutecznie ścierać błoto z nogawki. Nie tak łatwo jest pozbyć się plamy po czerwonej glinie. Podniosła wzrok na Garona.

- Wróć, o ile przyrzekniesz, że dasz mi rozkład swoich codziennych zajęć, tak abym mogła unikać przypadkowych spotkań z tobą.

- Daj spokój - mruknął. - Jestem przekonany, że to były przypadki. Zareagowałem przesadnie.

- O rany, czyżby to były przeprosiny? - zawołała z udawanym zaskoczeniem.

- Nigdy nikogo nie przepraszam, chyba że mój zwierzchnik osobiście do mnie zadzwoni i wyda mi takie polecenie.

- Sama się tego domyśliłam.

- Kiedy? Zmarszczyła brwi.

- Co „kiedy“?

- Kiedy wrócisz? Przygryzła wargę.

- Myślę, że jutro.

- Świetnie. Po drodze wstąpię do twojego domu i powiadomię o tym róże.

- To miło z twojej strony.

- Mam mnóstwo zalet - zapewnił ją.

- Dobrze je ukrywasz - zripostowała z kpiącym uśmiechem.

- Nie ma sensu marnować ich na kobietę, która z radością zleciłaby zamordowanie mnie.

- Niestety, przy mojej pensji nie stać mnie na wynajęcie płatnego mordercy - powiedziała.

- Może wstąpiłabyś do college'u i zrobiła dyplom? Mogłabyś wówczas więcej zarabiać.

- A może wróciłbyś do domu i przestał się wtrącać w moje życie? - odgryzła się. - Nie potrzebuję doradcy.

- Jeździsz starym wrakiem, który w każdej chwili może się rozpaść, i kupujesz ubrania w sklepach z używaną odzieżą - mruknął pod nosem.

Grace oblała się rumieńcem.

- Skąd wiesz, gdzie kupuję ubrania?

Garon zacisnął usta, żałując, że mu się to wyrwało.

- No, odpowiedz! - zażądała, ujmując się pod boki.

- Zawsze masz na sobie tę cholerną niebieską wełnianą sukienkę albo te same džinsy. Nie trzeba być profesorem uniwersytetu, żeby się domyślić, gdzie je kupujesz.

- Nie rozumiem, co cię obchodzi to, jak się ubieram - rzekła. - Nie obawiaj się, już nikt nigdy nie zobaczy nas razem.

- To rzeczywiście pocieszające.

- Jestem pewna, że twoją przyjaciółkę Jaqui stać na zakupy u Saksa lub Neimana Marcusa i nie musi kupować przecenionych ubrań!

Garon powstrzymał się przed ostrą ripostą. Już i tak dostatecznie zranił miłość własną Grace.

- Jaqui istotnie pyszni się swoim majątkiem - przyznał. - I lubi otaczać się mężczyznami.

- Ma szczęście, że nie przeszła przez to, co ja - powiedziała Grace z chłodnym uśmiechem.

Garon się zaczerwienił. Odwrócił się i rzucił:

- Do zobaczenia.

- Nie licz na to - odparła szorstko. - Obiecuję, że będę cię unikać.

Weszła do domu, żeby schować złowione ryby i spakować swoje rzeczy, podczas gdy samochód Garona z warkotem silnika wyjechał z podjazdu.

Uznała, że prawdopodobnie postąpiła głupio, dając mu się namówić na powrót do Jacobsville. Jednak musiała przyznać, że miał rację w kwestii narażania kuzyna na niebezpieczeństwo. Jeśli zabójca naprawdę po nią przyjdzie, nie chciała, by ucierpieli niewinni ludzie. A istotnie wiedziała coś, co mogłoby pomóc wpakować go za kratki.

Jej dom wydawał się opustoszały. Przed wyjazdem nie zakreśliła jednak całkiem ogrzewania, dzięki czemu było w nim względnie ciepło. To korzystna okoliczność, gdyż nieoczekiwanie się ochłodziło. Przeszła przez pokoje, aby się przekonać, czy wszystko jest w porządku. Potem wyszła na tylne podwórko, żeby obejrzeć róże, o które Garon tak się martwił.

Na różanych krzakach pojawiły się już młode pąki. Gałęzie drzew okryły się nowym listowiem w niezliczonych odcieniach zieleni. Promienie słońca przenikały przez liście poruszane lekkim, rześkim wietrzykiem. Pod wpływem nagłego impulsu Grace uniosła w górę ręce i zatańczyła pośród drzew, śmiejąc się z radości, że powróciła do swojej posiadłości. Jej posiadłość. Dotąd nigdy nie posiadała niczego oprócz ubrania. Lecz teraz w końcu zyskała własne miejsce na ziemi. Musi jedynie zarobić tyle, by starczyło na niezbędne opłaty i sporadyczny zakup nowej sukienki. Ale ma czas - mnóstwo czasu.

Garon przyszedł, żeby zobaczyć się z Grace i sprawdzić, czy jej dom jest dobrze zabezpieczony. Z tylnego podwórza dobiegł go śmiech, a kiedy

okrzyżyl róg budynku, ujrzał ją. Długie jasne włosy spadały jej na plecy niemal do pasa. Obracała się w koło jak uszczęśliwione dziecko, tańcząc na wietrze z zamkniętymi oczami i twarzą uniesioną ku słońcu.

Gdy tak się w nią wpatrywał, poczuł w piersi dziwny ucisk. Grace była śliczna, urocza, miła i kochająca. Należała do niego przez dwa upojne dni, które rozkosz opromieniła magiczną aurą, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył. Lecz potem zranił tę dziewczynę, poniżył ją, upokorzył i porzucił. Grace już nigdy nie obejmie go i nie przytuli się do niego w mroku nocy. Już nigdy mu nie zaufa.

Ta świadomość przeszła go nagłym bólem, jakiego nigdy dotąd nie zaznał. Aż do tej chwili, gdy popatrzył na nią, nieświadomą jego obecności, nie zdawał sobie sprawy, jakim skarbem była w jego życiu i co do niej czuje. Lecz pojął, że zmarnował swoją szansę i jest już za późno, by to naprawić.

Nie pokazał się Grace, tylko zawrócił i ruszył tam, skąd przyszedł. Wiedział, że gdyby go zobaczyła, jej radość natychmiast by się ulotniła - a tego nie chciał. I tak już wiele przecierpiała w swym młodym życiu. Żałował, że ją skrzywdził. Miał nadzieję, że być może, jeśli się postara, zdoła zasłużyć na jej przebaczenie. To lepsze niż nic.

Następnego dnia Grace wróciła do pracy, najpierw w kwiaciarni, później w restauracji. Mieszkańcy Jacobsville ucieszyli się z jej powrotu. Napomknęli też, jak ciężkie życie miał Garon w mieście po jej wyjeździe. Musiał robić zakupy w San Antonio, ponieważ po tym, jak ją potraktował, zatrzaśnięto przed nim wszystkie drzwi. Grace uważała, że sobie na to zasłużył, niemniej współczuła mu. Wiedziała, że Grier niełatwo nawiązuje przyjacielskie stosunki i z trudem się zakorzenia. Może naprawdę nakłonił

ją do powrotu powodowany poczuciem winy? A może, pomyślała, po prostu wolał kupować paszę dla bydła w Jacobsville, zamiast tracić pół godziny na jazdę do okolicznych magazynów.

Po powrocie do domu poczuła przypływ energii, lecz z biegiem czasu znów pojawiły się mdłości i ataki osłabienia, które nękały ją od wyjazdu z Jacobsville. To tylko jakiś wirus, powiedziała sobie. Nigdy dotychczas nie uskarżała się na zdrowie. A nawet gdyby zachorowała, skąd wzięłaby pieniądze na lekarza? Posiadała jedynie niewielką polisę ubezpieczeniową, pokrywającą koszt podstawowej opieki medycznej, lecz niewystarczającą na opłacenie wizyt w przychodni czy wykupienie przepisanych lekarstw. Uznała, że musi po prostu przeczekać chorobę. Takie infekcje zazwyczaj szybko mijają. Z pewnością wkrótce poczuje się lepiej.

Jednak tak się nie stało. Pewnego późnego popołudnia, kiedy okładała mierzwą krzaki róż, nagle zakreśliło jej się w głowie, poczuła mdłości i dziwną obezwładniającą słabość. Krzyknęła cicho i upadła na ziemię. Ostatnim widokiem, jaki zapamiętała, było niebo zmieniające barwę z błękitnej na czarną...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Garon wczesnym popołudniem był już w domu. Od pewnego czasu wraz z większością podwładnych zajmował się sprawą napadów na bank. Niemal wszyscy agenci zostali wezwani do akcji, gdy banda, którą ścigali, pojawiła się w jednym z banków, które Garon polecił obserwować. Czterej zamaskowani mężczyźni, uzbrojeni w broń szturmową, obrabowali bank, a potem podczas desperackiej próby ucieczki ostrzelali zarówno policjantów, jak i przechodniów, lekko raniąc dwie osoby. W końcu rabusie wybiegli z budynku i odjechali starym samochodem, gubiąc pogoń pośród ulicznego ruchu. Kilka minut później wjechali na parking restauracji, aby przesiąść się do stojącego tam auta.

Jakiś policjant, który właśnie skończył służbę, spostrzegł, jak kilku uzbrojonych mężczyzn wyskoczyło z samochodu. Dźwigali worki z pieniędzmi i klęli głośno, gmerając w stacyjce kluczykiem, który najwyraźniej do niej nie pasował. Wreszcie uruchomili auto, łącząc kable zapłonu, i odjechali. Dyspozytor przesłał przez komórkę oddziałowi Garona wiadomość tekstową, podając nazwisko i lokalizację owego policjanta, który zaraportował o kradzieży auta przez uzbrojonych bandytów przed miejscowej restauracji. Ponieważ na parkingu przebywało w tym momencie kilka rodzin z dziećmi, policjant nie zaryzykował otwarcia ognia do rabusiów, aby nie sprowokować strzelaniny w tym ludnym miejscu.

Jego raport sprawił, że stróżowie prawa szybko dotarli do restauracyjnego parkingu, na którym znaleźli auto niemal bliźniaczo podobne do pojazdu skradzionego przez bandytów. Dziwnym zbiegiem

okoliczności był on zarejestrowany na nazwisko przestępcy skazanego za obrabowanie banku i przed kilku tygodniami warunkowo zwolnionego z więzienia. Okazało się, że podczas pośpiesznej ucieczki rabusie przez pomyłkę wsiedli do innego auta zamiast do tego, który zaparkowali zawczasu przed restauracją. W ten sposób pozostawili na parkingu pojazd, którego tablica rejestracyjna pozwoliła zidentyfikować jednego z nich. Kiedy ów przestępca wrócił do domu, czekali już tam na niego agenci FBI. Aresztowali go, a on przyznał się do winy i podał nazwiska współników, aby uzyskać dla siebie złagodzenie wyroku.

FBI ma pierwszeństwo w przypadku przestępstw federalnych, takich jak napad na bank. Jednak nawet gdy w grę wchodzi niektóre inne ciężkie przestępstwa, lokalna policja chętnie przekazuje sprawców FBI, gdyż oskarżenia wysuwane przez Biuro mają większą wagę, a w razie skazania przestępca otrzymuje surowszy wyrok.

Garon był zadowolony z szybkiego i pomyślnego przebiegu akcji oraz z tego, że pomimo gwałtownej strzelaniny przed bankiem nikt nie został poważnie ranny. Dzięki sprawnemu działaniu policji i czujności funkcjonariusza poza służbą, już w dwie godziny po napadzie schwytano sprawców i odzyskano wszystkie zrabowane pieniądze. Garon cieszył się, że śledztwo zostało zakończone. Ci przestępcy byli doświadczeni i groźni, a teraz zostaną unieszkodliwieni na wiele lat.

Po drodze wstąpił do laboratorium kryminologicznego i zostawił tam kilka dowodów rzeczowych dotyczących tej sprawy. Formalnie rzecz biorąc, wyszedł z biura przed zakończeniem regulaminowego czasu pracy, lecz nie miał żadnych naglających zajęć i szef puścił go do domu. Na ranczu zawsze było wiele do zrobienia.

Przejeżdżając obok domu Grace, przypadkiem zerknął na jej frontową werandę i spostrzegł coś, co wyglądało na kłęb ubrań, rozrzuconych na ziemi w pobliżu schodków. Ten widok był tak dziwny, że Garon skręcił na jej podjazd, żeby dokładniej się przyjrzeć.

Kiedy podjechał bliżej, zdał sobie sprawę, że to nie sterta ubrań, tylko leżąca na ziemi, nieprzytomna Grace.

Błyskawicznie wyskoczył z samochodu, podbiegł, uklęknął przy Grace i zbadał jej puls. Serce dziewczyny biło niespokojnym, rwanym rytmem. Po chwili poruszyła się, otworzyła oczy i z wysiłkiem przełknęła ślinę. Była blada jak papier.

- Co ci się stało? - spytał zaniepokojony, bez żadnego wstępu.

- Nie wiem - odrzekła cicho i znowu przełknęła ślinę, aby powstrzymać wzbierające mdłości. - Szłam w stronę domu i nagle pociemniało mi przed oczami. Nigdy dotąd nie zemdlałam - dorzuciła wstrząśnięta. - To nie mógł być udar...

- Coltrainowie mają w sobotnie wieczory dyżur w przychodni, prawda? - spytał.

- Tak, ale nie potrzebuję lekarza - zaczęła słabym głosem. - To tylko jakaś infekcja wirusowa czy coś w tym rodzaju.

Lecz Garon był innego zdania. Zanim Grace zdołała zaprotestować, dźwignął ją i zaniósł do swojego samochodu. To dziwne, pomyślał. Wydała mu się cięższa niż ostatnim razem, kiedy niósł ją do łóżka.

- Nie chcę jechać do lekarza - rzuciła.

Oparł ją o biodro, otwierając drzwi auta, a potem posadził ostrożnie na fotelu pasażera.

- Nie ruszaj się - powiedział stanowczo, sięgając do jej pasa bezpieczeństwa. Gdy go zapinał, jego dłoń musnęła brzuch dziewczyny... i znieruchomiała.

Popatrzył na Grace, marszcząc brwi, a jego duża szczupła dłoń delikatnie spoczęła na jej twardym, napiętym brzuchu.

- Co robisz? - spytała, wciąż jeszcze oszołomiona od zawrotów głowy. - To nie jest zapalenie wyrostka. Ja nie mam wyrostka robaczkowego. Cios nożem przeciął go oraz jeden z jajników...

Garon spoglądał na nią z osobliwą miną. Spostrzegła, że oczy mu błyszczą i jest niemal równie blady jak ona.

- Przerażasz mnie! - zawołała. - O co chodzi?

Przez chwilę łagodnie naciskał brzuch dziewczyny, a potem zapiął pas i zatrzasnął drzwi samochodu od jej strony. Jego twarz była napięta i nieprzenikniona. Nie odezwał się ani słowem. Nie potrafił. Był wstrząśnięty do głębi.

- Muszę zabrać torebkę - powiedziała Grace. - Leży na stoliku w holu. Klucz jest w drzwiach. Musisz je zamknąć, jeżeli naprawdę upierasz się, żeby mnie zawieźć do lekarza.

Garon był zbyt oszołomiony, by się z nią spierać. Wszedł do domu, wziął torebkę, zamknął drzwi, wrzucił klucz do torebki i podał ją Grace, a potem usiadł za kierownicą.

Prowadził samochód jak lunatyk. Czuł, że serce mocno wali mu w piersi. Czy Grace rzeczywiście jest tak naiwna i nie zdaje sobie sprawy ze swojego stanu? Popatrzył na nią ukradkiem, wjeżdżając na szosę.

- Czy ostatnio w ogóle coś jadłaś? - zapytał dziwnym tonem.

Poruszyła się niespokojnie i wyjrzała przez okno.

- Cokolwiek zjadłam, dostawałam rozstroju żołądka - odparła z ciężkim westchnieniem. - Głównie piłam koktajle mleczne.

Ona naprawdę nie wie! Garonowi zaparło dech, a w głowie wirowały mu myśli o konsekwencjach tego, co zaszło. W ciągu ostatnich kilku lat jego męskie instynkty pozostawały uśpione. Unikał nawet przelotnych związków z kobietami i niemal w ogóle nie umawiał się na randki. I oto teraz nagle los zesłał mu tę nieoczekiwaną komplikację, a on czuł się, jakby właśnie wygrał główny los na loterii. Nie wiedział, jak sobie z tym poradzić.

Zerknął na twarz Grace, zwróconą do niego profilem. Nie jest ładna, ale ma w sobie ciepło i uczucie, które budziły w nim pożądanie. Od tak dawna był pogrążony w apatii, a teraz życie nagle nabrało sensu. Znowu odzyskał nadzieję.

- Dziwnie się zachowujesz - zauważyła, gdy podjeżdżali do przychodni Coltrainów, którą dzielili oni z doktor Drew Morris.

- Naprawdę?

- Poza tym doktor mnie nie przyjmie - dodała, spostrzegłszy liczne pojazdy stojące przed budynkiem. - Założę się, że w poczekalni siedzi połowa mieszkańców okolicy. Może odwieź mnie do domu, a z doktorem Coltrainem zobaczę się w przyszłym tygodniu.

- Nie ma mowy - odparł Garon, zatrzymał samochód i wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

Grace usiłowała przerwać jego rozmowę z recepcjonistką przychodni, ale uciszył ją gestem ręki.

- Bocznymi drzwiami? - upewnił się. - Tak, widzę je. Zaraz będziemy.

Podjechał do bocznej ściany domu, zaparkował samochód, pomógł wysiąść Grace i poniósł ją do wejścia.

- Nie jestem ciężko chora - zaprotestowała, oblewając się rumieńcem.

- Wcale nie twierdzę, że jesteś.

- Powiedziałaś recepcjonistce, że jestem nieprzytomna!

- Drobne niewinne kłamstwo - rzekł, dochodząc do drzwi. - Lepiej zamknij oczy, jeśli nie chcesz, żeby przyjęto cię dopiero o północy.

Grace zamierzała się sprzeciwić, lecz w tym momencie otwarto boczne drzwi. Istotnie nie chciała spędzić całej nocy w poczekalni, więc posłusznie przymknęła oczy.

- Proszę ją wnieść tutaj - poleciła pielęgniarka.

Grace poczuła, że kładą ją ostrożnie na stole do badań.

- Lekarz zaraz przyjdzie - oznajmiła pielęgniarka, wychodząc z niewielkiego gabinetu.

Zanim Garon zdołał cokolwiek powiedzieć, wszedł doktor Coltrain w białym kitlu i ze stetoskopem na szyi. Wyglądał na zakłopotanego, gdy włożył słuchawki do uszu i nachylił się, żeby osłuchać Grace.

- Ja tylko zemdlałam, to wszystko - szepnęła.

Coltrain nachmurzył się, gdyż zaniepokoił go rytm jej serca. Słuchał go przez chwilę, kazał jej odkaszlnąć, osłuchał ją ponownie i zdjął stetoskop.

- Co robiłaś, zanim straciłaś przytomność? - zapytał.

Garon bez słowa chwycił dłoń doktora i z wymownym spojrzeniem położył ją płasko na brzuchu Grace.

Zaskoczony Coltrain pogładził napięty i lekko nabrzmiały brzuch dziewczyny, a potem odetchnął głęboko.

- Może przeprowadzić analizy laboratoryjne? - zasugerował Garon z powagą.

Lekarz wpatrzył się w niego. Zaczynał już rozumieć. Jedyne Grace nie miała pojęcia, co się dzieje.

Coltrain wyszedł na korytarz i zawołał pielęgniarkę, a gdy się zjawiała, powiedział coś do niej cicho.

- Dobrze, panie doktorze - odparła i odeszła w głąb korytarza.

Po chwili wróciła i pobrała krew z ramienia Grace, a lekarz w tym czasie gdzieś zatelefonował, a potem wyszedł.

- To nie jest wrzód żołądka - zaprotestowała

Grace, gdy pielęgniarka opuściła gabinet, zamykając za sobą drzwi. - Powiedz to Coltrainowi - poleciła Garonowi. - Wiem, jak wygląda gastroscopia, i nie chcę, żeby poddał mnie temu badaniu.

Garon nie odpowiedział. Podeszedł do okna, wsadził ręce do kieszeni i wyjrzał na zewnątrz. Niebawem świat jego i Grace zmieni się na zawsze. Nie wiedział, co ma powiedzieć albo zrobić, żeby jej nie zirytować.

Doktor wrócił po dziesięciu minutach, posępny i spięty. Zamknął drzwi i usiadł na taborecie.

- Musimy podjąć kilka decyzji - zwrócił się do Grace.

Garon podeszedł do niego, nie odrywając wzroku od dziewczyny, która robiła wrażenie kompletnie skonsternowanej.

- Czy mam raka? - spytała przestraszonym tonem.

Coltrain ujął mocno jej dłoń.

- Jesteś w ciąży, Grace. Wpatrywała się w niego oniemiała.

- Przecież ja nie mogę mieć dzieci - wydusiła wreszcie. - Sam pan tak powiedział!

Coltrain odetchnął gwałtownie, świadomy milczącej obecności Garona obok siebie.

- Powiedziałem jedynie, że twoje zajście w ciążę jest mało prawdopodobne, ponieważ masz tylko jeden jajnik. Nie twierdziłem, że to niemożliwe.

Grace dotknęła brzucha, wyczuwając jego pulchność. A więc jestem w ciąży, pomyślała. Mam w sobie drobne, kruche życie. Ogarnęła ją nagle radość i euforia.

- Nie musisz rodzić - rzucił Coltrain. - Jesteś w ciąży dopiero od miesiąca, więc mamy jeszcze czas na dokonanie aborcji. Mogę wysłać cię do San Antonio...

- Nie!

To słowo wyrwało się jednocześnie z ust Grace i Garona.

Oboje popatrzyli na siebie zaskoczeni, a lekarz wysoko uniósł brwi ze zdziwienia i spytał:

- Co takiego?

- Nie pozwolę uśmiercić mojego dziecka - powiedziała twardo dziewczyna.

- Grace, to zbyt ryzykowne - przekonywał Coltrain łagodnym tonem.

- Posłuchaj mnie, Jacobsville jest małym prowincjonalnym miasteczkiem, a jego mieszkańcy nadal hołdują staroświeckim poglądom na temat niezamężnych matek. Nawet gdyby nie istniało żadne zagrożenie dla twojego zdrowia, jak będziesz się czuła, mając nieślubne dziecko?

- Nie będzie nieślubne - rzucił szorstko Garon. - W poniedziałek z samego rana załatwię niezbędne formalności i w czwartek będziemy mogli wziąć ślub. Jeśli nadal potrzebne są analizy, ma pan już krew Grace i może pobrać moją, skoro tu jestem.

Grace poczuła się, jakby spadała w przepaść.

- W rzeczywistości wcale nie chcesz mnie poślubić - rzekła, świadoma, że tak istotnie jest, choć to raniło jej dumę.

Garon oparł się plecami o stół i spoglądał to na nią, to na Coltraina.

- Niech to, co powiem, pozostanie między nami - zaczął cicho. - Nie wiedzą o tym nawet moi bracia. - Westchnął ciężko i zapatrzył się w przestrzeń, jakby oglądał obrazy z przeszłości. - To było dwa lata po tym, jak ukończyłem Akademię FBI. Właśnie zostałem oddelegowany do oddziału terenowego w Atlancie i tam poznałem Annalee. Miała magisterium z technologii komputerowej i pracowała w Biurze na cywilnym stanowisku, sporządzając dla nas ogólne analizy środowiskowe. Była kobietą silną, niezależną i inteligentną. Już od naszej pierwszej randki oboje wiedzieliśmy, że jesteśmy sobie przeznaczeni. - Garon umilkł i zacisnął szczęki. Grace poczuła, że serce jej zamiera.

- Dwa miesiące później się pobraliśmy. Annalee przywykła do tego, że pracowałem do późnych godzin i niekiedy wyjeżdżałem z jakąś misją za granicę. Sama też poświęcała się swojej pracy. Jednak coraz bardziej się do siebie zbliżaliśmy i byliśmy razem szczęśliwi. Kiedy się okazało, że ona jest w ciąży, pojechaliśmy do centrum handlowego wybrać meble do pokoju dla dziecka oraz zabawki... - Znowu przerwał, aby się opanować.

- W piątym miesiącu ciąży zaczęła odczuwać nieustanne znużenie. Początkowo sądziliśmy, że to naturalna reakcja, ale pojawiły się też inne objawy.

W końcu zawiozłem ją do ginekologa, który przeprowadził badania i natychmiast skierował nas do szpitala na oddział onkologii.

Coltrain zacisnął usta. Garon to zauważył i rzekł:

- Onkolog rozpoznał u niej chłoniaka złośliwego.

- To jedna z najbardziej złośliwych postaci raka - powiedział Coltrain.

- Tak. A moja żona odmówiła poddania się kuracji. Nie chciała ryzykować zdrowia dziecka nawet za cenę własnego życia. - Garon znów poczuł ból i zimną pustkę. - Straciłem ich oboje

- dodał bezbarwnym tonem, usiłując za wszelką cenę nie poddać się rozpacz. - To było dziesięć lat temu. Postanowiłem wtedy, że już nigdy więcej nie podejmę takiego ryzyka, nie ożenię się i poświęcę wyłącznie pracy. I tak zrobiłem. Zgłosiłem się na ochotnika do zespołu ratującego zakładników. Przez sześć lat byłem na pierwszej linii i narażałem życie podczas najbardziej niebezpiecznych akcji. Potem wstąpiłem do brygady antyterrorystycznej. Kiedy moja forma fizyczna zaczęła szwankować, poprosiłem o przeniesienie do jednej z terenowych placówek FBI w Teksasie. Wysłano mnie do Austin, a potem przeniesiono tutaj, abym objął dowództwo zespołu zwalczającego szczególnie brutalne przestępstwa. Lecz przez cały ten okres żyłem jakby w uśpieniu - zakończył. Spojrzał na Grace i w jego czarnych oczach zamigotał ciepły błysk.

- Chcę tego dziecka, Grace. Nawet nie wiesz, jak bardzo!

Zdezorientowany Coltrain popatrzył na nią z niepokojem.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła go. - Nie zrezygnuję z mojego dziecka. Nigdy w życiu nikogo nie miałam - dodała cichym głosem. Położyła dłoń obronnym gestem na brzuchu i uśmiechnęła się zachwycona. - Ono będzie całym moim światem.

Coltrain nie potrafił się oprzeć temu uśmiechowi. Ponadto teraz, gdy nieco lepiej poznał Garona, szczerze mu współczuł i był pewien, że będzie kochającym ojcem. Ale Grace nie zdawała sobie sprawy, czym grozi jej poród.

- Muszę pomówić z twoim przyszłym mężem - rzekł.

- Nie, nie musi pan - odparła wojowniczo.

- Istnieje coś takiego jak prawa pacjenta. Nie pozwalam panu i na tym koniec.

Coltrain był zaniepokojony, lecz Grace miała rację. Nie mógł zdradzić jej sekretu. Rozumiał, dlaczego ona nie chce wtajemniczyć Garona, choć to jeszcze zwiększało ryzyko. Jednak nie potrafiłby działać za jej plecami - nie po tym wszystkim, co przecierpiała. Grace niewątpliwie pragnęła urodzić to dziecko. Zacisnął więc usta, po czym rzekł:

- Dobrze, zrobię, co w mojej mocy.

Garon przed chwilą ujawnił najbardziej bolesne zdarzenie ze swego życia, toteż niezbyt uważnie słuchał tej rozmowy, której sensu zresztą i tak nie pojmował.

Spojrzał na Grace z nieprzeniknioną miną.

- Przepraszam cię za ten kłopot - rzekła zmartwiona. - Ja naprawdę nie wiedziałam...

- To nie kłopot, Grace - odparł łagodnie. - To dziecko.

- Ale ty nie chcesz mnie poślubić - zaczęła raz jeszcze.

- Owszem, nie chcę - przyznał szczerze. - Ale to kwestia jedynie najbliższych ośmiu miesięcy - dodał. - Po narodzinach dziecka podejmiemy decyzję.

Co oznaczało, że nie liczył na żaden szczęśliwy dalszy ciąg. Grace nie mogła go winić. Okazała się nieostrożna, a on gotów był zapłacić za to pewną cenę.

Przynajmniej chciał tego dziecka i nie próbował jej zmusić, by się go pozbyła. Grace nie zamierzała powiedzieć mu niczego, co mogłoby go zaniepokoić. Stracił już jedno dziecko, więc była zdecydowana zrobić wszystko, aby nie utracił następnego.

Garon podjechał pod dom Grace, wysiadł razem z nią, a kiedy otworzyła kluczem drzwi, wszedł za nią do środka.

- Spakuj swoje rzeczy - polecił. - Do czasu naszego ślubu nie będziesz tutaj mieszkać.

- Ale przecież dopiero co tu wróciłam... - zaprotestowała.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa? - zapytał cicho.

Przez chwilę sądziła, że on miał na myśli to drugie zagrożenie.

Potem uświadomiła sobie z ulgą, że mówił o zabójcy.

- On prawdopodobnie nadal uważa, że mam amnezję - powiedziała.

- Popelniał co najmniej jedenaście morderstw, a jednak uniknął aresztowania, więc nie jest głupi. W owym czasie z pewnością mieszkał w Jacobsville.

To nigdy nie przyszło jej do głowy. Odetchnęła gwałtownie i usiadła ciężko na poręczu starego fotela dziadka.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała.

- Większość seryjnych zabójców wybiera swoją pierwszą ofiarę spośród osób z najbliższej okolicy.

Przygryzła wargę, sięgając pamięcią w przeszłość.

- Dwaj mężczyźni wynajmowali domy przy tej szosie - przypomniała sobie. - Jeden z nich miał żonę, która przebywała wówczas w odwiedzinach u rodziny na wschodzie kraju. Drugi był stary i poruszał się na wózku inwalidzkim.

- Morderca niekoniecznie musiał z tobą sąsiadować - rzekł Garon. - Mógł prowadzić jakieś zajęcia w szkole lub parafii, które umożliwiały mu kontakt z dziećmi.

- To mógł być ktokolwiek - stwierdziła posepnie. - Przez wszystkie te lata zastanawiałam się nad tym.

- Obiecuję ci, że go złapiemy - powiedział Garon z niewzruszonym przekonaniem. - Zabieram cię do siebie. W żadnym razie nie zostawię cię tu samej.

Grace wiedziała, że mówi serio. No cóż, przynajmniej się o nią troszczy. Chociaż nie chce jej za żonę, to naprawdę pragnie tego dziecka. Wstała i poszła się spakować.

Panna Turner była podekscytowana nie tylko wiadomością o rychłym ślubie, na którym miała być świadkiem, lecz nade wszystko perspektywą urodzenia przez Grace dziecka. Nie wydawała się wcale zaszokowana faktem, że ciąża poprzedziła małżeństwo. Zaczęła już nawet wybierać materiały i wzory na niemowlęce ubranka.

W dniu ślubu Grace rozłożyła na łóżku swoją jedyną w miarę znośną niebieską wełnianą sukienkę. Garon zapukał i wszedł do pokoju,

dźwigając duże pudło. Z irytacją rzucił okiem na sukienkę, a potem postawił na niej pudło.

- Co to takiego? - spytała Grace.

- Otwórz.

Podniosła pokrywę. W środku była perłowobiała jedwabna suknia, mały kapelusik z welonem i jedwabny bukiet. Zaskoczona podniosła wzrok na Garona.

- Nie poślubię cię ubranej w tę cholerną niebieską sukienkę - oświadczył.

Delikatnie dotknęła jedwabiu. Wiedziała, jak jest drogi, gdyż niedawno kupiła taki materiał z myślą o swym sekretnym projekcie, o którym Garon wciąż jeszcze nic nie wiedział.

- Jest piękna - rzekła.

- Barbara podała mi twoje wymiary - powiedział, lecz nie dodał, że aby w ogóle wpuściła go do restauracji, musiał najpierw przeprosić za swe wcześniejsze zachowanie.

Kiedy jednak usłyszała, że Garon chce ożenić się z Grace, która w dodatku spodziewa się dziecka, złagodniała do tego stopnia, że nawet wybrała się z nim na zakup sukni.

- Dziękuję - wyszeptała Grace nieśmiało. Garon wzruszył ramionami.

- Twoja przyjaciółka z kwiaciarni, Judy, zrobi dla ciebie bukiet. Barbara i panna Turner będą świadkami na ślubie.

Spojrzała na niego.

- A Rick?

Garon mimo woli zacisnął zęby.

- Pracuje i nie może się zwolnić.

Ściśle biorąc, nie była to prawda. Kiedy młody detektyw dowiedział się, że Grace wychodzi za Garona, oświadczył, że nie przyjdzie na ślub, bo nie chce oglądać, jak dziewczyna rujnuje sobie życie. Garon go rozumiał, ale nie mógł przecież porzucić Grace, skoro nosiła jego dziecko.

Grace wiedziała, że Rick ją kocha, i ubolewała, że nie może odwzajemnić jego uczucia. Prawdopodobnie lepiej, że nie zjawi się na ślubie.

- Pojadę do gmachu sądu - oznajmił Garon. - Ciebie przywiezie panna Turner.

- Dobrze.

Nie zapytał jej, czy chce ślubu kościelnego, ani nie zaproponował uroczystej ceremonii z druhami i drużbami. Zapewne tak właśnie okazałoby się jego ślub z pierwszą żoną. Lecz Grace nie miała do niego pretensji. Zdawała sobie sprawę, że Garon nadal oplakuje śmierć ukochanej kobiety. Wystarczało jej, że da nazwisko ich dziecku. Nie oczekiwała, że zechce związać się z nią na stałe.

Ślubu udzieliła im sędzia Anna Banes, sama zamężna od dwudziestu lat. Znała dobrze Grace i jej rodzinę i wiedziała o tym, co dziewczynę kiedyś spotkało. Ceremonia była krótka, ale uroczysta i wzruszająca. Po obu stronach młodej pary stały Barbara i panna Turner.

Grace nie sądziła, że Garon kupi jej ślubny pierścionek, a jednak to zrobił. Była to szeroka złota obrączka z platynowym brzeżkiem i wyrytym wzorem liścia winogronowego. Dla siebie nie kupił obrączki, co nie zdziwiło Grace. Gdy sędzia oznajmiła, że są prawnie poślubieni, pochylił się i musnął policzek Grace pocałunkiem. Choć minęło już tyle lat, wciąż

żywo pamiętał radość ze swego pierwszego ślubu. Lubił Grace i pragnął ich dziecka, ale nie potrafił uwolnić się od przeszłości.

Po ślubie zaprosił wszystkich na lunch do restauracji Barbary. Właścicielka osobiście wniosła wspaniałą tort weselny, który przygotowała specjalnie na tę okazję. Grace, wzruszona jej życzliwością, popłakała się i serdecznie objęła przyjaciółkę, którą traktowała jak starszą siostrę.

Wracali do domu tylko we dwoje, gdyż panna Turner pojechała formem. Nagle zabrzmiał sygnał pagera. Garon wyjął go, odczytał wiadomość i skrzywił się.

- Muszę natychmiast jechać do biura - oznajmił, wciskając pedał gazu. - Pojawił się nowy trop w tej sprawie.

- W sprawie zabójcy? - spytała podekscytowana Grace.

Skinął głową.

- Tak. Przykro mi - dodał - ale wiesz, że mam nienormowany czas pracy.

- Mój dziadek był zastępcą szeryfa - odparła.

- W nagłych sytuacjach musiał wychodzić z domu o każdej porze nocy. Babcia zawsze robiła mu z tego powodu awantury - dodała cicho. - Myślę, że było to z jej strony samolubne. Przecież on ratował ludzkie życia.

Garon popatrzył na Grace z ciepłym uśmiechem.

- Właśnie dlatego my wszyscy pracujemy w tym zawodzie.

- Ja też mam mnóstwo zajęć - rzuciła lekko.

- W tym także moje obydwie posady.

- Jeśli zechcesz, możesz z nich zrezygnować i zostać w domu - stwierdził. - Dobrze zarabiam, a ranczo przynosi dodatkowy dochód.

Musnęła palcami jedwabny bukiet. Bukiet z kwiatów rzuciła po ślubie za siebie, złapała go Barbara.

- Lubię pracować - odrzekła. - I nie przepadam za zajmowaniem się domem.

To była dla niego niespodzianka. Z tego, co wiedział, nie robiła nic innego oprócz opiekowania się babką.

Grace wyczuła jego zaciekawienie, lecz nie powiedziała nic więcej. Garon podjechał pod drzwi domu i obszedł samochód, żeby pomóc jej wysiąść.

Nieoczekiwanie chwycił ją w ramiona i przeniósł przez próg. W tym momencie zauważyła forda stojącego przed gankiem. Panna Turner przyjechała wcześniej i z szerokim uśmiechem otworzyła im drzwi.

Roześmiany Garon wniósł Grace do środka i postawił na podłodze. Potem pochylił się i delikatnie ją pocałował.

- Róże mogą zaczekać - powiedział. - Odpocznij.

- Zamierzasz w drodze do pracy wpaść do mojego ogrodu i powiedzieć im, gdzie jestem? - spytała z szelmowskim uśmiechem.

Pogładził palcem jej nos.

- Postaram się wrócić jak najwcześniej - oświadczył.

Po chwili już go nie było, a panna Turner nakłoniła Grace, żeby poszła się przebrać i odpocząć.

Kiedy kilka minut później Garon wszedł do swego gabinetu, spostrzegł siedzącego tam Marqueza, zawahał się w drzwiach.

Młody detektyw rzucił mu niecierpliwe spojrzenie.

- No dobrze, przyznaję, że wcześniej zachowałem się niestosownie - rzucił napiętym tonem.

- Przynajmniej nie zostawiłeś Grace na łodzie. Garon uniósł brwi.

- Więc wiesz o wszystkim?

- Wiem całkiem sporo. Matka i ja nie mamy przed sobą sekretów. -
Wbił wzrok w podłogę.

- Rozmawiałem z policjantem w Oklahomie. Przy ciele dziewczynki, zamordowanej tam przed czterema laty, również znaleziono czerwoną wstążkę. Na wszelki wypadek zataili tę informację.

- To musi być ten sam facet - powiedział cicho Garon.

- Tak. Przypuszczam, że w ciągu ostatnich kilku lat nie próżnował i popełnił morderstwa również w innych miejscowościach. Po ostatnim zabójstwie zdobyliśmy jego DNA, ale z komputera nie otrzymaliśmy żadnych wyników - dodał.

- Miałem nadzieję, że był już notowany i figuruje w kartotece przestępców.

Garon potrząsnął głową.

- Jest na to za sprytny.

- Jeden ze starszych funkcjonariuszy z Oklahomy, który brał udział w śledztwie w sprawie tego zabójstwa, powiedział mi, że mieli naocznego świadka. Widział, jak morderca porwał dziewczynkę z jej pokoju.

Garon zmarszczył brwi.

- Przesłuchialiśmy Sheldona, tego świadka z San Antonio. A kiedy pojechałem do Palo Verde, tamtejszy szef policji powiedział, że mieli naocznego świadka o nazwisku Rich, mieszkającego tuż obok domu

ofiary, który twierdził, że widział, jak zabójca porwał dziewczynkę. Ten Rich wkrótce potem wyjechał z miasta.

- A więc było trzech naocznych świadków trzech zabójstw.

Garonowi zabłyśły oczy.

- Tak. Myślę, że to za każdym razem ten sam człowiek. W ten sposób usiłuje włączyć się w śledztwo - powiedział. Nagle coś sobie przypomniał. - Na Boga, pamiętasz, że Sheldon nosił rękawiczki z powodu blizn na dłoniach?! Grace widziała jedynie ręce napastnika. Powiedziała, że były bardzo białe i pokryte szramami. A jeśli to Sheldon jest mordercą... ?!

- Idziemy! - zawołał Marquez.

Garon wybiegł z gabinetu tuż za młodym detektywem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Garon i Marquez pojechali szybko do domu Sheldona, mieszczącego się na granicy okręgu San Antonio. Jeżeli uda im się zaarrestować Sheldona pod jakimkolwiek pretekstem i odpowiednio przesłuchać, mogliby rozwiązać tę sprawę. Muszą to dobrze zaplanować. Sheldon jest inteligentny i jeśli rzeczywiście to on popełnił jedenaście morderstw, z pewnością niełatwo będzie wydobyć z niego przyznanie się do winy.

Po drodze Garon zadzwonił z komórki do biura i polecił jednemu ze swoich ludzi, aby sprawdził, czy Sheldon figuruje w policyjnej kartotece. Okazało się, że nie jest notowany.

- Nie mamy wiarygodnego powodu, żeby go aresztować - mruknął.

- Coś wymyślimy - odparł Marquez.

- Przy naszym pechu pewnie ma zdjęcia ofiar rozrzucone po całym domu, a my nie będziemy mogli nawet go tknąć bez nakazu rewizji. Trzeba było go zdobyć, zanim tu przyjechaliśmy.

- Bez przekonującego powodu żaden sędzia nie wydałby nakazu - rzucił szorstko Marquez. - Musielibyśmy sporządzić listę wszystkiego, co spodziewamy się znaleźć, a nawet wówczas byłoby wątpliwe, czy dostalibyśmy nakaz.

- Wiem - rzekł Garon.

Miotają nim gwałtowne uczucia. Myślał o Grace i o tym, co ją spotkało. Dalby wszystko, żeby móc schwytać jej prześladowcę i wpakować go do więzienia.

Marquez uśmiechnął się szelmowsko.

- Moglibyśmy przeprowadzić nieoficjalne przeszukanie - zaproponował półzartem. - To żaden problem! - wykrzyknął młody detektyw. - Po prostu ty idziesz do tylnych drzwi, a ja do frontowych. Wołam: „Puk, puk”, a ty odpowiadasz: „Wejść”.

- A potem obaj lądujemy przed sądem - dodał Garon.

- Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

Wjechali na podjazd Sheldona. Nie parkował tam żaden samochód i nie paliły się światła. Garon zastukał głośno i oznajmił, że jest agentem FBI. Odpowiedziała mu cisza.

Starsza kobieta z sąsiedniego domu, w holenderskich drewnianych chodakach i z łopata w ręku, spostrzegła ich na ganku i zawołała:

- Jeśli szukacie pana Sheldona, to go tu nie znajdziecie.

Wyprowadził się kilka dni temu. Załadował wszystkie swoje rzeczy do ciężarówki i odjechał.

- Wie pani dokąd? - spytał Marquez.

- Powiedział, że do Kalifornii.

- Jaka to była ciężarówka? - zapytał Garon.

- Zwyczajna stara biała furgonetka - odparła. - Taki miły był z niego człowiek - dodała. - Bardzo uczynny. Przynosił mi zakupy ze sklepu, a kiedy zachorowałam, odbierał dla mnie lekarstwa z apteki. Uroczy mężczyzna. Będzie mi go brakowało.

Garon nie odważył się powiedzieć starej kobiecie, o co podejrzewa jej uroczonego sąsiada. Wraz z Marquezem pojechał po nakaz rewizji. Wkrótce ekipa kryminologów dokładnie przetrząsnęła cały domek w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu. Podobnie zrobiono w domu w Palo

Verde. Jednak obie akcje nie przyniosły żadnych efektów. W budynkach znaleziono jedynie kilka włosów.

Nie udało się również odnaleźć białej furgonetki. Funkcjonariusze nie znali jej numeru rejestracyjnego. Nie zdobyli też żadnych informacji o Sheldonie. Ten dzień zaczął się bardzo obiecująco, lecz - jak często bywa w śledztwie - trop okazał się zwietrzały. Rodzice zamordowanych dziewczynek dzwonili do Marqueza, pytając o postępy dochodzenia. Musiał odpowiadać, że nie posunął się nawet o krok naprzód. Jednak ani on, ani Garon nie rezygnowali. Wciąż mieli nadzieję, że prędzej czy później schwytają zabójcę.

Jednakże mijały tygodnie, a potem miesiące, oni zaś nie osiągnęli żadnych rezultatów. Wszczęto poszukiwania Richa i Sheldona, lecz bez powodzenia. Nie znaleziono prawa jazdy ani odcisków palców - w ogóle niczego, co pomogłoby w wytropieniu któregoś z nich. Garon przypomniał sobie, że Sheldon przechwalał się przynależnością do Mensy, lecz stowarzyszenie nie posiadało o nim żadnych danych.

- Czy znaleźliście cokolwiek, co mogłoby pomóc w namierzeniu tego specjalisty komputerowego? - spytała go Grace pewnego wieczoru po kolacji.

Oboje pili już kolejną filiżankę kawy. Panna Turner sprzątnęła ze stołu i poszła spać.

Garon potrząsnął przecząco głową i zerknął na Grace, siedzącą naprzeciwko niego po drugiej stronie stołu. Była w piątym miesiącu ciąży; wyglądała na znużoną. Ostatnio rzadko wstawiała z łóżka, co napawało Garona niepokojem. Któregoś dnia zatelefonował do Coltraina. Doktor przyjechał i zbadawszy Grace, oświadczył, że jej stan jest całkiem typowy

dla tego stadium ciąży. Lecz przed odejściem długo dyskutował z Grace na osobności. Garon zapytał ją później, o czym rozmawiali. Odpowiedziała, że boi się porodu i wypytywała o to Coltraina.

Nie przybrała zbyt na wadze i naprawdę wyglądała źle. Łykała przepisane witaminy, ale to nie pomagało.

- Chciałabym, żebyś przestał się o mnie zamartwiać - mruknęła do Garona pewnego poniedziałkowego ranka przy śniadaniu. - Nic mi nie jest.

Jednak to nie była prawda. Garon robił wszystko, aby nabrała apetytu, lecz Grace odżywiała się niemal wyłącznie koktajlami truskawkowymi i suchymi grzankami. Nie dostarczała organizmowi wystarczającej ilości białka. Garon liczył, że witaminy odniosą pozytywny skutek. W desperacji zaczął nawet sprowadzać dla Grace samolotem smaczkowite egzotyczne potrawy, lecz ona prawie nie chciała ich tknąć.

- Grace, jeżeli nie będziesz się odpowiednio odżywiać, możesz zaszkodzić dziecku - rzekł zrozpaczony.

Grace zamierało serce za każdym razem, gdy Garon mówił coś takiego. Był tak przejęty przyszłym ojcostwem. Studiował książki na temat ciąży i wychowania dzieci. Oglądał w telewizji programy o porodzie. Jeździł z Grace na zajęcia do szkoły rodzenia i spacerował z nią po podwórzu, żeby zażywała trochę ruchu. Nieustannie troszczył się o nią i otaczał ją opieką. Jednak wszystko to czynił dla dobra dziecka. Grace nie żywiła złudzeń co do uczuć męża dla niej. Mieli osobne sypialnie i wiodli osobne życie. Garon codziennie jeździł do pracy i wracał późnym wieczorem. Twierdził, że zajmuje się śledztwem w sprawie zabójcy dziewczynek, lecz Grace podejrzewała, że w istocie jest zajęty Jaqui Jones.

Jaqui zadzwoniła do niej kiedyś i przypomniała, że po urodzeniu dziecka Grace utraci swe miejsce w życiu męża. Utrzymywała, że Garon wymyka się z domu, aby się z nią spotykać. Naturalnie, na razie nie robi tego jawnie, gdyż nie chce rozdrażnić Grace, oświadczyła Jaqui z fałszywą słodyczą, po czym dodała, że taki zmysłowy mężczyzna jak Garon nie zadowolony się współżyciem z kobietą zdeformowaną ciążą.

Grace odłożyła słuchawkę i przestała odbierać telefony. Nie wspomniała Garonowi o rozmowie. Wiedziała, że nic go to nie obejdzie, chyba że nękanie jej przez Jaqui zagrażałoby zdrowiu dziecka.

Garon widział apatię Grace i ogarniało go poczucie winy. Czy wciąż cierpiała z powodu bólu, jaki jej zadał? Czy stąd brał się grymas na jej twarzy, gdy na niego patrzyła? Świadomy złego samopoczucia dziewczyny, w trakcie jej ciąży nie nalegał na fizyczne współżycie. Grace nie miała sił nawet do tego, by zajmować się swymi ukochanymi różami, i w końcu poprosiła męża, by zlecił ich nawożenie i spryskiwanie jednemu z pracowników rancza. Starła się unikać zajęć wymagających wysiłku.

Minęła wiosna, potem lato i nastąpiła jesień. Garon prowadził dochodzenia, które kilkakrotnie wymagały jego wyjazdów do innych stanów, a raz nawet za granicę. Zebrania oddziału specjalnego odbywały się sporadycznie, ponieważ środki finansowe skierowano do innych celów, a zabójca nadal unikał schwytania. Grace zauważyła, że Garon na wszelki wypadek zlecił stały nadzór nad nią. Widocznie ciągle jeszcze obawiał się, że morderca mógłby wrócić. Tak więc rzadko widywała męża.

Z woli Garona od dawna mieszkała w pokoju gościnnym. Mąż tłumaczył tę decyzję troską o jej spokój i odpoczynek, które zakłócałyby jego powroty z pracy w późnych godzinach nocnych. Prawdziwy powód

był inny, lecz Garon nie sądził, by żona pragnęła go poznać. Widział wyraz twarzy Grace, gdy opowiadał jej i Coltrainowi o śmierci Annalee i dziecka. Odtąd nie chciał już nikogo pokochać. Grace pojęła to bez słów i właśnie wtedy jej oczy na zawsze utraciły blask.

Nadal chodziła do pracy w kwiaciarni i restauracji. Wieczorami zamykała się w trzecim pokoju gościnnym, który przy pomocy panny Turner przerobiła na szwalnię. Oświadczyła Garonowi, że pracuje tam nad projektem związanym z Gwiazdką. Nie dopytywał się o szczegóły, gdyż uważał, że Grace ma prawo do swych sekretów.

Jednak dostrzegając przygnębienie żony i w trosce o nią postanowił pomówić z Barbarą, która znała Grace lepiej niż ktokolwiek inny w Jacobsville. Zjawił się u niej tuż przed otwarciem restauracji.

- Ona nie chce ze mną o tym rozmawiać - wyznał. - Za każdym razem zmienia temat albo wychodzi z pokoju pod pretekstem jakiejś pilnej sprawy. - Siedząc przy stoliku, spuścił wzrok na swoje splecione dłonie. - Wiem, że coś ją nurtuje, ale nie potrafię się dowiedzieć, co takiego.

Barbara pomyślała, że mężczyźni to najgłupsze stworzenia na świecie. Było dla niej oczywiste, że Grace kocha swego męża, a jednocześnie jest przekonana, że jemu zależy jedynie na dziecku. Powiedział jej przecież, że będą małżeństwem tylko do jego narodzin. Prawdopodobnie zapomniał o tych słowach, lecz Grace dobrze je zapamiętała. Teraz odlicza czas do porodu i czuje się, jakby była dla Garona jedynie inkubatorem.

- Może powinieneś od czasu do czasu zabrać ją do miasta - poradziła Barbara. - Z wyjątkiem pracy u mnie i u Judy, ona nigdzie nie wychodzi.

Garon zacisnął usta.

- Chodzi do kościoła z tobą i Marquezem - powiedział.

Barbara stłumiła śmiech, słysząc jego gniewny ton. Widocznie uważał Marqueza za rywala. Niewątpliwie Grace przy Ricku śmiała się i zachowywała naturalnie, natomiast w obecności Garona była przygaszona i niemal się nie odzywała. Ta różnica rzucała się w oczy.

- Bo ty tam nie chodzisz - odparła Barbara. - Grace traktuje poważnie niedzielne wizyty w kościele.

Garon musnął czubkiem palca płaski, czysty paznokcieć.

- Ja już nie rozmawiam z Bogiem - oznajmił.

- Z jakiego powodu? - spytała.

Podniósł na nią wzrok. Czyż nie powiada się, że spowiedź przynosi ulgę duszy? Barbara go nie lubi i nie ufa mu. Może dlatego, że zbyt wiele skrywa przed ludźmi.

- W przeszłości miałem już żonę - zaczął i zauważył jej zdziwienie. - Ogromnie ją kochałem i spodziewałem się, że spędzę szczęśliwie całe życie z nią i naszym dzieckiem. Kiedy była mniej więcej w piątym miesiącu ciąży, tak jak obecnie Grace, zdiagnozowano u niej śmiertelnego raka. Straciłem ich oboje...

Ta tragedia wciąż była widoczna w jego napiętych rysach i mrocznym spojrzeniu. Barbara złagodniała, ogarnięta falą współczucia. Znała ból utraty. Jej mąż przed dziesięcioma laty zginął w katastrofie lotniczej. Wciąż jeszcze go opłakiwała i nigdy nie myślała o powtórny małżeństwie. Było dla niej oczywiste, że ten powściągliwy, małomówny agent FBI odczuwa podobnie. Jego serce umarło wraz z rodziną, którą utracił. Grace niewątpliwie o tym wie i stąd bierze się jej przygnębienie.

- Mój mąż zginął w wypadku - powiedziała Barbara cicho. -
Poroniłam wtedy jedyne dziecko, jakie było nam dane począć. Odtąd
żyłam wyłącznie przeszłością i pragnęłam umrzeć. A potem zjawił się
Rick i nagle moje życie odzyskało sens. - Napotkała wzrokiem badawcze
spojrzenie Garona. - Przestałam rozmyślać o sobie i rozejrzałam się
wokoło, żeby zobaczyć, czy ktoś nie potrzebuje mojej pomocy.

Garon skrzywił się.

- Czy ta historia ma jakiś morał?

- Od utraty żony i dziecka żyjesz wpatrzony w otwarty grób -
powiedziała szczerze. - Nie sądzisz, że najwyższa pora, byś zaczął żyć
teraźniejszością? Masz teraz drugą żonę, która spodziewa się waszego
dziecka. To nie w porządku, że przedkładasz nad nich duchy przeszłości.

W ciemnych oczach Garona zamigotał dziwny błysk.

- Surowe słowa.

- Ale prawdziwe - odparowała. - Grace nie jest może władczą,
niezależną, przebojową kobietą, jak twoja przyjaciółka Jaqui, ale posiada
swoje zalety.

- Potrafi gotować i szyć - rzucił szorstko Garon. - Niegdyś były to
umiejętności cenione u kobiet, lecz dzisiaj świat się zmienił.

- Najwyraźniej podziwiasz kobiety w typie Jaqui - powiedziała
Barbara, mierząc go spojrzeniem, które znów stało się chłodne. - Po
narodzinach dziecka możesz wziąć dyskretny rozwód i związać się ze swą
wymarzoną wybranką. Może wtedy Grace wreszcie pojmie, że Rick jest
dla niej o wiele odpowiedniejszą partią niż ty. Wybacz, ale muszę
otworzyć restaurację.

Wstała i bez słowa odeszła od stolika.

Garon wrócił do domu, czując w sobie pustkę. Wiedział, że coraz bardziej oddala się od Grace. W lecie prowadzone przez niego śledztwa wymagały ciągłych wyjazdów, a po powrocie musiał nadrabiać pracę zarówno w biurze, jak i na ranczu. Jego ojciec i bracia wpadli kiedyś w odwiedziny, żeby poznać jego nową żonę, lecz nie zostali długo. Grace w ich towarzystwie była nieśmiała i skrepowana, a ojciec stwierdził, że to małżeństwo wydaje mu się dziwaczne. Garon nic nie odpowiedział.

Małżeństwo istotnie było dziwaczne - ale przywykł do zapachu świeżo upieczonego chleba w kuchni i łagodnego śmiechu Grace, gdy żartował na temat jej krzaków róż. Przywykł do ulotnej różanej woni jej skóry i cichego odgłosu kroków, stłumionego przez gruby dywan. Jediną ciemną stroną tej sytuacji było nieustanne pożądanie, które odczuwał i powściągał z najwyższym trudem. Pragnął jej stale, ale była w ciąży i wydawała mu się tak delikatna i krucha. Często miewała mdłości. Po przejściu zaledwie kilku metrów dostawała zadyszki. Toteż droczył się z nią łagodnie i trzymał ją za rękę podczas wspólnych spacerów. I martwił się o nią. Starał się nie wywierać żadnej presji, żeby nie wywołać napięcia, które groziłoby utratą dziecka. Nie mógł się wprost doczekać jego narodzin. Na samą myśl o tym czuł ciepło w sercu i przypływ radości życia. Lecz żona zdawała się nie podzielać jego uczuć. Wiedział, że Grace uwielbia dzieci, ale zachowywała się inaczej niż dawniej.

Czuł, że ona z każdym dniem coraz bardziej pogrąża się w depresji. To nie wróżyło nic dobrego. Musi nią wstrząsnąć i przywrócić do życia.

- Może pojechałabyś ze mną do biura? - zaproponował, wbijając wzrok w swoją filiżankę kawy. - Zjedlibyśmy razem lunch, a potem mogłabyś pójść na zakupy, podczas gdy ja uporałbym się z papierkową robotą.

Grace zawahała się. Zdawała sobie sprawę, że jest to ze strony męża pojednawczy gest. Być może powodowała nim jedynie litość, jednak na samą myśl o spędzeniu kilku godzin ze swym seksownym mężem poczuła, że ogarnia ją fala gorąca.

- Z przyjemnością - odrzekła, lecz nie spojrzała na niego.
- Mogłabyś włożyć jedno z tych nowych ciążowych ubrań? - zapytał.
- Owszem.
- Więc zaczekam, aż się przebierzesz.
- Dobrze.

Dopiła bezkofeinową kawę i poszła długim korytarzem do swojej sypialni. Wyjęła z szafy jeden z trzech strojów, które nabyła niedawno za radą panny Turner. Garon dał jej wówczas kartę kredytową i polecił gospodyni, aby zawiozła ją do San Antonio na zakupy. Grace, latami przyuczana przez babkę do oszczędności, obawiała się teraz wydać zbyt wiele. Panna Turner namawiała ją, by wstąpiła do działu z odzieżą sportową, lecz Grace nawet nie spojrzała w tamtym kierunku. Nie chciała, by Garon oskarżył ją o to, że rozrzutnie dysponuje jego pieniędzmi. Co innego, gdyby sama posiadała ich wystarczająco. Lecz dochody z obydwu prac przeznaczala głównie na swój projekt. Obecnie był on już ukończony i znalazł nabywcę. Dla Garona będzie to wielka niespodzianka.

Tymczasem jednak nie zamierzała marnować swych ciężko zarobionych pieniędzy na błahostki takie jak modny strój sportowy dla ciężarnych kobiet.

Nie wtedy, gdy w Teksasie zapanował upał i bawełniane przewiewne sukienki są tak tanie.

Włożyła różową górę i spódnicę oraz białe mokasyny.

Wyszczotkowała długie jasne włosy, tak że opadły miękkimi falami na ramiona. Przejrzała się w lustrze. Jej pociągła twarz wyglądała blado. Garon nie miał pojęcia, co przed nim ukrywała. Nie chciała, żeby się tego dowiedział, bo to by go zaniepokoiło. U jego żony wykryto raka, kiedy była w piątym miesiącu ciąży. Obecnie jej ciąża z pewnością przypominała mu o tym, co niegdyś utracił.

Grace wzięła małą torebkę i wróciła do jadalni.

- Jestem gotowa - oznajmiła.

Garon wstał i z uśmiechem aprobaty przyjrzał się jej wdzięcznemu strojowi.

- Całkiem nieźle, pani Grier - mruknął.

Serce Grace podskoczyło radośnie. Po raz pierwszy Garon zwrócił się do niej w ten sposób. Zazwyczaj też nie komentował jej wyglądu.

- Dziękuję - odparła nieśmiało, unikając jego wzroku.

Być może sądził, że to pochlebstwo poprawi jej nastrój i wpłynie korzystnie na apetyt.

- A więc chodźmy - rzekł.

Otworzył przed nią drzwi samochodu i pomógł wsiąść. Był upalny, bezchmurny dzień. Grace zastanawiała się, jak koledzy Garona zareagują na jej wizytę w biurze. Perspektywa spotkania z nimi wprawiała ją w zakłopotanie. Wciąż jeszcze czuła się niepewnie w towarzystwie mężczyzn.

Weszli razem do biura, lecz Garona natychmiast zagadnął jeden z agentów w jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie i obydwaj znikli w gabinecie, żeby porozmawiać na osobności.

Przystojna kobieta przystanęła i popatrzyła na Grace.

- Mogę pani w czymś pomóc? - spytała.

- Eee... nie, nie, dziękuję - wykrztusiła zażenowana Grace. - Po prostu czekam na mojego męża.

- Czy pani mąż to ten świadek, którego przesłuchuje agent Carlson? - zapytała kobieta, wskazując pobliski pokój.

Zanim Grace zdołała odpowiedzieć, dobiegł stamtąd gwałtowny potok dziwnych, melodyjnych słów w języku arabskim.

- Och, do diabła, dlaczego nie przyprowadził pan ze sobą kogoś, kto zna angielski? - rzucił z irytacją Carlson, po czym wrzasnął: - Joceline!

- Słucham - odparła kobieta.

Wysoki blondyn wytknął głowę zza drzwi.

- Ten gość nie mówi po angielsku. Jest tam gdzieś Jon Blackhawk?

- Niestety, nie. Dzisiaj rano musiał zeznawać przed sądem w sprawie tego zeszłorocznego morderstwa.

- Więc co mam zrobić? - burknął agent. - Jeśli on teraz wyjdzie, być może nie uda mi się sprowadzić go z powrotem!

W drzwiach pojawił się Arab. Uniósł ręce, wyrażając konsternację z powodu tego, że nikt w całym biurze FBI nie potrafi go zrozumieć. Grace podeszła do niego.

- To dlatego, że agent, który zazwyczaj pełni funkcję tłumacza, jest dziś w sądzie - wyjaśniła w bezbłędnym arabskim.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i pozdrowił ją serdecznie. Grace z miłym uśmiechem odpowiedziała uprzejmie na jego powitanie.

Joceline i Carlson wlepili w nią wzrok.

- Mówi pani po arabsku?! - zapytał agent.

- Tak. Czego chce się pan od niego dowiedzieć?

- Proszę tu wejść - rozpromieniony agent zaprosił ją do środka.

Dwadzieścia minut później wrócił Garon. Rozejrzał się, szukając Grace. Nie znalazłszy jej, skrzywił się z niezadowoleniem. Wprawdzie nie polecił Grace, żeby została w biurze, ale nie spodziewał się, że ona wybierze się na spacer po mieście. Była słaba i upał mógł jej zaszkodzić. Pomyślał zmartwiony, że widocznie Grace poczuła się zagubiona w tym wielkim gmachu.

Przystanął przed biurkiem Joceline.

- Nie widziałaś mojej żony? - zapytał.

Kobieta ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy.

- Jesteś żonaty? Nigdy o tym nie wspomniałeś.

- Nikogo to nie powinno obchodzić - odparł lodowatym tonem. - To skomplikowana historia i nie mam ochoty jej wyjaśniać.

- Ciężowy strój twojej żony jest wystarczającym wyjaśnieniem - rzekła Joceline. - Jeżeli szukasz tej ciężarnej kobiety, to jest w tamtym pokoju.

Grace otaczała grupka agentów. Wszyscy rozmawiali z ożywieniem i śmiali się głośno.

- Czy to twoja pani? - zapytał Garona jeden z agentów, Blackhawk.

- Moja pani? - Garon poruszył się niespokojnie. - Tak, to moja żona Grace - przyznał.

- Jon Blackhawk - przedstawił się Grace nowo przybyły agent i uścisnął jej drobną dłoń. - Miło mi panią poznać.

- Mnie również - dodał Carlson.

- To mnie było miło was poznać - odparła z uśmiechem.

Garon chwycił ją za rękę.

- Musimy już iść, bo inaczej spóźnimy się na lunch.

- Przyrowadź ją jeszcze kiedyś! - zawołał za nim Carlson.

Garon nie odpowiedział. Delikatnie wyprowadził Grace na ulicę i pomógł jej wsiąść do samochodu. Zanim włączył silnik, odwrócił się do niej i powiedział:

- Widzę, że przyjemnie spędziłaś czas. Uniosła brwi.

- Owszem. Możesz od czasu do czasu zabierać mnie ze sobą. Potrafię chodzić i rozmawiać. Kiedy wieczorem wracasz do domu, mówisz głównie o swojej pracy, zjadasz kolację, zamykasz się w gabinecie, a potem idziesz spać. Nie sędzę, byśmy od naszego ślubu rozmawiali ze sobą w sumie dłużej niż godzinę.

Miała rację. Celowo unikał przebywania z nią sam na sam. Tylko w ten sposób mógł się powstrzymać przed tym, żeby chwycić ją w ramiona. Wiedział, że obecnie nie wolno mu się z nią kochać.

- Jestem zapracowany - oświadczył.

- Być może - rzuciła, zapinając pasy. - Tak czy inaczej, przypuszczam, że nie zależy ci specjalnie na tym, żeby mnie lepiej poznać. Po porodzie wrócę do swojego domu.

W samochodzie zapadła głęboka cisza. Grace zerknęła na Garona. Zdziwił ją napięty wyraz jego twarzy.

- Tak właśnie uzgodniliśmy przed ślubem - przypomniała mu. - Oznajmiłeś, że rozstaniemy się po narodzinach dziecka.

Istotnie tak powiedział, choć teraz tego żałował.

- Pracujesz dorywczo na posadach niewymagających niemal żadnych kwalifikacji. Sądziłem, że nie zdołałabyś się odnaleźć w bardziej wyrafinowanym środowisku - rzucił szorstko.

- Robię to, co lubię - odparowała, po czym przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Nie sprostałabym stresującej, odpowiedzialnej pracy na wysokopłatnym stanowisku. Ale to nie znaczy, że nic nie umiem, choć najwyraźniej tak właśnie o mnie myślisz - podobnie jak myślałeś, że bez ciebie nie poradzę sobie w twoim biurze nawet przez pół godziny.

- Nigdy nie twierdziłem, że jesteś głupia.

- Nie ośmieliłbyś się tego powiedzieć, bo wówczas nigdy już nie dostałbyś ani kawałka mojej szarlotki - rzekła z uśmiechem.

Garon mimo woli zachichotał.

- Uważaj, śmiech może wejść ci w nawyk - ostrzegła go ironicznie.

Westchnął głęboko i przyjrzał się jej.

- Naprawdę wyglądasz ładnie w ciąży - powiedział nieoczekiwanie.

Grace uznała to pochlebstwo za chybione. Garon jej nie kocha, ale chyba rzeczywiście ją lubi. Nie może tylko znieść jej obecności, kiedy są w domu razem.

Nie przejmowała się tym zbyt. Po odejściu Garona pozostanie jej dziecko. Delikatnie dotknęła brzucha. Albo przypadnie ono ojcu, jeśli spełnią się najgorsze przewidywania zaniepokojonego Coltraina. Ale przynajmniej przez jakiś czas mogła mieszkać z Garonem Grierem, być przy nim. Wiedziała, że nigdy nie pokocha nikogo innego. Musi tylko ukryć swoje uczucia do męża. Nie chciała obarczyć go poczuciem winy.

Przecież nic nie może na to poradzić, że wciąż kocha była żonę. Niektórzy ludzie po prostu nie potrafią zakochać się po raz drugi.

Dni mijały i raptem Garon uświadomił sobie, że Grace jest już w ósmym miesiącu ciąży. Przez większość tego czasu wraz z oddziałem specjalnym prowadził dochodzenie w sprawie serii zabójstw dziewczynek. Jednak morderca nie pozostawił żadnego śladu, za którym mogliby podążać. Wciąż na nowo przesłuchiwali świadków, w nadziei że zdobędą jakąkolwiek wskazówkę, która pozwoli im schwytać sprawcę. Jednak nie posunęli się ani o krok naprzód. Sprawdzili wszystkie białe furgonetki zarejestrowane w Teksasie, lecz żadna nie należała do mężczyzny o nazwisku Sheldon. To był ślepy zaułek. Zaczynali darzyć coraz większym współczuciem i zrozumieniem tych nieszczęsnych stróżów prawa ze stanu Waszyngton, którzy przez dwadzieścia lat daremnie usiłowali wytropić grasującego tam seryjnego zabójcę. Mieli wprowadzić zeznania Grace, których mogli się uchwycić, lecz nie dały im one spodziewanej podstawy do pomyślnego zakończenia śledztwa. Kluczem do rozwikłania sprawy był Sheldon, jednak zniknął, skutecznie zacierając za sobą wszelkie ślady. W ciągu minionych miesięcy rzucali kolejne pomysły i wcielali je w życie, lecz bez skutku. Mówiono o rozwiązaniu ich zespołu, który istotnie nie osiągnął żadnych rezultatów.

Jednocześnie Garona irytowało, że Marquez wydaje się coraz bardziej zainteresowany Grace. Garon co najmniej dwa razy w tygodniu odwiedzał restaurację Barbary w porach, gdy Grace w niej gotowała, i stwierdził z irytacją, że jego małżonka jedynie tam zachowuje się swobodnie i naturalnie. Grace nie robiła nic, by wzbudzić w nim nadzieję. Lubiała męża, lecz nie była skłonna do żadnych romantycznych gestów.

Marquez, spotykając Grace, zachowywał się wobec niej uprzejmie, ale nigdy nie powiedział jej niczego, co mogłoby wywołać zazdrość Garona. Ani razu też nie przyjechał na ich ranczo.

Późną jesienią, pewnego zimnego i wietrznego dnia Garon nieoczekiwanie wrócił wcześniej do domu. Nie zastał w środku żony ani panny Turner, więc przebrał się w roboczy strój i wyszedł ich poszukać.

Na podjeździe nie było forda expedition. Z początku pomyślał, że obydwie kobiety pojechały po coś do miasta. Potem usłyszał głosy dochodzące z wielkiej stodoły za domem. Zainteresowany, ruszył w tamtym kierunku.

Gdy podszedł do stodoły, uświadomił sobie dwie rzeczy. W pobliżu nie kręcił się żaden z jego pracowników, a mężczyzna rozmawiający z Grace był człowiekiem poszukiwanym w związku z zabójstwami dziewczynek. To był Sheldon.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Garon mógłby spróbować podejść bliżej, udając, że beztrąsko spaceruje. Jednak Sheldon był zbyt bystry, by nabrać się na taki podstęp. Toteż Garon zrobił jedyne, co było w tej sytuacji możliwe. Wyciągnął służbowy rewolwer, wycelował w Sheldona i zawołał:

- Jestem agentem FBI! Ręce do góry!

Grace znieruchomiała zaskoczona, gdy pojęła, że mąż rozpoznał przybysza i uważa go za groźnego. Ten mężczyzna przed chwilą zapukał do drzwi i zapytał, czy mógłby dostać jedno z kociąt, które niedawno się urodziły. Zgodziła się i poszła z nim do stodoły. Pamiętała tego mężczyznę z dzieciństwa. Pracował w jej szkole jako nauczyciel na zastępstwie; dzieci go lubiły.

Powiedział jej, że sprowadził się z powrotem do Jacobsville i potrzebuje kota, aby pozbyć się myszy ze swojego domu. Ktoś wspomniał mu, że tutaj będzie mógł go dostać. Istotnie tak było. Grace zawsze zachowywała kocięta urodzone przez kotkę ze stodoły.

Przybysz okazał się inteligentny i miły, właśnie taki, jak go zapamiętała. Jednak coś w jego zachowaniu ją zaniepokoiło. Coś nieuchwytnego... Usiłowała właśnie uzmysłowić sobie, co takiego, gdy w drzwiach stodoły pojawił się Garon.

Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie. Zanim zdołała się zorientować, co się dzieje, mężczyzna nagle chwycił ją za szyję i przytknął do gardła nóż. Dopiero wtedy pojęła przyczynę swego wcześniejszego niepokoju. To był jego zapach - charakterystyczny, mrozący krew w żyłach. Ponad skrajem rękawiczek spostrzegła bladą skórę jego

nadgarstków. Teraz już wiedziała, kim jest, i zrozumiała, że powrócił, aby się upewnić, że ona nie zdoła go zidentyfikować. Przed oczami stanęły jej wydarzenia z przeszłości - straszne rzeczy, które ten sadysta jej zrobił. Obecnie była w ciąży, a on najwyraźniej zamierzał odebrać życie jej i dziecku.

Sheldon wybuchnął śmiechem.

- Nie spodziewałem się, że mnie rozpoznasz, Grier! - zawołał. -

Wciąż przenosiłem się z miejsca na miejsce i zawsze wyprzedzałem was o krok. Ale gdziekolwiek pojechałem, wszędzie ludzie zwracali na mnie uwagę. Wiesz dlaczego? Z powodu moich przeklętych dłoni. Sądziłem, że zmylę trop, nosząc rękawiczki, ale to nie pomogło. Opublikowaliście bardzo dokładny opis moich rąk. Toteż od wiosny nieustannie uciekam.

Garon nie odrywał od niego wzroku. Po sześciu latach spędzonych w zespole ratującym zakładników taka sytuacja nie była dla niego zaskoczeniem.

- Czego chcesz? - zapytał. - Środka transportu? Pieniądzy?

- Skończyłem już z ucieczką - odparł napastnik. Zacisnął chwyt wokół smukłej szyi Grace i mocniej przycisnął nóż, przecinając skórę. - Ale zanim mnie dostaniesz, oczyszcze grunt. Ona... jest jedyną, która ocalała. Powiedziała, że dostała amnezji. Ale kiedy zamieściliście opis moich dłoni, zrozumiałem, że skłamała. Niczego nie zapomniała.

- Ona jest w ciąży - wycedził Garon przez zęby.

- To dla mnie bez znaczenia - odparł mężczyzna bezbarwnym tonem.

- Nie cierpię dzieci, a zwłaszcza małych dziewczynek. Moja macocha mnie nienawidziła, szczególnie kiedy się dowiedziała, że nie może zająć w ciąży. Moczyłem się w łóżku, a ona karała mnie, zmuszając do noszenia

sukienek z falbankami. Nie pozwalała strzyc mi włosów i upinała je wstążkami, a potem tak posyłała do szkoły. - Twarz Sheldona poczerwieniała ze złości.

- Mój ojciec się jej bał, więc nigdy nie sprzeciwił się ani słowem. Wszyscy w szkole się ze mnie wyśmiewali. Ale ja dorosłem. Stałem się większy i silniejszy od nich obojga. I policzyłem się z nimi.

- Uśmiechnął się zimno. - Powiedziałem glinom, że zrobił to jakiś nieznajomy, że kiedy zobaczyłem, co się dzieje, pobiegłem po pomoc. Płakałem bez końca i ci głupi gliniarze mi uwierzyli.

- Czy to dlatego nosisz rękawiczki? - zapytał Garon, wciąż mierząc do niego z rewolweru. - Z powodu poczucia winy?

Sheldon poruszył się niespokojnie.

- Kiedy miałem dwanaście lat, znowu zacząłem się moczyć w łóżku. Było ciemno i zimno, mieliśmy tylko wychodek na dworze, a ja wciąż jeszcze bałem się ciemności. Powstrzymałem się prawie do świtu, ale w końcu nie mogłem dłużej wytrzymać. Zakryłem to kołdrą i poszedłem na śniadanie. Miałem nadzieję, że macocha nic nie zauważy, dopóki nie wyjdę do szkoły. Ale ona jeszcze przed przyjazdem szkolnego autobusu poszła pościelić łóżko i zobaczyła mokrą plamę. Zaczęła gotować potrawkę na obiad. Na piecu kipiał wrzątek. Wrzeszczała na mnie, że jestem głupi i opóźniony w rozwoju i że pożałuję tego, co zrobiłem. Chwyła mnie za ręce i siłą wsadziła moje dłonie do wrzącej wody...

Garon skrzywił się mimowolnie. Sheldon zauważył to i zeszywniał.

- Powiedziałem tacie, co macocha mi zrobiła. Nazwał mnie kłamcą. Powiedział, że jest dobrą kobietą i nigdy mnie nie skrzywdziła. Zabrał mnie do lekarza i wmówił mu, że wsadziłem ręce do wrzątku, żeby móc

obwinie o to macochę. - Sheldon zamilkł, po czym podjął: - Dłonie straszliwie mnie bolały. Dali mi aspirynę i posmarowali poparzoną skórę fioletową maścią. Kiedy dłonie się zagoiły, zostały na nich blizny. Odtąd musiałem zawsze nosić rękawiczki, żeby nikt się ze mnie nie wyśmiewał.

- Zamordowałaś małe dziewczynki, które nie uczyniły ci nic złego - wydusiła Grace.

- Wyglądałaś tak jak ona - prychnął. - Wszystkie wyglądałyście tak jak ona! Jak moja macocha. Zrujnowała mi życie, kiedy miałem dwanaście lat. Więc zabiłem dwanaście dziewczynek podobnych do niej. Co rok jedną. Tylko że ty przeżyłaś - wymamrotał z ustami we włosach Grace. - Nie mogę pozwolić ci żyć, bo to przerwie łańcuch...

- Wypuść ją - powiedział Garon.

- Ona nosi twoje dziecko, prawda, Grier? - spytał Sheldon i przedramieniem zdusił szyję dziewczyny, odbierając jej dech. - Szkoda, że nie przeżyje i nie zdąży go urodzić - dodał, przenosząc ciężar ciała na drugą nogę.

Garona ogarnęła rozpacz. Ten człowiek nie blefował. Miał obsesję na punkcie zabijania dziewcząt przypominających mu macochę i nic nie mogło go powstrzymać. Nie było czasu, żeby wezwać negocjatorów czy siły policyjne. Nie było czasu na nic oprócz błyskawicznej reakcji. Za moment Sheldon przetnie arterię szyjną Grace, a wtedy nic już nie uratuje jej przed wykrwawieniem się na śmierć. Garon wyobraził sobie piękne szare oczy zamknięte na zawsze i serce przeszył mu potworny ból.

Musi działać - natychmiast.

- Grace... - zawołał cicho ze skamieniałą twarzą. - Pamiętasz ten dzień, kiedy znalazłem cię na podwórzu przed twoim domem, a potem pojechaliśmy do Coltraina?

- Tak - szepnęła.

- Ufasz mi, kochana? - spytał aksamitnie miękkim głosem.

Pomimo przerażenia zdobyła się na napięty uśmiech.

- Tak.

Wiedziała, o co mu chodzi, i odczytała z jego wzroku, że plan jest bardzo ryzykowny. Miała jedynie niewielką szansę, by ująć z życiem. Wszystko zależało od odpowiedniego zgrania w czasie. Spojrzała na Garona, zamknęła oczy i z cichym jękiem osunęła się całym ciężarem na trzymającego ją z tyłu mężczyznę.

To drobne odwrócenie uwagi napastnika wystarczyło. Garon nigdy nie chybiał. Strzelił tylko raz i ujrzał, że kula przebiła ciało Sheldona. Morderca nieznacznie odwrócił głowę i spojrzał na Grace.

Poczuła, że napastnik drgnął, po jej policzku pociekła ciepła strużka krwi. Sheldon wypuścił nóż i upadł martwy u jej stóp.

Osunęła się na ziemię. Drżała i rozpaczliwie usiłowała złapać oddech. Miała płytką ranę na szyi, zadaną przez Sheldona w momencie, gdy trafiła go kula. Krwotok był obfity. Grace przestraszyła się, że przeciął jej tętnicę. Lecz po chwili przekonała się, że to serce trzepotało nierównym, szarpanym rytmem i zaczęła ciężko dyszeć jak wyciągnięta z wody ryba. Pojęła, co się dzieje, i ogarnęło ją przerażenie. Nie teraz, modliła się w duchu. Nie teraz. Boże, to za wcześnie! Dziecko nie jest jeszcze gotowe do narodzin...

Upadła na bok, nadal przyciskając ranę, żeby powstrzymać krwotok. Usłyszała wokół siebie głosy, a potem odległe wycie syren. Czowała, że życie z niej ucieka. Była lekka, nieważka. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu coraz wyżej, aż do nieba, i stapia się z obłokami.

Garon podbiegł do niej, uklęknął i przytulił jej głowę do piersi.

- Och, Boże, tak niewiele brakowało! Nic ci nie jest, Grace?

Kochanie, nic ci nie jest? - powtórzył, całując żarliwie jej włosy i twarz.

Wciąż jeszcze drżał z lęku i napięcia. Gdyby chybił... !

- Wszystko... w porządku - wyszeptała. To nie była prawda, ale Grace widziała, że Garon i tak już jest wystarczająco przerażony.

Pocałowała go w policzek. - Ocaliłeś mnie - zdołała wyrzec słabym głosem. - Dziękuję ci.

Wplótł palce w jej włosy i szybko, mocno pocałował ją w usta.

- Moja ukochana - rzekł z bezbrzeżną czułością.

Dwa samochody policyjne zajechały przed stodołę i zahamowały gwałtownie, tuż za nimi zjawiała się karetka szpitala w Jacobsville.

Wyskoczył z niej Coltrain, podbiegł do Grace i gwałtownym gestem ponaglił ratowników medycznych.

- To tylko zadraśnięcie - powiedział Garon, zmuszając się siłą woli do spokojnego tonu. Odgarnął do tyłu jej spocone włosy. - Kochanie, doktor Coltrain się tobą zaopiekuje - rzekł miękko.

- Wszystko będzie dobrze, wyzdrowiejesz. Muszę zdać raport o tym, co się stało. To nie potrwa długo.

- Ścisnął czule jej dłoń. - Dzielna dziewczyna - dodał cicho. - Świetnie się spisałaś.

Nie zdołała mu odpowiedzieć, ale to nie miało znaczenia. Odszedł przeświadczony, że nie jest poważnie ranna.

Coltrain wiedział, że jest inaczej, i zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Wydawał polecenia ratownikom, gdy kładli Grace na nosze, a potem wstawiali je do ambulansu.

Po chwili przyjechał Cash Grier. Zobaczył leżącego na ziemi mężczyznę i stojących nad nim ludzi, ruszył ku nim. Coltrain zastąpił mu drogę.

- Skontaktuj się z bratem i możliwie jak najszybciej przywieź go do szpitala - rzekł. - Ja wezwę helikopter sanitarny i każę natychmiast przetransportować Grace do Houston. Mam przyjaciela na oddziale kardiologicznym, najlepszego chirurga. Powiem mu, żeby osobiście zajął się Grace na izbie przyjęć.

Cash zrobił zdziwioną minę.

- Ale przecież to tylko draśnięcie...

- Nie - odparł Coltrain, po czym odetchnął głęboko i wyjawiał mu prawdę.

Twarz Casha była teraz blada i napięta.

- Dobry Boże - wyszeptał. - Sprowadzę go do szpitala - obiecał i poszedł na miejsce wypadku.

Byli tam już miejscowi policjanci oraz jeden z oficerów śledczych Casha, spisujący zeznanie Garona o przebiegu zajścia.

Cash ujął Garona pod ramię w momencie, gdy z domu wybiegła panna Turner, żeby zobaczyć, co się stało.

- Musisz pojechać ze mną do szpitala - rzekł Cash do brata posępnym tonem. - Natychmiast.

- Wiem, że Grace jest przerażona. To była dla niej męka. Ale muszę dokończyć składanie zeznań i zadzwonić do biura...

- Coltrain wzywa helikopter, który przewiezie ją do Houston - przerwał mu Cash.

- Z powodu rany na szyi?!

Cash wziął głęboki oddech. Przypomnił sobie inną koszmarną noc i pośpieszną jazdę do szpitala, w którym znalazła się Christabel Gaines, będąca obecnie żoną Judda Dunna. Pamiętał wlokące się w nieskończoność godziny spędzone w poczekalni, podczas gdy lekarze walczyli o uratowanie jej życia.

- Garon - powiedział łagodnie. - Grace ma poważną wadę serca. W tej chwili jej stan jest krytyczny. Jeśli natychmiast nie zostanie zoperowana, umrze.

Garon usłyszał te słowa, lecz nie uchwycił ich znaczenia. Wpatrzył się w brata pustym wzrokiem.

- Musi przejść operację na otwartym sercu - dodał Cash.

W tym momencie Garon pojął grozę sytuacji. Przypomnił sobie chorobliwie bladą cerę Grace, jej osłabienie i brak energii, zatroskanie Coltraina i opiekę, jaką otaczali ją mieszkańcy miasteczka. Wszystko to nabrało dla niego sensu dopiero teraz, gdy było już za późno.

Poczuł, że krew odpływa mu z głowy.

- Houston - rzekł drżącym głosem. - Zabierają ją do Houston?

- Tak.

- Muszę być przy niej - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Czy możesz zadzwonić do szefa i powiedzieć mu, dokąd pojechałem i dlaczego?

- Polecę jednemu z moich ludzi, żeby to zrobił - odparł Cash. -

Pojadę z tobą do Houston.

- Dziękuję ci.

- Nie musisz. Ruszajmy.

Cash jechał szybko do szpitala z włączonymi światłami alarmowymi i syreną. Garon siedział w milczeniu w fotelu pasażera. Wspominał inną ciężarną kobietę, która umarła na jego oczach. Teraz może stracić Grace. Zadrżał i przymknął oczy. Już od tyłu miesiący mieszkała w jego domu, piekła dla niego szarlotki, gawędziła wesoło z panną Turner, szyła poduszki do salonu, podczas posiłków uśmiechała się do niego. Nigdy nie uskarżała się na jego przedłużające się nieobecności, nie wszczyniała sprzeczek ani nie usiłowała wzbudzić w nim poczucia winy... Ona musi żyć. Tylko to się liczy.

Powiedział to Coltrainowi. Były to jego pierwsze słowa do rudowłosego doktora, gdy spotkał go w izbie przyjęć.

Coltrain nie wygłosił żadnej sarkastycznej uwagi, tylko po prostu skinął głową.

- Pojadę z wami do Houston - oświadczył. - Na wszelki wypadek.

Garon nie zdołał nic odpowiedzieć i też jedynie kiwnął głową.

Grace była bardzo blada. Garon widział, jak przykrywający ją koc porusza się w takt nierównych uderzeń serca. Lecieli helikopterem wraz z Coltrainem i ratownikiem medycznym. Cash pędził do Houston samochodem - zapewne z błyskającymi światłami i rykiem syreny, pomyślał Garon.

Trzymał Grace za rękę, a doktor nadzorował jej stan. Miała na twarzy maskę tlenową, a do ramienia podłączoną kroplówkę dożylną.

Wspomniął z bólem zdarzenie sprzed zaledwie miesiąca. Grace źle się czuła i nie mogła pojechać razem z nim na zebranie stowarzyszenia hodowców bydła. Z jakiegoś powodu była tam Jaqui Jones i siedziała przy stole obok niego. Fotoreporter miejscowej gazety zrobił im zdjęcie, na którym uśmiechnięty Garon nachyla się do Jaqui.

Panna Turner schowała przed Grace ten egzemplarz gazety, lecz dziewczyna była zanadto bystra, by nie zauważyć wysiłków podejmowanych przez otoczenie, aby ją chronić. Gospodyni poinformowała Garona, że Grace znalazła gazetę, i bez słowa wpatrzyła się w fotografię. Potem wrzuciła ją do kosza na śmieci i wróciła do swoich zajęć.

Garon przyjechał wtedy z letniego pastwiska, gdzie wraz ze swoimi pracownikami przepędzał byki. Wszedł do domu, zdejmując koszulę. Włosy miał wilgotne od potu, bo dzień był nadzwyczaj upalny. W korytarzu spotkał Grace, stojącą z rękami wspartymi na biodrach.

- Czy masz romans z Jaqui? - spytała go bez ogródek.

Wybuchnął śmiechem. To był z jego strony niewybaczalny nietakt, ale jej pytanie go rozbawiło. Była przecież jego żoną, mieszkali w małym miasteczku, obserwowani przez dwa tysiące zagorzałych dobrodusznym plotkarzy.

- Zwariowałaś? - rzucił i uśmiechnął się, gdyż wyglądała dość komicznie w zielonkawej ciężowej bluzce i białych ciężowych spodniach.

- Gdyby tak było, Barbara upiekłaby mnie na rożnie i podała ci na stół z gorącą bułeczką!

Grace zmieszła się i spojrzała na jego szeroką, muskularną pierś.

Garon z łatwością odczytał na jej twarzy wyraz pożądania. Z szelmowskim uśmiechem cisnął koszulę na stolik w holu, wziął Grace w ramiona i pocałował ją tak namiętnie, że jęknęła i przywarła do niego.

W momencie gdy rozkoszował się zakazanymi marzeniami o tym, że delikatnie położy Grace na podłodze i zrobi z nią to, na co od dawna miał ochotę, zadzwieczał telefon. Dzwoniono z jego biura. Szef wysyłał go na wschód Stanów, gdzie miał pomóc w rozwikłaniu pewnej głośnej sprawy. Garon miał zaledwie kilka minut na to, by się spakować i dotrzeć na lotnisko.

Ze smutnym uśmiechem spojrzął na oszołomioną Grace, a ona w odpowiedzi również uśmiechnęła się do niego. Lecz kiedy po tygodniu wrócił do domu, była małomówna i zamknięta w sobie. Panna Turner powiedziała, że Grace odbyła długą rozmowę z doktorem Coltrainem, która wprawiła ją w przygnębienie. Zapytał, o czym rozmawiali. Gospodyni nie wiedziała, a Grace i lekarz zbyli go, mówiąc, że dyskutowali po prostu o zbliżającym się porodzie.

Teraz, po miesiącu, Garon już miał świadomość, co było tematem tamtej rozmowy. Grace ryzykowała życie, żeby ich dziecko mogło przyjść na świat. Wiedziała, jak gorąco Garon go pragnie i jak bardzo by się zaniepokoił, gdyby poznał prawdę o jej chorobie serca. Toteż wymogła na wszystkich wokoło, żeby dochowali tajemnicy, i przez wszystkie te miesiące dźwigała ów sekretny ciężar, ukrywając przed mężem swój stan zdrowia.

Podniósł do ust jej drobną dłoń i ucałował namiętnie. Poczuł, że w oczach zakręciły mu się gorące łzy, i pochylił głowę, aby je ukryć. Jeśli

Grace umrze... jeśli umrze, co on pocznie? Jak będzie mógł żyć dalej bez niej? A nigdy nawet nie powiedział jej, jak bardzo ją kocha.

Gdy helikopter usiadł na szpitalnym lądowisku, na Grace oczekiwał już zespół medyczny. Coltrain zawczasu uprzedził Garona, co wydarzy się po wylądowaniu. Lekarze zbadają Grace i przeprowadzą koronoskopię, aby przekonać się o rozmiarze uszkodzeń serca, a potem zdecydują o dalszym postępowaniu. W szpitalu w Houston pracuje doktor Franks, światowa sława w dziedzinie kardiochirurgii. Coltrain zadzwonił do niego jeszcze z Jacobsville i Franks zgodził się zoperować Grace. Operacja potrwa kilka godzin.

Garona czekała koszmarowa noc. A ogarnęło go jeszcze większe przygnębienie, kiedy doktor Franks i Coltrain poinformowali go o możliwych komplikacjach. Ciąża Grace była już na tyle zaawansowana, że lekarze mogli przyjąć dziecko. Jednak wykonanie cesarskiego cięcia lub naturalny poród zwiększały zagrożenie jej życia. Doktor Franks oświadczył szorstko, że dziewczynie w ogóle nie powinno się pozwolić na poczęcie, zważywszy, że jej stan i tak wymagał operacji na otwartym sercu.

Gdy Garon to usłyszał, poczuł się zdruzgotany. Coltrain starał się go usprawiedliwić, mówiąc, że Grace nie pozwoliła powiadomić męża o swej chorobie, i dodał, że przede wszystkim nikt się nie spodziewał, że ona może zajść w ciążę.

Garon powtarzał w duchu: „Gdybym tylko wiedział! Gdyby Grace mi powiedziała... !”.

Jakiś czas później do poczekalni wszedł Cash. Garon siedział przy oknie i pustym wzrokiem wpatrywał się w teren wokół szpitala. Ludzie

przechadzali się chodnikami, wchodzili do budynków lub wychodzili. Lecz on ich nie widział. Wspominał swoje pierwsze spotkanie z Grace, gdy zastukała do drzwi jego domu, prosząc o pomoc dla babki.

Nagle poczuł na ramieniu dużą dłoń brata.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał go Cash i opadł na sąsiedni fotel.

Wciąż jeszcze był ubrany w mundur policyjny i jakaś rodzina siedząca w poczekalni zerkała na niego z zaciekawieniem.

- Robią jej koronoskopię - odparł Garon przybitym tonem. - Nie wiedzą, czy bardziej ryzykowne jest sprowokowanie porodu, czy wykonanie cesarskiego cięcia. Grace mogłaby umrzeć, zanim w ogóle rozpoczęto by operowanie zastawki serca.

Cash wziął głęboki oddech. Wiedział, co czuje jego brat. Niegdyś tuż po związaniu się z Tippy o mało jej nie stracił. Pamiętał też, jak wcześniej, zanim poznał Tippy, jeden z osławionych groźnych braci Clark postrzelił i omal nie zabił Christabel Dunn. Cash szalał wtedy na jej punkcie. Obecnie na nowo odczuł żywo ból z powodu udreki Christabel, gdy zdał sobie sprawę, jak niewielką szansę przeżycia ma Grace.

- Jeśli ją stracę - rzekł do niego Garon - nie będę miał po co dalej żyć.

- Grace z pewnością nie chciałaby, żebyś tak myślał - odparł cicho Cash. - Ona ceni życie. Widać to choćby po tym, jak troskliwie dogląda swoich krzaków róż.

Garon przygryzł usta. Przypomniawszy sobie, jak Grace droczyła się z nim na temat rozmawiania z różami. Ona naprawdę kocha wszystko, co żyje.

- Czy zadzwoniłeś do szefa i poinformowałeś go o tym, że zastrzeliłem Sheldona? - zapytał po chwili.

- Tak. Powiedział, że paru waszych chłopców przyjedzie tu w nocy, żeby dotrzymać ci towarzystwa.

Garon tylko skinął głową.

- Zapomniałem, jak bardzo wy tam w FBI jesteście ze sobą zżyci - dorzucił Cash z uśmiechem. - Ja przez większość życia pracowałem samotnie albo jedynie z obserwatorem.

- Ale teraz to się zmieniło, prawda? - rzekł Garon.

Cash zachichotał.

- Owszem. Kiedy miejscy radni zamierzali wylać z pracy dwóch moich funkcjonariuszy za to, że aresztowali pijanego polityka, wszyscy policjanci i strażacy zagrozili dymisją. To była przełomowa chwila. Nagle przestałem być nikomu nieznanym gliną z Jacobsville i poczułem się częścią jednej wielkiej rodziny. - Wzruszył ramionami. - Podoba mi się to.

Garon doświadczył podobnego poczucia bliskości, gdy Grace go oczarowała. Lecz to bardzo szybko się skończyło, bo zrobił jej awanturę, a potem odepchnął ją od siebie. Wiedział, że nigdy nie wybaczy sobie tego, jak podle ją potraktował - zwłaszcza że teraz znał już całą prawdę o niej.

- Zasłużyłem na najsurowszą karę - rzekł do Casha i westchnął ze znużeniem. - Nie wiedziałem, że Grace choruje na serce. Wciąż ją namawiałem, żeby zapisała się do college'u, wyuczyła jakiegoś zawodu, wykorzystała swoje zdolności. Powiedziała mi, że nie podołałaby żadnej stresującej pracy, a mnie nigdy nie przyszło do głowy, że powodem są problemy zdrowotne. Sądziłem po prostu, że nie powinna zakończyć swojej edukacji na liceum. - Zerknął na brata. - Potem pewnego dnia

zabrałem ją ze sobą do biura i zostawiłem w poczekalni. Kiedy wróciłem, gawędziła wesoło po arabsku z Jordańczykiem, który był świadkiem morderstwa, i przekładała jego zeznania na angielski. Ona zna biegle kilka języków - dodał z dumą.

- Jak sądzę, nie powiedziała ci, że należy do Mensy? - spytał Cash z uśmiechem.

Garon ze zdziwienia głośno wciągnął powietrze.

- Do Mensy? - powtórzył. To stowarzyszenie zrzesza osoby o wyjątkowo wysokim ilorazie inteligencji, o wiele wyższym niż u przeciętnych absolwentów college'u. Cash kiwnął głową.

- Wiem to od Marqueza. W młodości był namiętnie zadurzony w Grace, ale onieśmiała go jej wybitna inteligencja. Ta dziewczyna ma wręcz fotograficzną pamięć. Niedawno ukończyła z wielkim powodzeniem pewien sekretny projekt, nad którym pracowała przez cały rok. - Zerknął na brata, na którego twarzy malowało się bezbrzeżne zdumienie. - Nie mówiła ci o tym?

Oczy Garona zwęziły się czujnie.

- Jak to się dzieje, że wiesz o mojej żonie więcej niż ja?

- Ponieważ Barbara lubi mnie, a ciebie nie - odparł Cash.

- O mój Boże! Barbara! - jęknął Garon. - Nawet do niej nie zatelefonowałem!

- Spokojnie, ja to zrobiłem. Ona dziś wieczorem wraz z grupą przyjaciółek będzie się modlić za Grace.

Garon jeszcze niedawno wykpiłby ten pomysł. Lecz teraz, kiedy drogocenne życie jego żony wisiało na włosku, jedynie z wdzięcznością skinął głową. Wstał, podszedł do telefonu i wybrał numer biura

szpitalnego kapelana. Zaoferowano mu pomoc, jeśli tylko jej potrzebuje. Spytał, czy ktoś mógłby go poinformować o przebiegu koronografii, a pracownica biura chętnie zgodziła się dowiedzieć. W przypadkach potencjalnego zagrożenia życia, takich jak choroba Grace, urząd kapelana zapewnia nieocenioną pomoc. Jego pracownicy pośredniczą pomiędzy lekarzami a rodzinami pacjentów oraz zapewniają pociechę i duchowe wsparcie ludziom, którzy lękają się o życie swoich ukochanych bliskich.

Z biura kapelana nie oddzwoniono do Garona. Zamiast tego zjawiła się jedna z pracownic - kobieta w średnim wieku z krótkimi jasnymi włosami, która przypominała mu Barbarę. Z jej identyfikatora odczytał, że ma na imię Nan.

- Już prawie skończyli badanie - powiedziała współczującym tonem.

- Pańska żona jest w niezłym stanie.

- Dzięki Bogu - westchnął z ulgą Garon. Oczy piekły go ze zmęczenia i napięcia.

- Niebawem przyjdzie kardiolog i porozmawia z panem - dodała. - W tej chwili lekarze rozważają rozmaite możliwości dalszego działania i podejmą decyzję w zależności od wyniku koronografii. Czy ona przyjmuje leki zmniejszające gęstość krwi?

Garon zbladł. Nie znał odpowiedzi na to pytanie, choć mogło od niej zależeć życie Grace. Nie wiedział w ogóle, jakie lekarstwa zażywa. Poczuł się zawstydzony.

Zanim miał okazję przyznać się do niewiedzy, nadszedł Coltrain, a z nim mężczyzna ubrany w zielony kitel chirurga.

Garon wraz z Cashem wyszedł im naprzeciw. W jego wzroku widniało nieme pytanie.

- Co postanowiliście? - rzucił.

Coltrain dokonał prezentacji:

- Poznaj doktora Franksa. Doktorze, to Garon Grier, mąż Grace, oraz jego brat Cash.

- Miło mi panów poznać, choć żałuję, że nastąpiło to w takich okolicznościach - powiedział chirurg, ściskając ich dłonie. - Doktor Coltrain przedstawił mi historię choroby pańskiej żony. Nie wiedział pan o jej schorzeniu?

- Nie mogłem mu o tym powiedzieć. Grace mi zabroniła - oznajmił Coltrain.

- Zapewne chciała oszczędzić panu zmartwień - rzekł łagodnie Franks.

- Tak - odparł Garon z napięciem w głosie. - Wiedziała, że moja pierwsza żona zmarła na raka.

Cash popatrzył na niego oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia, gdyż nie miał o tym pojęcia. To świadczyło o braku więzi między braćmi.

Chirurg się skrzywił.

- Tej kobiecie bardzo zależy na dziecku. Ale teraz istotne jest, byśmy wybrali najlepszy sposób postępowania. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że ciąża komplikuje sytuację...

- Liczy się przede wszystkim zdrowie i życie Grace - przerwał mu Garon. - Reszta nie ma znaczenia.

Franks się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że uratuję ich oboje. Musimy zdecydować, czy mniej ryzykowne jest sprowokowanie naturalnego porodu, czy wykonanie cesarskiego cięcia - dodał. - Ja skłaniam się ku... przepraszam. - Przerwał i

wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Słuchał przez chwilę, rzucił w odpowiedzi kilka słów, po czym zamknął telefon. - Dzwoniła nasza kardiolog doktor Morris, która opiekuje się pańską żoną. Powiedziała, że zaczął się poród. Wybaczone mi, jestem tam teraz potrzebny.

- Ona jest najważniejsza - powtórzył z naciskiem Garon.

- Tak - odparł chirurg.

- Pójdę razem z Franksem i w miarę możliwości postaram się pomóc - rzekł Coltrain do Garona. Uśmiechnął się do Nan i spytał: - Zostanie pani przy nim?

- Oczywiście - odparła, odwzajemniając uśmiech.

Zadzwoniła komórka Casha. Wyszedł na dwór, gdzie był lepszy zasięg.

Garon z ciężkim sercem przyglądał się obydwu lekarzom odchodzącym w głąb korytarza. Wszystko zależało teraz od nich i ich medycznej wiedzy. Ale jeśli Barbara modli się za Grace i istnieje choćby najmniejsza szansa, że modlitwa mogłaby pomóc...

Odwrócił się do Nan i spytał cicho:

- Czy jest tu kaplica? Kiwnęła głową i powiedziała:

- Proszę pójść za mną.

Garon poczuł się dziwnie, wchodząc do kaplicy po tylu latach, gdy odwrócił się od religii. Po utracie Annalee nie spodziewał się, że kiedykolwiek jeszcze poszuka oparcia w Kościele. Przecież modlił się o życie pierwszej żony, a jednak to jej nie uratowało.

Teraz był starszy, bardziej doświadczony i mniej ufał nauce. Widział już tylu umierających ludzi, a dzisiaj sam uśmiercił człowieka. W uszach wciąż jeszcze brzmiały mu słowa mordercy mówiącego o swoim

dzieciństwie, które z pewnością było dla niego piekłem. Ale Sheldon niewątpliwie zabiłby Grace. Toteż Garon nie miał wyboru - musiał do niego strzelić i nie chybić.

Teraz w ciszy kaplicy przygniatało go podwójne brzemie - lęk z powodu rozpaczliwego stanu Grace oraz świadomość faktu, że odebrał komuś życie. Niezależnie od wszelkich okoliczności zabił człowieka i ciężko było mu się z tym pogodzić. Oczywiście mógł zwrócić się o pomoc do psychologów w swoim biurze. Ponadto w tej sprawie zostanie przeprowadzone śledztwo, zarówno przez urząd szeryfa - jako że incydent miał miejsce na ranczu, poza obrębem miasta - jak i przez FBI. Nie rozmawiał jeszcze z szefem, ale wiedział, że na czas tego dochodzenia zostanie zawieszony i odesłany na przymusowy urlop. Nie wątpił, że poniesie służbowe konsekwencje swego czynu, lecz w tej chwili nie potrafił o tym myśleć. Pragnął jedynie ocalenia Grace. Przyrzekł w duchu, że jeśli ona przeżyje, będzie otaczał ją czułą troską, rozpieszczał i zadośćuczyni jej za wszystkie nieobecności na kolacjach, za opryskliwość i bezmyślne postęпки, które wywołały w Grace przekonanie, że mu na niej nie zależy. Niech tylko Bóg da mu na to czas i ją oszczędzi!

Dotychczas stykał się z takimi sytuacjami przy okazji kontaktów z rodzinami ofiar. Ileż to razy wchodził do poczekalni oddziałów intensywnej opieki medycznej, by przesłuchać ocalałych świadków, i widział, jak targują się z Bogiem o życie ukochanych osób.

„Obiecuję, że jeżeli jego/ją ocalisz, nigdy już nie wypowiem żadnego raniącego słowa - mówili na głos. - Będę chodzić co niedziela do kościoła, wspomagać biednych, poświęcać im swój czas i brać udział w działalności

charytatywnej. Dam sobie uciąć rękę, jeśli tylko ją oszczędzisz, jeśli tylko go uratujesz, jeśli tylko zachowasz przy życiu tę najbliższą mi osobę!".

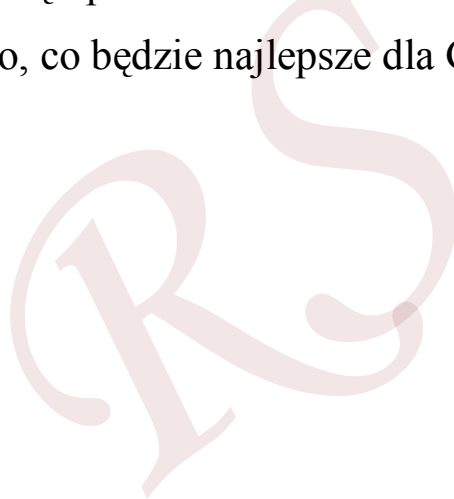
Te przysięgi nieodmiennie przejmowały go bólem. A oto teraz sam je wypowiadał, targował się o życie Grace. Ona jest dobra, modlił się w duchu, o wiele lepsza ode mnie. Jest wrażliwą i troskliwą kobietą. Zawsze gotowała jedzenie dla ludzi chorych lub opłakujących śmierć kogoś bliskiego, przesiadywała z nimi w szpitalnych poczekalniach, modliła się za nich w kościele i śpieszyła z pomocą każdemu, kto jej potrzebował. On sam jest zupełnie inny - zamknięty w sobie w sytuacjach niezwiązanych z jego pracą, niełatwo nawiązujący kontakty z ludźmi. W pewnym sensie żałował tego, że musiał poślubić Grace z powodu jej ciąży. Nie powiedział jej tego... a może jednak... ? Lecz gdy zamieszkali razem, przywykł do jej miłej obecności, spokojnego charakteru, kojącego sposobu bycia i śmiechu, jakim reagowała na wszystkie kłopoty. Potrafił rozmawiać z Grace tak, jak nie rozmawiał z nikim innym, nawet ze swoją pierwszą żoną. Grace nigdy się z nim nie kłóciła, na nic się nie skarżyła ani nie żywiła do niego urazy z powodu tego, że większość czasu poświęcał pracy.

Annalee nie lubiła, gdy zbyt długo przesiadywał w biurze, i nieustannie miała mu za złe nieobecność w domu. Nie podobało jej się też, że ciąża odciąga ją od jej własnej profesji. Wcześniej była całkowicie skoncentrowana na karierze zawodowej, kosztem wolnego czasu, który mogłaby spędzać z Garonem, gdyż pragnęła wciąż awansować w hierarchii służbowej. Pracowała do późnych godzin wieczornych, nawet w soboty. Coraz bardziej odsuwali się od siebie, bo on również żywił ambicje zawodowe. Oboje zakładali milcząco, że mają przed sobą

nieskończenie długi czas i zdążą jeszcze nacieszyć się sobą nawzajem. Potem dowiedziała się, że ma raka, i ogarnęło ją przerażenie. Ich ostatnie wspólne miesiące były prawdziwą męczarnią. Annalee płakała i przeproszała, że była dla niego tak niezdolna. Później modliła się, składała przysięgi i targowała się o swoje życie. Mówiła, że była złą żoną, ale zmieni się, jeśli tylko Bóg ją ocali. Zacznie chodzić do kościoła, stanie się lepsza i będzie troszczyć się bardziej o rodzinę niż o pracę...

I tak to trwało. Garon pomyślał, że nigdy, przenigdy nie wolno targować się z Bogiem. Można jedynie prosić, nic więcej.

Kornie pochylił głowę i przemówił do Stwórcy. Nie pertraktował z Nim. Modlił się tylko o to, co będzie najlepsze dla Grace.



ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nan dyskretnie wymknęła się z kaplicy, a kiedy wróciła, Garon szedł ku niej boczną nawą.

- Lekarze proszą, żebyś do nich przyszedł - powiedziała łagodnie.

Podążył za nią korytarzem. Minęli poczekalnię i dotarli do recepcji. Recepcjonistka gorączkowo skinęła na nią.

- Chwileczkę - rzuciła Nan do Garona i podeszła do siedzącej za biurkiem kobiety.

Garon czekał w napięciu. Grace musi przeżyć, musi przeżyć! - powtarzał w myślach. Ogarnęła go panika, gdy spostrzegł, że twarz Nan spoważniała.

- Nic złego się jej nie stało - powiedziała, widząc jego śmiertelnie przerażoną minę. - Chodźmy. Pojedziemy na górę i porozmawiamy z chirurgiem.

Wsiedli do windy i pojechali na oddział chirurgiczny. Czekali tam na nich Coltrain i Franks. Obydwaj popatrzyli na Nan.

- Nie powiedziałam mu - odparła cicho.

- Masz syna - rzekł Coltrain najuprzejmiejszym tonem, jaki Garon kiedykolwiek u niego słyszał.

- Co z Grace?

- Trzyma się dzielnie - powiedział Coltrain.

- Może nawet to ułatwiło nam decyzję. To był szybki poród, co niezwykle w przypadku pierwszego dziecka. Grace zniosła go nadzwyczaj łatwo. Teraz przygotowujemy ją do operacji.

- Zgodziła się na nią - wtrącił doktor Franks.

- Ale chcielibyśmy mieć również pańską zgodę.

- Oczywiście, że się zgadzam - rzekł Garon bez wahania. - Mogę zobaczyć Grace?

- Za moment - powiedział Franks. - Doktor Coltrain pana zaprowadzi.

- Proszę zrobić wszystko, co w pańskiej mocy - poprosił Garon chirurga, a jego spojrzenie mówiło jeszcze więcej niż słowa.

Franks położył dłoń na jego ramieniu.

- Moi pacjenci nie umierają - rzekł z uśmiechem. - Ona przeżyje. Niech pan ufa i będzie dobrej myśli.

Garon skinął głową i poszedł za Coltrainem i Nan z powrotem przez oddział chirurgiczny do sali, gdzie podawano Grace leki przedoperacyjne. Była bardzo senna, lecz na widok Garona oczy jej rozbliły.

- Grace - wyszeptał, pochylając się i całując ją w powieki. - Och, dobry Boże, Grace! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Nie potrafiłam... - wyszeptała. Po jej policzkach płynęły łzy. - Byłeś taki podekscytowany i tak bardzo go pragnałeś. Wiesz już, że mamy chłopczyka?

- Tak - zdołał tylko wydusić. Jemu również nie udało się powstrzymać łez.

- Chodź tutaj - szepnęła, przyciągając bliżej jego głowę, i pogładziła go po twarzy.

Bez protestu przyjmował pocieszenie, które mu ofiarowywała, choć czuł się zawstydzony. To on powinien podtrzymywać ją na duchu...

Delikatnie pocałowała go w oczy, smakując ustami jego słone łzy. Poczwała, że zadrżał pod wpływem tej czulej pieścioty. Wiedziała, że jest

załamany, i ogarnęła ją litość dla tego nieszczęsnego mężczyzny, który kolejny raz przeżywa cierpienie. Będzie walczyła. Uczucia, które okazywał Garon, były znacznie głębsze niż zwykły żal. Zabolęło ją, że widzi go tak zdruzgotanego, skoro niedawno jego siła i zdecydowanie wyrwały ją ze śmiertelnego niebezpieczeństwa.

- Nie martw się... Obiecuję, że wszystko będzie dobrze - powiedziała. Poczowała narastającą senność. - Zaopiekuj się naszym dzieckiem, gdybym...

- Nie mów tego...

- Tory - wyszeptała sennie. - Chcę, żebyś nazwał go Tory, po moim dziadku. A drugie imię niech ma po tobie. Dobrze?

- Zrobię, co tylko zechcesz - powiedział z czułością. - Tylko... nie opuszczaj mnie, Grace. Nie zostawiaj mnie samego na świecie - dodał głosem nabrzmiałym uczuciem.

Poczowała się piękna i pożądana. Garon naprawdę darzy ją miłością równie wielką jak jej miłość do niego. Końcami palców musnęła jego usta. Tak niewyobrażalnie mocno go kocha...

- Dałeś mi więcej szczęścia, niż kiedykolwiek wcześniej zaznałam - szepnęła. - Uratowałeś mi życie. Kocham cię.

- Grace... !

Odetchnęła płytko, z wysiłkiem.

- Musimy już wyjść - odezwał się Coltrain. - Resztę powiesz jej później.

Lecz Garon zamarł bez ruchu przy żonie, przerażony tym, że być może ostatni raz widzi ją żywą. Nie potrafił jej zostawić.

- Nie umieraj, Grace - rzekł zdławionym głosem, spoglądając na nią wzrokiem zamglonym łzami. - Nie możesz mi tego zrobić! Nie powiem przecież tym przeklętym krzacom róż, że nie wrócisz do domu!

Ku jego zaskoczeniu Grace się uśmiechnęła. Ten uśmiech wydał mu się cudowny. Garon pochylił się i po raz ostatni ucałował jej wargi.

- Nie zostawiaj mnie - szepnął jej do ucha. - Nie potrafię żyć bez ciebie.

Łzy zakręciły się jej w oczach.

- Mój ukochany - wyszeptała i przymknęła powieki. Środek usypiający działał.

- Chodźmy - powiedział Coltrain i niemal siłą wywłókł Garona z pokoju.

Grace już zapadała w sen. Garon rzucił na nią ostatnie spojrzenie. Jej jasne włosy wiły się wokół bladej twarzy i spadały na ramiona. Boże, pomyślał w trwodze, proszę, nie pozwól, żeby te oczy zamknęły się na zawsze! Cokolwiek złego uczyniłem, ukarż mnie, ale nie zabieraj jej! Błagam Cię!

- Ona przeszła już połowę drogi - rzekł Coltrain, dostrzegając wyraz paniki w zazwyczaj opanowanych rysach Garona. - Nie trać w nią wiary. Zejdźmy na dół i napijmy się kawy.

Coltrain sprowadził go po schodach do bufetu i postawił przed nim filiżankę kawy. Ten człowiek ma stalowe nerwy, pomyślał Garon, gdy siedzieli razem przy stoliku.

- W poprzednim życiu musiałem być jakimś krwawym despota - mruknął - skoro teraz zostałem skazany na przejście dwa razy przez to piekło.

Coltrain pojął jego słowa. Pamiętał, że Garon stracił pierwszą żonę, gdy była w ciąży.

- Grace ma chore serce - powiedział - ale zarazem niezwykle mocny charakter. W dzieciństwie przeżyła traumę, jakiej nie zniosłaby większość jej rówieśników. Jest twarda. Zaufaj jej sile ducha.

- Staram się całym sercem - odparł Garon z ciężkim westchnieniem.

- Chciałbyś zobaczyć waszego syna?

Syn. Dziecko, którego od tak dawna pragnął. Lecz Garon potrząsnął przecząco głową.

- Jeszcze nie teraz - powiedział. - Dopiero wtedy, gdy... będziemy już coś wiedzieli.

- Dobrze.

Po godzinie do bufetu wszedł Cash. Wyglądał na znużonego.

- Mamy tam w mieście dramatyczną sytuację. Musiałem wykonać z pół setki telefonów, żeby sobie z nią poradzić. Dokonano napadu na bank. Wyobrażacie to sobie? W Jacobsville! Schwytano już sprawców, ale musiałem przez cały czas być w kontakcie z moimi ludźmi. Co z Grace?

- Jest na sali operacyjnej - odparł Garon.

- On ma syna - dodał Coltrain.

Cash zerknął na brata, siedzącego z posepną miną.

- O rany! A więc jestem stryjkiem! - zawołał. Garon wypił łyk kawy. Robił wrażenie krańcowo wyczerpanego.

- Chodźmy - rzucił Cash. - Chcę się przekonać, czy jest podobny do ciebie.

Garon rzucił mu przygnębione spojrzenie.

- Mam nadzieję, że nie, biedny dzieciak.

- Myślę, że wolno go już zobaczyć - stwierdził Coltrain. - A więc?

Garon z ociąganiem poszedł za nimi. Nie był pewien, czy powinien się napawać widokiem dziecka, podczas gdy Grace właśnie walczy o życie. Wiedział jednak, że zwariuje, jeżeli nadal będzie tu siedział i rozmyślał o tym wszystkim. W ten sposób przynajmniej na chwilę oderwie się od ponurych rozważań.

Lecz kiedy przyglądał się przez szybę małemu chłopczykowi, jego nastrój nagle się zmienił i myśli pobiegły odmiennym torem. Stał, wpatrując się oczami mokrymi od łez wzruszenia w niemowlę zawinięte w niebieski kocyk.

- Jest taki maleńki! - wykrzyknął. - Mógłbym włożyć go do swojej kieszeni!

- Chcesz go wziąć na ręce? - zapytał Coltrain.

Garon spojrzał na niego zaskoczony.

- A czy mi na to pozwolą?

- Śmiało - rzekł z uśmiechem Coltrain.

Garona ubrano w szpitalny fartuch, posadzono na bujanym fotelu i podano niemowlę zawinięte w kocyk. Pielęgniarka pokazała mu, jak podtrzymywać jego głowę i plecki.

Garon przyglądał się dziecku z mieszaniną podziwu i obawy. Chłopczyk był taki maleńki. Wszystkie wcześniejsze lektury nie przygotowały Garona na szok bycia ojcem. Dotykał paluszków rączek i stópek, gładził małą bezwłosą główkę. Dostrzegał podobieństwo niemowlęcia do Grace w kształcie jego oczu, a do siebie w zarysie podbródka. Pomyślał ze łzami wzruszenia o przyszłych dniach, tygo-

dniach, miesiącach i latach. Proszę Cię, Boże, modlił się w duchu, nie pozwól, abym musiał wychowywać go samotnie.

Chłopczyk się poruszył i drobną rączką chwycił go za kciuk. Wciąż miał zamknięte powieki. Zaciekawiony Garon zapytał o to pielęgniarkę, która rozpromieniła się i wyjaśniła, że niemowlęta dopiero po mniej więcej trzech dniach otwierają oczy i rozglądają się wokoło. Wciąż jednak niewiele jeszcze widzą. Garon nie przejmował się tym. Spoglądał na synka z wyrazem twarzy, którego nie zdołałby oddać żaden malarz.

Obserwujący go zza szyby Coltrain i Cash uśmiechali się pobłażliwie.

- Cóż za ujmujący obraz - rzekł zachwycony doktor.

- Obraz! - wykrzyknął Cash. Wyjął telefon komórkowy, odwrócił go, spojrzał przez wizjer i pstryknął kilka zdjęć Garona tulącego w ramionach dziecko. - Pokażę je Grace - rzekł do Coltraina - kiedy już wyzdrowieje.

Lekarz skinął głową. Miał nadzieję, że to przewidywanie się spełni. Wiedział o wiele więcej, niż zamierzał wyjawić Garonowi lub jego bratu. Powie im to dopiero wtedy, gdy nie będzie już miał żadnego wyboru.

Cztery godziny później zjawił się doktor Franks. Wyglądał na krańcowo wyczerpanego.

- Grace się nie poddaje - powiedział Garonowi. - Wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższych ośmiu godzin.

- Rozstrzygnie się? - powtórzył Garon, podchodząc do niego bliżej. - Co się rozstrzygnie?

Franks westchnął głęboko, a Coltrain się skrzywił. Potem chirurg spojrzał na Garona i rzekł łagodnie:

- W ciągu ośmiu godzin ona albo się obudzi... albo nie.

To była najbardziej przerażająca rzecz, jaką Garon kiedykolwiek usłyszał. Blady jak śmierć wpatrywał się w chirurga.

Coltrain położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

- Nie trać wiary - powiedział.

- Ja oszaleję - rzekł Garon ochryłym głosem. - Czekać aż osiem godzin... !

- Pojedziemy do motelu. Zamówiłem dla ciebie pokój - zaczął Cash.

- Mam teraz opuścić szpital? Chyba zwariowałeś! - rzucił z furją Garon.

- Tylko na krótko - przyrzekł Cash, wymieniając nad ramieniem brata ukradkowe spojrzenia z lekarzami. - Chodź, zaufaj mi.

- Wezwiecie mnie, jeśli w stanie zdrowia Grace zajdzie jakakolwiek zmiana? - zapytał Garon niepewnie.

- Obiecuję - odparł rudowłosy doktor.

- Dla ciebie też zarezerwowałem pokój - zwrócił się do niego Cash i wręczył mu klucz. - Nie spieraj się ze mną, bo naślę na ciebie kumpli, których wolałbyś nie spotkać.

Coltrain zachichotał.

- Wobec tego zgadzam się. Dzięki. Pójdę tam za kilka godzin.

- Niedługo wrócimy - oświadczył Garon. Jego brat się nie odezwał.

Za godzinę Garon zasnął kamiennym snem na kanapie w apartamencie, który jego brat zarezerwował dla nich obydwu. Cash miał wrażenie, że Garon jest bliski zawału, toteż wcześniej napił go szkocką z wodą sodową. Ponieważ Garon prawie w ogóle nie pijał alkoholu, więc połączenie zdenerwowania, znużenia i whisky sprawiło, że padł jak ścięty i zasnął niczym niemowlę.

Casha zdumiewała głębia uczuć brata do młodej żony. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Garon nieczęsto wspominał o Grace. Kilka razy oboje zjawili się w domu Casha na obiedzie, a Tippy i Grace niemal natychmiast się zaprzyjaźniły. Grace uwielbiała ich córeczkę Tristinę, którą nazywali Tris. Brała ją na ręce. Garon przyglądał się żonie tulącej do siebie małą dziewczynkę i na jego zazwyczaj niewzruszonym obliczu pojawiał się wyraz niezmaconej radości. Garon rzadko mówił o żonie, ale kiedy już to czynił, w jego głosie brzmiała duma. Być może nie zdawał sobie sprawy z własnych uczuć, póki nie poznał tragicznej prawdy o chorobie Grace. Obecnie był w pełni świadom swej miłości do żony.

Obudził się po sześciu godzinach. Zamrugął i rozejrzał się wokoło. Był w pokoju hotelowym. Ale dlaczego się tu znalazł? Potem spostrzegł Casha rozmawiającego przez telefon. Nie potrafił sobie przypomnieć...

Nagle przerażony usiadł prosto na kanapie.

- Która godzina? Dzwoniłeś do szpitala? A Grace? Co z Grace?! - zawołał.

Cash uniósł rękę, skinął głową i powiedział:

- Zaraz tam pojedziemy. Grace się obudziła, ale jest oszołomiona po narkozie.

- Obudziła się - powtórzył Garon z drzeniem wzruszenia. - A więc żyje!

- Tak. Na razie nie reaguje; wciąż jeszcze jest pod wpływem narkozy. Ale lekarze wyrażają ostrożny optymizm. Nowa zastawka funkcjonuje doskonale.

Garon zerwał się na nogi, a potem ścisnął rękami głowę.

- Do diabła! Co ty we mnie wlałeś?

- Szkocką whisky, wodę sodową oraz substancję, której nie wolno mi posiadać, a nawet o niej mówić, ponieważ jest zabroniona - odparł z uśmiechem Cash.

Garon nie potrafił powstrzymać chichotu. Jego brat to naprawdę wcielony diabeł. Ale stał się też dobrym przyjacielem. Podszedł do Casha, klepnął go w ramię z szorstką serdecznością i powiedział:

- Jeśli kiedykolwiek wpadniesz w tarapaty i będziesz musiał kogoś aresztować, możesz zawsze na mnie liczyć.

- Będę o tym pamiętał. Chodźmy.

Garonowi pozwolono tylko na parę minut wejść do pokoju i zobaczyć Grace. Była biała jak prześcieradło, lecz oddychała równomierniej, a krzywa pracy serca na monitorze wyglądała dość regularnie. Odgarnął do tyłu włosy Grace, upajając się ich jedwabistą miękkością i łagodnym pięknem jej rysów.

Wyczuła jego obecność, otworzyła szare oczy i popatrzyła na niego nieco błędnym wzrokiem.

- Wyzdrowiejesz - powiedział Garon łagodnie. - Niedługo zabiorę cię do domu.

Na jej ustach pojawił się nikły uśmiech. Potem zamknęła oczy i znowu zapadła w sen. Garon dotknął palcem spieczonych warg Grace, napawając się samym ich widokiem.

Wyszedł z powrotem do poczekalni, wyraźnie podniesiony na duchu. Nadal odczuwał lęk o życie żony, ale wiedział, że sobie z tym poradzi. Nagle zatrzymał się, ujrawszy sześciu mężczyzn stojących wokół Casha. Pięciu z nich było jego kolegami z biura FBI w San Antonio, natomiast w szóstym rozpoznał swojego byłego dowódcę zespołu ratującego

zakładników. Gdy wszyscy podeszli do niego, przywitali się, zaczęli wypytywać o Grace i zaofiarowali swoją pomoc, zrobiło mu się ciepło na sercu i ogarnęło go przemożne wzruszenie, które z trudem udało mu się ukryć. Doszedł do wniosku, że naprawdę pracuje z najlepszym na świecie zespołem ludzi.

Stan zdrowia Grace z każdym dniem się poprawiał. Już nazajutrz lekarze kazali jej wstać i spacerować. Garon wpadł w przerażenie, lecz wyjaśniono mu, że to przyspieszy rekonwalescencję i co ważniejsze, zapobiegnie wywiązaniu się infekcji dróg oddechowych w osłabionym po operacji organizmie pacjentki.

Zaprowadził ją do sali noworodków. Dziewczyna szła niesłychanie powoli, a on pchał stojak, na którym była zawieszona jej kroplówka. Grace wspierała się na jego ramieniu i pomimo cierpienia czuła się jak w siódmym niebie.

Zatrzymali się przed szybą, a pielęgniarka podniosła w górę małego Tory'ego, żeby mogli go zobaczyć. Wcześniej Cash potajemnie zrobił kilka zdjęć bratu trzymającemu niemowlaka na rękach i pokazał je Grace. Jeśli żywiła jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do uczuć Garona wobec synka, te fotografie je rozwiały. Grace była głęboko poruszona jego miłością do ich dziecka.

- Podobny do ciebie - szepnęła ze łzami. Widziała chłopczyka po raz pierwszy. - Jest piękny.

- Tak samo jak jego mama - odparł Garon również szeptem i z żarliwą czułością musnął wargami jej suche usta. - Dziękuję ci, że zaryzykowałaś własne życie, aby wydać go na świat.

- To ty mi go ofiarowałeś - odparła, spoglądając z miłością na Garona.

Pocałował jej włosy.

- Źle cię traktowałem, Grace. Cieszę się, że będę miał okazję ci to wynagrodzić.

Rzuciła mu kpiące spojrzenie.

- Pokuta?

- I to ciężka - odrzekł z uśmiechem. Przygryzł wargę. - Kiedy za jakieś dwa miesiące odzyskasz już w pełni siły, spenetrujemy razem kilka ścieżek rozkoszy.

Rozbawił ją jego szelmowski ton i zachichotała jak pensjonarka.

- Przestań - powiedziała stanowczo. - Na razie ledwie mogę zrobić kilka kroków. Wiesz przecież, że przekroili mnie niemal na pół i teraz będę miała jeszcze więcej blizn niż poprzednio.

Uśmiechnął się.

- Podobają mi się twoje blizny. Są bardzo seksowne.

Grace uniosła brwi.

- No, no, coś takiego!

- Czeka na nas cały świat, Grace - dodał, zaglądając przez szybę do sali noworodków, gdzie leżało ich uśpione dziecko. - Cały szeroki świat.

- Tak - rzekła z uśmiechem i ufnie uchwyciła jego silną dłoń.

Ich pierwsza wspólna Gwiazdka była najwspanialszą, jaką Grace kiedykolwiek przeżyła. Garon przyniósł do domu wielką choinkę i polecił kilku żonom swoich pracowników z rancho, żeby ją udekorowały. Kiedy skończyły, drzewko pyszniło się feerią barw i świateł. Mały Tory, który

już dobrze widział, wydawał się nim zafascynowany. Leżał w ramionach Grace i gaworzył radośnie, wprawiając w zachwyt obydwójce rodziców.

- Choinka jest po prostu cudowna - rzekła Grace, uśmiechając się do Garona. - Najpiękniejsza, jaką miałam w życiu.

Skinął głową, przyglądając się drzewku.

- Mój tata nie przepadał za żadnym świętowaniem, ale macochę cieszyło ubieranie choinek. Nigdy jej nie polubiłem. Kiedy ojciec w końcu poznał się na niej i rozwiódł z nią, nasza gosposia zaczęła urządzać Gwiazdkę specjalnie dla nas. Uwielbiałem świąteczne drzewka.

- Ja także - rzekła Grace. - Co roku musiałam wymóc na babci, żeby w domu była choinka, i zawsze stawiałam na swoim.

W święta oglądali razem telewizję. Ostatnio Garon ciężko pracował, usiłując schwytać handlarza narkotyków, który rozwinął działalność w okolicy. Stworzył oddział specjalny, do którego należał też Marquez. Obydwaj mężczyźni doszli do porozumienia i ich stosunki układały się poprawnie. Rick od czasu do czasu wpadał zobaczyć dziecko, ale zawsze w towarzystwie Barbary. Niewątpliwie nie chciał urazić Garona.

W wiadomościach telewizyjnych nadano reportaż o nowym wzorze lalek, których sprzedaż bije rekordy na całym świecie. Grace obejrzała go w skupieniu. Rzecz dotyczyła serii ręcznie szytych szmacianych lalek, nazwanej „Rodzina Myszy” i obejmującej mysich: tatę, mamę oraz dziecko.

Miały własne ubranka i były nawet cukierki nazwane ich imieniem. Lalki sprzedawały się wszędzie niczym świeże bułeczki. Wyglądało na to, że każde dziecko pragnie dostać je na Gwiazdkę. Grace wpatrywała się w ekran z promiennym uśmiechem.

Na końcu reportażu poinformowano, że te lalki zaprojektowała Grace Carver z miasteczka Jacobsville w stanie Teksas.

Garon omal nie zemdlął z wrażenia, gdy się w końcu dowiedział, na czym polegał sekretny projekt Grace. Jeszcze przed ślubem sprzedała prawa do mysich lalek i wykonała projekty wszystkich ich strojów. Nikt się nie spodziewał, że zabawki zrobią taką furorę. Jedyne agent z domu towarowego, do którego napisała list i dołączyła na próbę jedną lalczkę, przewidział ten sukces. Wierzył mocno w krawieckie zdolności Grace, a lalki były naprawdę urocze. Przez wiele tygodni zabiegał o możliwość dokonania prezentacji i zdołał przekonać dostawców zabawek dla wielkiej sieci hipermarketów, że lalki staną się gwiazdkowym przebojem, a ich sprzedaż przyniesie fortunę. Nie mylił się. Grace miała zarobić na nich mnóstwo pieniędzy i stać się bogata.

- Kiedy się pobieraliśmy, sądziłem, że cię znam - oświadczył Garon, chichocząc. - Okazuje się, że w rzeczywistości prawie nic nie wiedziałem o tobie i twoich licznych talentach.

- Powiedziałam ci na samym początku, że nie jestem typem domatorki i nie przepadam za zajęciami domowymi.

- Od tego mamy pannę Turner - powiedział z ciepłym uśmiechem, spoglądając na żonę. - Ty tylko pracuj dalej nad swoim projektem i szyj lalki.

- Ja wykonuję jedynie pierwowzory - przypomniała mu. - Produkuje je cały wydział robotnic. Zresztą pracują coraz ciężiej, ponieważ te lalki są sprzedawane do niemal wszystkich krajów świata.

- To mi przypomina, że Carlson byłby zachwycony, gdybyś uszyła jedną specjalnie na prezent urodzinowy dla jego córeczki. Białą mysz z wielkimi niebieskimi oczami.

Grace się uśmiechnęła.

- Zrobię to z radością. Tylko zaopiekuj się Torym, gdy będę nad nią pracować.

Garon odpowiedział jej uśmiechem.

- To będzie dla mnie czysta przyjemność.

- Stałeś się wspaniałym ojcem - zauważyła.

- Jeszcze nie, ale staram się, jak mogę.

- Skoro o tym mowa, mam dla ciebie prezent. Tylko najpierw położe Tory'ego spać.

- Dla mnie? - powtórzył zaskoczony Garon.

- Nawet nie próbuj mnie pytać jaki, bo i tak ci nie odpowiem - w każdym razie jeszcze nie teraz.

- Czy on ma jakiś związek z różami?

Grace wydeła wargi.

- Niezupełnie. Pomóż mi wstać, dobrze?

Garon ostrożnie dźwignął z kanapy Grace trzymającą w ramionach ich dziecko. Rana pooperacyjna w klatce piersiowej już się zagoiła, ale wciąż jeszcze sprawiała lekki ból. Z tego powodu ku swemu żalowi nie mogła karmić niemowlęcia piersią. Garon poił je z butelki, co uwielbiał robić. Od operacji minęło już sześć tygodni i stan Grace poprawiał się z każdym dniem.

- Zaraz wracam - przyrzekła Garonowi.

Jednak nie przychodziła długo. Garon zaczął oglądać film w telewizji, a panna Turner poszła z Barbarą do kościoła śpiewać kolędy. W domu panowała cisza.

W momencie gdy na ekranie zaczęły wybuchać granaty, na telewizor padł jakiś cień. Garon spojrzął w bok i wybałuszył oczy ze zdumienia. Stała tam Grace z długimi jasnymi włosami sięgającymi niemal pasa; jej szczupłe ciało okrywała różowa atlasowa suknia na wążutkich ramiączkach. Wyglądała świeżo i bardzo seksownie.

- Co pani knuje, pani Grier? - zapytał, czując, że jego tętno gwałtownie przyspieszyło. Nie słyszał, by lekarze zezwolili jej na wznowienie współżycia seksualnego.

- Powiedziałeś przecież, że moje blizny są seksowne, prawda? - odparła z uśmiechem.

Kiwnął głową. Widok żony w tej sukni z niezwykle głębokim dekoltem sprawił, że serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Uznał, że Grace ma piękne piersi.

- Jeżeli naprawdę uważasz moje blizny za seksowne - powiedziała zmysłowym głosem - to chodź ze mną do łóżka i dowiedz mi tego.

Garon nie podejrzewał, że potrafi w zaledwie kilka sekund zanieść ją do sypialni i położyć na łóżku.

- Jesteś pewna, że to ci nie zaszkodzi? - zapytał, ale jednocześnie już zdejmował z Grace elegancką sukienkę, odsłaniając jej zgrabne ciało.

- Naturalnie - odparła.

Garon błyskawicznie się rozebrał i położył koło niej na łóżku zasłanym czystą białą pościelą. Odrzucił na bok kołdrę, nawet nie patrząc, gdzie upadła.

- Blizna pooperacyjna z pewnością nadal cię boli - powiedział.

- Owszem - przyznała i jęknęła z rozkoszy, gdy całował jej usta, ramiona, a potem piersi.

Ostrożnie przewrócił ją na bok i znów odnalazł wargami jej usta. Delikatnie gładził jej biodra i uda, a jego pocałunki wprawiały ją w błogie oszołomienie.

Było tak jak za pierwszym razem. Garon pieścił ją powoli, chociaż gdy ich ciała się stykały, przenikał go dreszcz pożądania. Uwodził ją najdelikatniej, jak potrafił, wzbudzając w niej takie pożądanie, że przywarła do niego z cichym jękiem.

- Spokojnie, kochana - wyszeptał. Uniósł ją nieco i wszedł w nią delikatnie. - Tak, właśnie tak.

Leżeli przytuleni. Grace zapragnęła, żeby znalazł się na niej, tak aby poczuła ciężar jego ciała.

- Ja też tego chcę - wyszeptał z wargami przy jej ustach. - Ale jest na to jeszcze za wcześnie.

- Nie zrobisz mi krzywdy - odpowiedziała również szeptem.

Potem zamknęła oczy, gdy przyciągnął bliżej jej biodra i zaczął się poruszać głębokim, powolnym rytmem.

Wstępowali oboje w pałacy żar pożądania, który odbierał oddech, wzrok, słuch i unicestwiał wszystko oprócz świadomości namiętnego zespolenia ich ciał. Grace krzyknęła z rozkoszy i wygięła się ku niemu. Poczowała, że wstrząsnął nim dreszcz, i usłyszała, że bez końca szepcze jej imię, gdy tak jak ona osiągnął zaspokojenie.

Wieki później Garon oparł się na łokciu i spojrzał na Grace, leżącą na plecach, a ona, zdyszana, uśmiechnęła się do niego.

- A teraz pewnie powiesz, że poślubiłeś mnie jedynie dlatego, że zaszłam w ciążę - rzuciła z przekornym śmiechem.

- No dobrze, wygrałaś. Poślubiłem cię dla wspaniałego seksu.

- Tylko dlatego? - droczyła się.

- I z powodu twoich szarlotek - dodał. - A także po to, żeby się dowiedzieć, jak ci się udaje hodować róże dwa razy większe od moich. A czemu ty za mnie wyszłaś?

Zwiczrzyła mu włosy i uśmiechnęła się, spoglądając w jego czarne oczy.

- Wyszłam za ciebie, ponieważ cię kocham - powiedziała cicho - i ponieważ jesteś jedynym mężczyzną, którego pragnę.

- To prawdziwy cud - wyszeptał i pocałował ją w czubek nosa. - Bo przecież tak okropnie cię traktowałem.

Uciszyła go, przytknąwszy palec do jego ust.

- Jesteśmy szczęśliwym małżeństwem i mamy dziecko - przypomniała mu. - Wszystko, co było złe, zniknęło.

Garon westchnął.

- Przynajmniej nie musisz się już obawiać Sheldona.

Skinęła głową. Samo brzmienie tego nazwiska wywołało nerwowy skurcz.

- Ta psychoterapeutka, do której chodzę, jest naprawdę świetna. Pomaga mi uporać się z mrocznymi wspomnieniami.

- To, co przed chwilą razem przeżyliśmy, dowodzi, że ona rzeczywiście pomaga - rzekł z uśmiechem Garon.

W oczach Grace zamigotał szelmowski błysk.

- To nie dzięki niej.

Garon uniósł brwi.

- A więc dzięki czemu? - spytał.

- Kiedy oglądałeś film w telewizji, byłeś bez koszuli - odparła, wpatrując się w jego szeroką klatkę piersiową. - Nie potrafię ci się oprzeć, kiedy widzę cię półnagięgo.

- Ja odczuwam to samo wobec ciebie - przyznał i znowu ją pocałował.

Zerknęła na monitor „elektronicznej niani”. Kontrolka się świeciła, wszystko było w porządku, a z głośnika dobiegał odgłos cichego równomiernego oddechu ich dziecka.

- Cieszę się, że mamy to urządzenie - powiedziała. - W przeciwnym razie nigdy bym nie usnęła.

- Ja też - powiedział Garon i odgarnął jej włosy do tyłu. - Jesteś szczęśliwa?

- Bezgranicznie - odparła z uśmiechem. Pocałował ją w powieki, wspominając, że poprzednio uczynił to tuż przed jej operacją.

- Kiedy Tory zacznie już chodzić do szkoły, chciałbym, żebyś podjęła pracę w naszym biurze FBI - powiedział.

- Co miałabym tam robić?

- Pracowałabyś jako tłumaczka - odparł. - Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale bardzo niewielu agentów zna arabski. Byłabyś dla nas nieocenionym skarbem.

Grace w zamyśleniu wyduła wargi, a potem rzekła z uśmiechem:

- Chyba istotnie dałabym sobie radę. Garon przetoczył się na plecy i ziewnął.

- Jutro muszę stawić się w sądzie i zeznawać przeciwko tym rabusiom banku, których złapaliśmy. Prawdopodobnie wrócę dopiero późnym wieczorem.

Pocałowała go w ramię.

- Zaczekam na ciebie z kolacją. Uśmiechnął się i objął ją ramieniem.

- Jesteś najcudowniejszą żoną na świecie. Nic dziwnego, że tak bardzo cię kocham.

Grace poczuła, że zalewa ją fala radości. Garon po raz pierwszy wypowiedział do niej to słowo.

- Naprawdę mnie kochasz? - spytała.

- Całym sercem - odrzekł z żarliwym błyskiem w oczach. -I zawsze będę cię kochał. A myślę, że mamy przed sobą bardzo dużo czasu.

Grace wtuliła się w niego, upajając się swym szczęściem. Całe jej dotychczasowe samotne, pełne cierpienia życie było drogą, która doprowadziła ją w końcu do miłości, namiętności i dziecka zrodzonego z tych uczuć. Dziadek powiedział jej kiedyś, że bólem i łzami zasługujemy sobie na nasze szczęście. Uśmiechnęła się sennie, nie zważając na lekkie ukłucie bólu w bliźnie pooperacyjnej i delikatnie pocałowała ciepłe, muskularne ramię swego męża.

- Przeżyjemy razem wiele lat - powiedziała. - A w miarę ich upływu będę cię kochała coraz mocniej.

Przyciągnął ją bliżej do siebie, uważając, aby nie sprawić jej bólu.

- Ja też będę cię kochał coraz bardziej.

- I oboje możemy teraz rozmawiać z krzakami róż - rzuciła.

- O ile nikt nas nie usłyszy - zaznaczył żartobliwie. - Pamiętaj, że pracuję w FBI. Nie chcę, żeby podsłuchano, jak gawędzę z kwiatami.

Znowu pocałowała go w ramię, wciąż rozkoszując się aurą ich intymnej bliskości.

- A mówią, że agenci federalni nie mają poczucia humoru - rzuciła kpiąco.

Garon zerknął na nią z ukosa.

- Słuchaj, właśnie z powodu mojego budzącego zaufanie wyglądu awansowano mnie na szefa wydziału w San Antonio. Teraz mogę wydawać innym polecenia i jadać obiady ze znanymi politykami. Od czasu do czasu zabiorę cię nawet ze sobą, o ile obiecasz, że nie włożysz niebieskiej sukienki.

Ta sukienka była stałym tematem ich żartów. Grace powiesiła ją w szafie i wyjmowała, ilekroć chciała zirytować męża. Lecz od czasu operacji nie zdarzało się to często. Garon nieustannie otaczał ją troskliwą opieką. Nigdy nie przypuszczała, że jakikolwiek mężczyzna może być tak kochający i czuły.

- Obiecuję - zgodziła się.

- Czy Barbara ci powiedziała, że Jaqui wyprowadziła się z Jacobsville?

- Naprawdę? To wspaniale!

- Nie mów tak - zaproponował sennie. - Ona nigdy nie była dla ciebie żadną rywalką. Pewnie zamieszka w jakimś wielkim mieście i robi karierę w biznesie.

- Tak jak ja? - spytała przekornie Grace.

Popatrzył na nią.

- Pozwolę ci robić karierę biznesową, jeśli nie będziesz musiała podróżować przez dziesięć miesięcy w roku, żeby promować swój projekt.

Nie chcę, żebyś opuściła mnie choćby na jeden dzień. Brak mi pewności siebie i potrzebuję cię, żebyś mnie utwierdzała w poczuciu własnej wartości.

- Naprawdę? - spytała. Uniosła się nieco na łokciu i znowu przywarła ustami do jego ust. - W ten sposób?

- Tak - odparł z uśmiechem. - To miłe. Nie przestawaj.

Zaczęła go całować z jeszcze większym żarem.

- Teraz lepiej?

Objął ją mocno.

- Upajająco - szepnął. - Chciałbym, żeby to trwało wiecznie.

Uśmiechnęła się, nie przerywając pocałunku, i wplotła palce w jego gęste włosy.

- Ja też - powiedziała.

Nagle z głośnika monitora rozległ się krzyk.

Obydwoje w jednej chwili zerwali się z łóżka i wbiegli do sąsiedniego pokoju, w którym krzyczał ich synek. Jego drobna twarzyczka była czerwona jak burak.

Garon wciągnął nosem powietrze i westchnął ciężko.

Grace wydeła wargi. Ona również rozpoznała ten zapach.

- Moglibyśmy losować - zaproponował Garon. Szturchnęła go w żebra.

- Musi to zrobić ktoś, kto może go podnieść, a ja jestem jeszcze zbyt słaba.

Lecz Garon nadal się wahał.

- Posłuchaj, twardzielu - powiedziała. - Przecież ratowałeś zakładników, a nawet byłeś członkiem brygady antyterrorystycznej...

- Regulamin FBI zabrania agentom zmieniania niemowlęcych pieluch - oznajmił wyniośle. - Strona dwieście dwadzieścia jeden, rozdział trzeci, paragraf dwieście jedenaście.

- Nie ma takiego paragrafu - rzuciła kpiąco.

- Owszem, jest. Pójdę i odszukam go, a ty w tym czasie przewiniesz małego. Wcale nie musisz go podnosić - dodał pocieszająco. - Łóżeczko jest bardzo wysokie.

Wyglądał na tak zdesperowanego, że Grace z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Garon nigdy sam jej się do tego nie przyznał, ale wiedziała od panny Turner, że gdy w trakcie jej rekonwalescencji po raz pierwszy stanął przed koniecznością zmienienia Tory'emu pieluszek, zwymiotował i nie zdołał tego zrobić.

Teraz z wymownym spojrzeniem wręczył jej chusteczki do pielęgnacji niemowląt i jednorazową pieluchę. Spojrzała na niego z naganą.

Wzruszył ramionami.

- Może ty go wytrzymaj, a ja założę mu nową pieluszkę - zaproponował.

Wtedy już nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Potrząsając głową, wykonała połowę roboty, pozostawiając mu umieszczenie czystej pieluchy.

Potem Garon podniósł chłopczyka, przytulił do swej nagiej piersi i całował szczyt jego małej, bezwłosej główki.

Grace przyglądała się tej uroczej scenie i w jej oczach zakręciły się łzy wzruszenia.

Garon spojrzał w dół i napotkał jej wzrok.

- Co się stało? - spytał.

Przytuliła się do niego i pogładziła miękki policzek synka.

- Po prostu nie mogę uwierzyć swojemu szczęściu - odparła głosem nabrzmiętym miłością.

Garon pochylił się i delikatnie, czule pocałował ją w czoło.

- Będiesz go miała tyle, ile jest kropli wody w oceanie - przyrzekł z głębokim uczuciem, które dźwięczało w jego głosie i błyszczało w oczach.

- Przez całe życie będę cię kochał i troszczył się o ciebie. A w chwili śmierci będzie mi towarzyszył obraz tego, jak się do mnie uśmiechasz.

Łzy popłynęły po twarzy Grace.

- Kocham cię - powiedziała.

- Ja też cię kocham - szepnął czule, scałowując te łzy, podczas gdy dziecko usnęło w jego ramionach. - I nigdy nie przestanę!